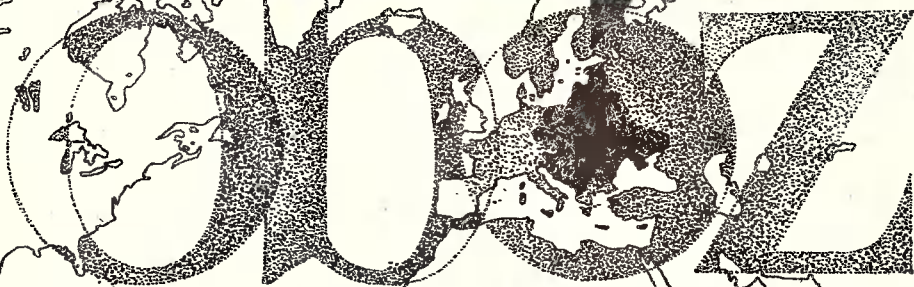


ZBIORY OŚRODKA KART



15 / 1988

15
1988

OD REDAKCJI	3
ZSSR DZIŚ	
Język i władza w społeczeństwie sowieckim - fragmenty rozmowy George'a Urbana z Alainem Besançonem	4
David Satter, Zagraniczny korespondent w Moskwie - - o manipulacji i zakłamaniu	23
František Janouch, Dobrowolna podróż na Syberię /anno 1987/	30
Partia naszym sternikiem - wywiad Iriny Iłowajskiej z Michałem Hellerem	42
Wiesław Szukalski, Zapomniane pośladki Twiggy, czyli kłopoty z pierestrojką	49
ŻYCIE I LITERATURA	
George Orwell, Intelektualiści o wiele bardziej niż ludzie proszą skłaniają się ku totalitaryzmowi	54
Li Czeng, Nowy folwark zwierzęcy	62
Dora Sturman, Sześciu przywódców w poszukiwaniu osobowości - sowiecki dowcip polityczny	69
Josef Škvorecký, Sprawa z Novakiem	83
B.Ch., Pamiętniki o pieczonych gęsiach - - Michaił Szołochow w oczach panegirystów	89
List Ałły Herburdt-Johansen do Królewskiej Akademii Szwedzkiej	95
WYWIAD	
Nie tylko hasło - rozmowa z Mirosławem Jasińskim, przedstawicielem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej	99
HISTORIA	
Eduard Bekker, Deportacja Niemców sowieckich w czasie II wojny światowej	106
Praga 1953 - nieznaną strajk, relacja robotnika zakładów Kolben-Daněk	109
Śmiejcie się ze wszystkich sił - - Węgry po roku 1956	116
István Hosszú, Rumuński Sierpień	119
FELIETONY I KOMENTARZE	
Kazimierz Bielski, Ceausescu jest nagi	128
Aleksander Romert, Europa Środkowa w Europie Środkowej dziś - mit i postulat	133
DONIESIENIA	
List z Pragi	136
Nikołaj Chramow, Grupa "Zaufanie" we Lwowie: pierwsze kroki	140
DOKUMENTY	143
KRONIKA	147
INDEKS	160

OD REDAKCJI

Piętnasty numer OBOZU nieco odbiega w swym charakterze od poprzednich. Uznaliśmy, że dotychczasowa forma sztywnych bloków tematycznych może być dla wielu Czytelników nieatrakcyjna i nużąca. A i nam samym - przyznajemy to szczerze - więcej satysfakcji sprawia redagowanie zeszytu bardziej zróżnicowanego i wielowątkowego. A więc cicer cum caule: proza i dowcip polityczny, reportaż i felieton, polityka bieżąca i historia. Materiały ważne i błahe. Pogodne i ponure. I jeśli nawet na pierwszy rzut oka zestaw taki budzi zdziwienie, to jednak w chwili potem pojawia się pytanie: a może właśnie cały ten groch z kapustą jest najlepszym sposobem opisania naszej obozowej rzeczywistości?

Nie ma chyba sensu omawiać we wstępie wszystkich działań i wszystkich tekstów. Mamy nadzieję, że każdy z Państwa znajdzie coś dla siebie.

JĘZYK I WŁADZA W SPOŁECZEŃSTWIE SOWIECKIM
ROZMOWA GEORGE'A URBANA Z ALAINEM BESANÇONEM

George Urban - do niedawna dyrektor RWE, W 1947 r. ukończył uniwersytet w Budapeszcie. W 1956 r. uzyskał doktorat na Uniwersytecie Londyńskim. W latach 1948-1960 pracował w BBC, a potem jako dyrektor programów akademickich oraz konsultant RWE. Jest autorem wysoko cenionych książek, m.in. "Détente", "Hazards of Learning", "Eurocommunism", "Communist Reformation", "Stalinism - Its Impact on Russia and the World". Stale współpracuje z "Encounterem", dla którego przeprowadził obszernie wywiady m.in. z Milovanem Đilasem, Leszkiem Kołakowskim, Zbigniewem Brzezińskim, Eugenem V. Rostovem, Jeane Kirkpatrick, Maxem Kampelmanem, Galiną Wiszniewską i Władimirem Bukowskim.

Alain Besançon - jest dyrektorem paryskiej "L'Ecole des hautes études", gdzie wykłada też historię Rosji. Jest autorem licznych książek i rozpraw, które zyskały mu miano jednego z najwybitniejszych sowietologów współczesnych. Opublikował m.in. "The Confusion of Tongues", "The Soviet Syndrome", "The Intellectual Origins of Leninism", "The Falsification of the Good". Francuski tygodnik "L'Express" dał mu do dyspozycji stałą rubrykę na bieżące komentarze.

Poniższy wywiad ukazał się w dwóch kolejnych numerach pisma "Encounter" - nr 395 i 396 z maja oraz czerwca 1987 roku.

Gra pozorów

Urban: Tematem, który chcę zaproponować, jest rola kłamstwa w myśleniu totalitarnym. Dr Goebbels głosił, iż "im większe kłamstwo, tym większe prawdopodobieństwo, że ludzie w nie wierzą...". Sołżenicyn pouczał nas, że jedynym sposobem wydobycia jednostki z objęd systemu sowieckiego jest nakazanie jej, aby "przestała kłamać". Jednym z tych haseł, które najczęściej słyszało się 23 października 1956 r. na ulicach Budapesztu był protest przeciwko kłamstwu oficjalnej rozgłośni radiowej: "radio kłamie" /hazárdik a rádió/. W pewnym sensie można by przedstawić Rewolucję Węgierską jako ogólnonarodowy protest przeciwko prostytucji znaczeń słów i destrukcji "higieny umysłowej" starego narodu europejskiego. Kwestia, która interesuje mnie najbardziej w związku z niedawną 30 rocznicą Rewolucji Węgierskiej dotyczy zakłamania i samooszustwa w społeczeństwach totalitarnych. Czy ideologia sowiecka jest "falsyfikacją" realnego świata, mającą pozostawać w zgodzie z interesami grupy rządzącej? Czy też jest to jakiś osobny rodzaj rzeczywistości, którego

nie pojmujemy do końca mimo siedmiu dekad komunizmu? I - czykolwiek by nie była - w jakim momencie oficjalna ideologia jest najbardziej wrażliwa na cios podobny do tego, który został jej zadany w postaci tygodniowej Rewolucji Węgierskiej?

Besańcon: Kłamstwo jako podstawowy element władzy totalitarnej ma już bardzo bogatą literaturę. Borys Suwarin w 1937 r. poczynił na ten temat słynną uwagę, twierdząc, że kłamstwo jest jądrem systemu sowieckiego. W świecie, w którym oszukiwanie jest zachowaniem standardowym - stwierdził - kłamie się na temat samego kłamstwa: "ZSSR jest państwem kłamstwa, kłamstwa absolutnego, kłamstwa integralnego. Stalin i jego poddani kłamią zawsze, w każdym momencie, w każdych warunkach i wskutek działania kłamstwa nie zdają już sobie sprawy, że kłamią. Tam, gdzie wszystko kłamie, nic nie kłamie. ZSSR nie jest niczym innym jak kłamstwem opartym na fałku. W czterech literach skrótu jego nazwy zawarte są co najmniej cztery kłamstwa...".

Urban: Ciekawa jest kwestia, czy kłamstwo albo też powiększona sieć kłamstwa składających się na ideologię sowiecką jest *sui generis*, czy też ma ono korzenie w przeszłości Rosji. W pańskiej książce "Intelektualne źródła leninizmu" uderzył mnie fragment, gdzie wskazuje pan, że XIX-wieczne słowianofilstwo zostało w rzeczywistości trochę potajemnie importowane z Niemiec i Francji. Słowianofile, jak pan twierdzi, przejęli pojęcie nacjonalizmu "usuwające wszelkie etykiety wskazujące na kraj pochodzenia". Następnie dobudowali "ideologię" słowianofilską i skierowali ją przeciw Europie: "Przywiódł ich to do konstruowania fikcyjnej rzeczywistości, fikcyjnej historii, fikcyjnej religii i fikcyjnej polityki na każdym polu". Czy to obrzydnie nadużycie, igranie z prawdą, nie było zapowiedzią zdarzeń o sto lat późniejszych, z epoki bolszewików?

Besańcon: Na pewno obie te grupy zbliża element gry pozorów oraz szeroka akceptacja społeczna. Ale słowianofile byli prostymi falsyfikatorami i plagiatarami. Opublikowali pewien dokument teologiczny utrzymując, że jest to stary, nieznaný dotąd rękopis ortodoksyjny, podczas gdy w rzeczywistości dokument był kopią rozprawy teologa z Tybingi. Ich naturalizacja niemieckiego idealizmu była przejrzystą trawestacją.

Kiedy mówimy jednak o ideologii sowieckiej, mamy przed sobą całkiem odmienne zjawisko. Prawdziwym pytaniem jest, czy słowo *kłamstwo* dobrze oddaje to, co Suwarin, Sołżenicyn, Zinowiew i inni opisują jako "kłamstwa".

Kłamstwo w zwyczajnym sensie oznacza świadome rozminanie się ze znaną rzeczywistością. Kłamca zna prawdę, a kiedy oddala się od niej wypowiadając kłamstwo, wie, że przekazuje niekształconą wersję prawdy. W wypadku ideologii mamy do czynienia z innym procesem. Rzeczywistości nie przeciwstawia się temu, co nierzeczywiste, prawdy - nieprawdzie, ale dokonuje się przedziwnego rozbicia czy też dekompozycji samej rzeczywistości. Ma się do czynienia z dwoma rozbieżnymi rzeczywistościami - rzeczywistością i pseudorzeczywistością; rzeczywistością, którą można usłyszeć i dotknąć i inną, która istnieje jedynie w komunikatach, języku, propagandzie.

Mówiąc całkiem po prostu: "socjalizm" utrzymuje, że jest "naukowy". Utrzymuje, że jest w stanie przewidzieć i zbudować przyszłość. Wraz z Rewolucją 1917 r. socjalizm zdobył władzę. Lenin i jego następcy spodziewali się, że teoria socjalistyczna zostanie przełożona na rzeczywistość właśnie dlatego, że socjalizm jest naukowy i stworzono wszelkie odpowiednie warunki do tego, by zerwał się do lotu. Ale socjalizm jakoś się nie ziszczył - pozostał teorią uwięzioną w umysłach bolszewików. Jak więc mieli postępować, skoro ich siła opierała się

na naukowym charakterze socjalizmu, na ich rzekomym potencjale gwarantującym nadzorowanie i kształtowanie historii oraz wspomaganie jej poprzez dostrojenie się do jej rytmu?

Mogli jedynie *udawać*, że socjalizm się naprawdę ziścił. Cała nierealność ideologii sowieckiej wynika z potrzeby stwarzania pozorów, że istnieje coś, czego nie ma. Sowieckie statystyki są preparowane, wyniki planów pięcioletnich to łgarstwo, sowieckiego "parlamentu" nigdy nie było, "wybory" nigdy nie były wyborami, "spontaniczne wystąpienia masowe" są rezultatem dokładnie zaplanowanej organizacji, szczęśliwe życie "traktorzystek" jest ponurą farsą, nowy "człowiek radziecki" jest prawdziwym Adamem. Ideologia pokryła lśniącym lakierem te niemiłe fakty. Wymaga, by ludzie wiedzieli to, czego nie ma, by mówili, że to jest.

Urban: Po upadku Rewolucji Węgierskiej Ignazio Silone odnotował, w jaki sposób sowieckie słownictwo ideologiczne postawiło na głowie rzeczywistość. Jego uwaga z grudnia 1956 r. pozostaje w zgodzie z tym, co pan mówi: "Najgorzeza jest tyrania słów. Aby ponownie nauczyć się uczciwego myślenia, musimy najpierw uporządkować nasz język. Uwieracie, że nie jest to łatwe. Na przykład, dlaczego do diabła stale nazywamy rosyjską armię "armią radziecką"? W rzeczywistości sowieckie wojsko z Rosji już w 1920 r. a jedyną radę, jakie istnieją obecnie, to właśnie węgierskie Komitety Rewolucyjne. Są one sowietami w najbardziej czystym sensie tego słowa - otwarte, podstawowe, spontaniczne przejawy władzy ludu w kraju, gdzie autokracja zakazywała organizowania partii politycznych... Wszelako, aby być właściwie zrozumianym przez wszystkich, my też musimy poddać się prądowi i zniekształcanym znaczeniom słów, np. musimy pisać: "oddziały radzieckie przeciw powstańcom węgierskim", podczas gdy najprostsze poszanowanie precyzji skłoniłoby nas do napisania: "rosyjskie wojska imperialne przeciwko Radom Węgier". Tak to właśnie jest - *nomina perdidimus rerum* - zgubiliśmy imiona rzeczy...".

Besançon: Tak, najlepszym sposobem opisu nierealnego języka wytworzonego przez ideologię sowiecką byłoby porównanie go do zaklęcia czy czarów. W równym stopniu jak słownictwem, jest on również pewną aurą i stanem umysłu. Obejmuje całe jestestwo tych, którzy mu ulegli. W średniowiecznej literaturze czytamy o Czarowniku Merlinie, a w legendzie o *Orlandzie Szalonym*. Ariosta, o pewnym ciemnym lesie, z którego nie ma wyjścia, albo o jakiejś księżniczce uwiezionej w czarodziejskim pałacu - jest to coś podobnego. I oto czary nagle pryska i nasi bohaterowie są wolni i nietknięci.

Ideologia komunistyczna ma taki charakter. Jest efemeryczna. Zaklęcie zostaje zdjęte i - haże! - jesteś wolny, obudzony do życia, jakbyś ocknął się z omdlenia czy uwolnił od sennego koszmaru. Tego właśnie doświadczyl Węgrzy w październiku 1956 r., Czechosłowacy w 1968 r. i Polacy w 1981 r. Zrzucili okowy, stwierdzili, że ich poczucie rzeczywistości jest nienaruszone i bez trudu wypełnili lukę między realiami a światem nierealnym, w którym zmuszeni byli żyć.

Urban: Czy widzi pan jakąś metodę, przy użyciu której zwykły człowiek - taki, który nie ma wsparcia w religii ani nie chce być bohaterem czy męczennikiem - może uchronić się przed oddziaływaniem ideologii? Czy może wycofać się do swej muszli i żyć "z dala" od społeczeństwa? Czy może zbudować sobie świat lektur, przyjaźni, satyki i stylu życia, który by go obronił? Styszeliśmy o takich przypadkach, ale czy moglibyśmy zaoferować coś w rodzaju praktycznych wskazówek dla tych, którzy chcieliby żyć pod bokiem społeczeństwa oficjalnego, lecz nie wiedząc jak?

Besançon: To trudne. W momencie, kiedy ktoś przynajmniej język ideologii,

wyraża zgodę na zniewolenie wraz z językiem swego świata intelektualnego i własnego poczucia godności. Nie ważne, jak niechętnie i mimowolnie osunął się w sferę stosowania słownictwa oficjalnego, jest już częścią ideologii i - jak to się mówi - podpisał diabłu cyrograf.

Dlaczego używam tak ostrych sformułowań? Ponieważ często człowiek nagina się do używania zniewolonego języka jedynie dla celów *oficjalnych*, aby tym lepiej - jak sądzi - móc strzec swej integralności prywatnej. Wkrótce odkrywa, że po pierwszym publicznym ustępieniu wypełnia go w życiu prywatnym poczucie wstydu i przejawia wzrastające zainteresowanie dla usunięcia tego rozdziwienia i przyjęcia języka ideologii we *wszystkich* wypowiedziach.

"Emigracja wewnętrzna", którą pan wspominał jako alternatywę opisanej przeze mnie sytuacji, nie jest czymś łatwo osiągalnym. Sądzę, że należało by w tym celu zrezygnować z jakichkolwiek kontaktów i układow z państwem oraz społeczeństwem oficjalnym, należało by nie zawierać małżeństwa i nie mieć dzieci, być na tyle silnym, by żyć w ubóstwie i wieść żywot pustelnika. Taki ideał przedstawia się czasem w ZSSR i nawet od czasu do czasu urealizować. Ale w sumie może to być tylko środkiem dla najbardziej wyjątkowych i bohaterkich osób - tych o niezłomnym przekonaniu, bądź naturze świętych.

Urban: Czy religia nie może być przeciwwagą? Wiele wskazuje na to, że na przykład baptyści i zielonoświątkowcy przetrzymują Gułag w znacznie lepszym stanie umysłu, aniżeli przeciętny więzień polityczny. Ponadto sądziłbym, że siła polskiego katolicyzmu wyjaśnia w znacznym stopniu odporność zwykłego Polaka na ideologię, choć trzeba pamiętać, że Kościół polski przykłada wagę do szerszego znaczenie pola zagadnień, aniżeli te, które przypisywalibyśmy "religii".

Besańcon: Cóż, przekonania religijne niewątpliwie pomagają, ale nie chciałbym, żeby pan sądził, że traktuje religię jako *kontrideologię*. Wiara jest aktem duchowej lojalności na najgłębszym poziomie. Ideologia komunistyczna jest inna. Nie wywołuje - a w każdym razie nie powinna - aktu wiary, bo jest w założeniu naukową i możliwa do zdemonstrowania. Dlatego też nie przyjąłbym pańskiej sugestii, że religia jest przeciwwagą ideologii.

Moralność, pomagająca przeciwstawić się ideologii komunistycznej, ma swe źródła w samej naturze człowieka. Świat nie czekał na pojawienie się religii, by wyposażać nas w wymiar moralny. Istniał on zawsze. Twierdząc, że można zachować swą integralność - o ile w ogóle jest to możliwe - w systemie komunistycznym dzięki sile charakteru oraz wrozonemu poczuciu moralności. *Nie musi się być* człowiekiem religijnym.

Jednakże, niech mi będzie wolno równocześnie powiedzieć, że troska o życie duchowe jest jednym ze sposobów budowania muru uczciwości wokół siebie i odgradzania się od ideologii. Niektórym - niewielu, jak sądzę - to się powiodło. Na przykład, pewien mój przyjaciel, francuski inżynier, został wysłany na Ural, aby brać udział w budowie fabryki "*sprzedanej*" przez nas Związkowi Sowieckiemu - oczywiście na kredyt. Był zmuszony żyć w środowisku trudnym do opisania. I oto pewnego dnia poznał parę Żydów, przestrzegających nakazów Tory dosłownie od świtu do zmierzchu, dzień w dzień. Spozstrzegł, że są to istoty ludzkie absolutnie nie tknięte przez idiotyzm, podłość, nędzę, zniewolony język. Mógł z nimi rozmawiać - rozumieli go doskonale. Ale - jak powiedział - nie trzeba prowadzić życia pustelnika, aby to osiągnąć. Wystarczy być uczciwym człowiekiem.

Urban: Przepuszczam jednak, że w monolitycznym państwie orwellowskim uczciwość

nie wystarcza, ponieważ musi być ona wsparta pewną znajomością przeszłości, przyswojeniem pewnych lektur, muzyki i innych elementów kultury. W państwie orwellowskim, w rodzaju Chin z okresu Rewolucji Kulturalnej czy Kambodży Pol Pota, przeszłość jest zakazana a książki zlikwidowane. Czy w takim państwie sama "uczuciowość" nie okazałaby się za słabą trzcinią, by utrzymać wartości cywilizacji liberalnej?

Besançon: Przywódcom sowieckim nigdy nie udało się stworzyć społeczeństwa całkowicie totalitarnego. Zawsze potrzebowali pewnego kontaktu z przeszłością - czy to dlatego, że chcieli mieć wykształconych ludzi do prowadzenia spraw zarządzania, czy też dlatego, że pragnęli uzyskać legitymizację poprzez podłączenie się do świadomości narodowej.

Ale Sowieci, oczywiście, byli świadomi niebezpieczeństw związanych z tym, iż nie wprowadzili do końca totalitarnego porządku i często wahali się między wykorzystaniem oraz przekreśleniem przeszłości. Jednego dnia Dostojewski był dostępny, innego nie do dostania, potem znów wracał na półki księgarń. To samo dotyczyło Puszkina i innych klasyków, zarówno rosyjskich, jak i zagranicznych.

Urban: *Za czasów Stalina w Europie Wschodniej miała miejsce daleko posunięta rusyfikacja, ale dalsze reżimy tej części świata często budują swą legitymizację na reinterpretacji przeszłości narodowej i naginaniu jej do własnych potrzeb - tak jak to czynią władze sowieckie.*

Besançon: W momencie, gdy wymazywanie przeszłości ulega zawieszeniu, a władze odwołują się do niej w nadziei wprowadzenia do obiegu jej zmienionej wersji, pojawiają się kłopoty. Bowiem postępując tak, należy zachować książki i dbać o kościoły oraz klasztory. Jakimi przypisami nie opatrzone by Tołstoja, tekst mówi sam za siebie - eliminacja kultury nie może się powieść. Odbudowa zamków królewskich w Warszawie i Budzie jest dla władz bronią obosieczną. Może do nich wrócić jak bumerang i tak też zapewne się stanie.

Integralność w środowisku skorumpowanym

Urban: *Od dawna liczni obserwatorzy specyfiki sowieckiej, tacy jak Amalrik i Zinnowiew, mówili - że wszyscy "ludzie sowieccy" są do pewnego stopnia "zarażeni".*

Besançon: Tak, i mogę dać panu wymowny przykład. Żydzi w Związku Sowieckim tworzą swego rodzaju elitę. W niej funkcjonuje jakby elita wewnętrzna: żydowski naukowcy, lekarze, pisarze i inni. Natomiast w łonie tej elity wewnętrznej istnieje super-elita - ludzie na tyle zdeterminowani, że decydują się na lata przesładozań, dyskryminację i bezrobocie, aby zdobyć wizę wyjazdową do Izraela. Ale kiedy tam przyjeżdżają, często nie mogą znaleźć pracy odpowiadającej ich kwalifikacjom. Lekarze mogą być zmuszeni do podjęcia pracy pielęgniarszy bądź sanitariuszy, fizycy do uczenia w szkołach podstawowych itp. Nie wywołuje to, rzecz jasna, entuzjazmu. Jednakże moi przyjaciele z Izraela powiadają, że owa sowiecka super-elita żydowska przyniosła ze sobą wszystkie cechy "człowieka sowieckiego": jej członkowie są opryskliwi wobec osób sobie podległych i uniżeni wobec przełożonych. Wymagają i przyjmują swój nowy los bez godności. Krótko mówiąc, nie potrafia się dopasować do standardów i obyczajowości człowieka Zachodu. A jest to przecież śmietanka elity społeczności sowieckiej. Czegoż można oczekiwać od zwykłego obywatela?

Urban: *Dziwne jest, że ani Czesi, ani Polacy, ani Chrińczycy nie zachowują się tak*

na emigracji. Czy nie jesteśmy uprzedzeni, patrząc w ten sposób na "człowieka sowieckiego"?

Besańcon: Nie sędzę. Weźmy najbardziej ideologiczną i fanatyczną część chińskiego społeczeństwa komunistycznego - "Gwardię Czerwona", która dokonała tak strasznych spustoszeń podczas Rewolucji Kulturalnej. Wielu spośród tych młodych brutalni udało się później przedostać do Hong Kongu. I czym się zajmują? W ciągu kilku tygodni podjęli pracę, założyli rodziny, wysłali swe żony do pracy w fabrykach, przystosowali się do miejscowych "kapitałistycznych" warunków i w efekcie udało im się zostać biznesmenami. Nie obchodzi ich dziedzictwo ideologii i roztkliwianie się nad chwałą maoistowskich Chin.

Emigranci sowieccy - wręcz przeciwnie: stają się w wyniku emigracji nieudacznikami. Żyją w stanie narzuconej sobie izolacji i nie chcą uczyć się naszych języków. Grzmia i rzucają gromy na Świat Zachodni, poucżają każdego, kto chce słuchać, że społeczeństwo sowieckie może jest złe, ale Zachód jest całkiem beznadziejny, choć z całym innym powodów.

Urban: Czy jest to zjawisko wyłącznie "sowieckie"? Niektórzy XIX-wieczni emigranci rosyjscy zachowywali się bardzo podobnie. Uwagi Hercena na temat niedoskonałości Zachodu miały nie mniej krytyczny charakter, aniżeli opinie Sołżenicyna. A przecież Aleksander Hercen, w odróżnieniu od Sołżenicyna, był "zeuropelizowany".

Besańcon: Tak, w zachowaniu "człowieka sowieckiego" na emigracji dużą rolę odgrywa domieszka dziedzictwa rosyjskiego /vide Sołżenicyn/. Przyniósł on ze sobą XIX-wieczną tradycję "duchowości", która w specyficznym kontekście kultury rosyjskiej oznacza aurę zbawczego prawosławia wymieszaną z rosyjskim nacjonalizmem. Sączy to w niego poczucie rezygnacji, ponieważ "duchowość" nie mogła i nie może być zaspokojona. W ten sposób jego duchowa choroba nabiera dodatkowych barw i głębi.

Urban: Ta różnica zachowań jest naprawdę zadziwiająca: Chińczycy, jak posłuszne dzieci Konfucjusza, starają się czynić dobro na tym świecie poprzez zaangażowanie i inteligencję, podczas gdy były człowiek sowiecki zapala na paryskim poddaszu swą lampkę oliwną, oddając się uroczo beznadziejnym rozmyślaniom o zbawczej misji swego narodu oraz niewdzięczności Zachodu. Muszę panu wyznać przy tym, że mam dużo - zapewne źle ulokowanego - podziwu dla ludzi, którzy z taką pasją oddają się sprawom przegranym, a tylko niewielkie uznanie dla praktycznych Chińczyków.

Besańcon: Nie będę się z panem spierał, ale chciałbym zauważyć na marginesie, że rosyjska skłonność do lekceważenia i unikania działań praktycznych oraz - w pewnym sensie - wszelkiej "nowoczesności", do miotania gromów, kiedy życie codzienne staje wprost utopii - ma także przedsowieckie korzenie. Poprzedza ona "duchowość" i wiąże się z rosyjskim wykształceniem religijnym pierwszych dziesięcioleci XIX wieku.

Oczywiście, cała XIX-wieczna edukacja rosyjska miała charakter religijny. W owym czasie jej specyficzne ukierunkowanie wywodziło się z niemieckiej filozofii idealistycznej /illuminizm/ z lekka tylko zmniejszonej przez cienką warstewkę rosyjskiego nacjonalizmu. Wpajała w młodzież lekceważenie dla świata prawa, pieniędzy, handlu, przemysłu i dbałości o pozycję finansową. W istocie była wroga wobec całej zachodnioeuropejskiej cywilizacji "burżuazyjnej". W jej świetle Europa była skorumpowana, ponieważ otworzyła się na ducha Oświecenia i nauki, zaś Stany Zjednoczone były karykaturą Europy. Nauczano, że

Święta Opatrzność wybawiła Rosję od destrukcyjnego wpływu zarówno katolicyzmu, jak i protestantyzmu i że właśnie Kościół rosyjski miał doprowadzić do duchowego odrodzenia Europy.

Sowiecka inteligencja - czy to w Rosji czy też na emigracji - z dziedziczny częściowo ducha XIX-wiecznego wykształcenia rosyjskiego. Potępienie świata współczesnego wyjaśnia nam przyczyny, dla których większość inteligentnych i wrażliwych Rosjan cierpi na poczucie wyobcowania i takim trudem pozbywa się płaszcza ideologii.

Urban: Uważa się, że Rosjanie "lubią" cierpienie, ponieważ wydaje się im, że dają im ono prawo do wyższej wrażliwości i godności osobistej. Niektórzy twierdzą, że dzieje się tak, gdyż Rosjanie są w świecie współczesnym naturalnymi chrześcijanami, inni zaś uważają ich za naturalnych "niewolników".

Besançon: XIX-wieczny satyryk, Sałtykow-Szczedrin, pisząc do rodziny z podróży po Francji, poczynił godne uwagi sprostowania: "W Rosji dzieje się gorzej, aniżeli tu, we Francji, ale w gruncie rzeczy jest lepiej, bowiem my, Rosjanie więcej cierpimy...". Może oni naprawdę lubią problemy?

Urban: Czy nie można by znaleźć innego albo dodatkowego wyjaśnienia? W książce "Intelektualne źródła leninizmu" pisze pan w związku z analizą "Katechizmu Rewolucjonisty" Nieczajewa, że w rosyjskiej tradycji radykalizmu zawarta jest nie tylko Komunia świętych, ale też i Komunia grzeszników: "Religijność rosyjska gotowa jest wierzyć, że obok wspólnoty w prawdzie istnieje wspólnota w występku - Komunia grzeszników podobna do Komunii świętych. Stanowi to największą pokusę dla dojrzałych dusz."

Sądzę, że "Rosjanin niezrozumiały", "Rosjanin wyizolowany na emigracji", "Rosjanin odrzucony przez świat i pielegnujący swój "Weltanschauung" należy do pańskiej "Komunii grzeszników" - do ludzi, którzy czują się wywyższeni poprzez swoje odstępstwo i wyzwanie rzucające każdej społeczności. Czy w emigracji sowieckiej, tak jak i w samym Związku Radzieckim, nie znajdzie się wielu ludzi, których można by scharakteryzować jako "wyrzutków z wyboru", ludzi rozkwitających w warunkach swobody, intelektualnych wolnych strzelców, uważających się za świętych grzeszników?

Besançon: W rosyjskiej tradycji filozoficznej panuje brak poszanowania prawa, jurysdykcji a nawet powszechnie przyjętej etyki społecznej. Zwłaszcza XIX-wieczni intelektualści rosyjscy doszukiwali się specjalnych wartości w szukaniu wyzwań i negowaniu moralnych zasad społeczeństwa. Dostojewski na piedestale świętości postawił zbrodniczego Stawrogina. Rosyjski rewolucyjny ateista był wierzącym, który wiarę swą odwrócił do góry nogami. Pod względem temperamentu i języka był członkiem bractwa zakonnego.

Nie było to pojęcie typowo rosyjskie. Brało się ono, jak wiele innych zjawisk XIX-wiecznej Rosji, z Niemiec, ale zmieniło się w prowincjonalną karykaturę pod rosyjskim niebem. Abstrakcyjne rozważania Fichtego i Schellinga stawały się pod piórem Bakunina, Czernyszewskiego czy Nieczajewa ognistymi zbiorami reguł postępowania oraz ulotkami. W tradycji tej udział swój miała rosyjska socjaldemokracja, a później komunizm. Wcześni bolszewicy uważali siebie - mimo, że nieczęsto się do tego przyznawali - za wspólnotę świętych grzeszników. Dziś, pański wygnany dysydent, intelektualista sowiecki osiadły w lewobrzeżnym Paryżu, tęskniący za swym "kolektywem", czy sowiecki pisarz żyjący w stanie permanentnego przynębiania nad jeziorem Starnberskim, w pewnym sensie znajduje się w środowisku psychologicznym podobnym do tego, które zrodziło bolszewików.

Urban: Wróćając do Rewolucji Węgierskiej - czy można wskazać ten moment w życiu ideologii typu sowieckiego, kiedy rodzi się rozczarowanie i zaczyna uderzać nie-realitywność całej konstrukcji? W jakim stadium zaczyna być widoczne, że to wszystko jest lipą?

Besançon: Ograniczając się do ideologii sowieckiej - jako różnej od ideologii satelickiej - musimy zawsze pamiętać, że tak jak w judo nasz normalny refleks nie wystarcza - musimy poddać go reedukacji, by móc pochwytać rosyjski styl myślenia. Jeśli pańskie pytanie oznacza: - Czy ludzie sowieccy wierzą w ideologię?, bądź - Czy przywódcy sowieccy wierzą w ideologię?, czy też nawet: - Czy sam Gorbaczow wierzy w ideologię? - to musiałbym odpowiedzieć: jest to pytanie nieistotne. W ZSSR problemem jest nie kwestia wiary ale podporządkowanie jej wymogom ideologii, przyswojenia słownictwa oficjalnego. Na tak postawione pytanie odpowiadam bez zastanowienia: - Tak, postępują tak wszyscy bez wyjątku ludzie sowieccy.

Kiedy się to już stwierdzi, należy zapytać, jaki dokładnie sens ma ta potworna energia wyładowywana codziennie w telewizji, radio, publikacjach, szkołach, fabrykach, biurach itd., przez miliony propagandzistów w siedemdziesiąt lat po zapoczątkowaniu socjalizmu? Dlaczego reżim spodziewa się, że 250 milionów sowieckich obywateli będzie wsłuchiwało się w linię partii, w którą nikt nie wierzy? Czy jest to z komunistycznego punktu widzenia przedsięwzięcie racjonalne? Cóż ma ono udowodnić?

Sowiecka propaganda udowadnia siłę. Tak długo, jak zwykły obywatel poddaje się temu rytuałowi, uznaje swoją niewolniczą pozycję. Dopóki nie krzyczy z wściekłością: "To wszystko jest stekiem kłansta!", dopóki posłusznie przeżuwa sformułowania czytane mu z *Prawdy*, daje świadectwo nie tylko władzy reżimu, ale również temu, że sam stał się poddanym.

Urban: Czy komunizm o inspiracji sowieckiej nie przybrałby innych form na przykład we Francji?

Besançon: Komunizm we Francji byłby dokładnie taki sam, jak w Związku Sowieckim. Dopóki istnieje partia komunistyczna czekająca na okazję do przejęcia władzy, można by się we Francji spodziewać wyłącznie komunizmu w stylu sowieckim. Proszę spojrzeć na cele nakreślone w którymkolwiek z prowincjonalnych biuletynów komunistycznych - nie odbiegają ani treścią, ani językiem od biuletynów wydawanych w Wietnamie czy Kabulu. W istocie w całym świecie komunistycznym dominuje ten sam język i ten sam program intelektualno-polityczny.

Urban: Nie sądzi pan, że decydującą rolę odegrałyby francuskie tradycje narodowe, historia i kultura?

Besançon: Pewną rolę - tak, decydującą - nie. Jedną z cech charakterystycznych władczego komunizmu jest umiejętność selekcji tych tradycji kraju, które są użyteczne dla celów ideologii i które można eksponować, jako kamienie milowe na drodze do historycznego momentu, gdy naród przyjmie idee komunistyczne. W Rosji bolszewicy mogli bazować, jak to zresztą czynili, na tradycjach carskich. W Chinach zwolennicy Mao wykorzystali dziedzictwo imperialne. W Niemczech wschodnich czyni się użytek z tradycji pruskiej, a we Francji - cóż, znalazło by się całe zastępy odpowiednich protoplastów, od Filipa Sprawiedliwego do jakobinów i prefektów Napoleona.

Jednym z najbardziej przekonujących dowodów uniformizmu komunizmu

jest język przywódców komunistycznych różnych narodowości używany w prywatnych rozmowach. Francuski gaullista i niemiecki socjal-demokrata w podobnej pogawędce stosują niewyszukane, przyziemne słownictwo, jakiego używają też w kontaktach z agentem mającym ubezpieczyć ich samochód, czy partnerem od tenisa. Inaczej rzecz się ma z przywódcami komunistycznymi. W prywatnej konwersacji posługują się tym samym drewnianym językiem, jaki służy im do enuncjacji publicznych. W moim przekonaniu jest to bardzo ważna wskazówka, czego można się spodziewać po władzy komunistycznej w dowolnym kraju.

Urban: Wiele faktów potwierdza pańskie spostrzeżenia. Ja lubię odwoływać się do dzienników Veljko Mićunovića z lat spędzonych w Moskwie w charakterze ambasadora Jugostawii /1956-1958/. Duża jego część poświęcona jest Rewolucji Węgierskiej oraz egzekucji Imre Nagya i jego współpracowników. Mićunović trafnie pokazuje, jak "nieortodoksyjny" Chruszczow nalegał na stosowanie w rozmowach poufnych standardowego słownictwa propagandy sowieckiej: "obóz socjalistyczny", "ofensywa pokoju", "imperializm", "praworządność socjalistyczna" pojawiały się w ustach Chruszczowa zupełnie tak, jakby przemawiał z oficjalnej mównicy. Mićunović odcinając się od tych sformułowań, opatrzył je cudzysłowami.

Besançon: Nie powinno nas to dziwić. W jakim języku można się porozumiewać, kiedy jest się przywódcą sowieckim? Jest się właśnie dlatego wybieranym na to stanowisko, ponieważ tym właśnie językiem się mówi. Język jest twoim jedynym uprawomocnieniem; nie możesz używać żadnego innego, bo zrujnowałoby to twoją pozycję.

W społeczeństwie sowieckim stosowane są cztery różne języki. Jednym jest "drewniany" język ideologii przypisany środowiskom masowego przekazu. Mówiliśmy o nim. Na drugim biegunie tego spektrum mamy "naturalny" język komunikacji prywatnej - język matki rozmawiającej z dzieckiem, język zachochanych, przyjaciół. Między nimi mieszczą się dwa pseudojęzyki: "pseudodrewniany" - stosowany wtedy, gdy chce się sprawić wrażenie, że bierze się udział w grze pozorów zdrewniałego słownictwa, ale nie czyni się tego w sposób całkowicie przekonujący; oraz język "pseudonaturalny", którego w pewnych okolicznościach używają przywódcy sowieccy, aby sprawić wrażenie, że są "tacy jak wszyscy". Chruszczow był mistrzem języka "pseudonaturalnego". Jest to także język dyplomatów sowieckich stosowany w rozmowach z partnerami zachodnimi w celu wykazania, iż nie różnią się wcale od oficjeli zachodnich i powinni być traktowani na takich warunkach, na jakich traktowane są kraje zachodnie we wzajemnych kontaktach. Te cztery języki składają się, w moim przekonaniu, na lingwistyczny wszechświat komunizmu.

Urban: Przejrzymy się nieco tym grupom lingwistycznym. Oczywiście najważniejsze jest zachowanie języka "naturalnego". Mam wrażenie, że tak długo jak ludzie większość swego czasu poświęcają na formułowanie stwierdzeń w rodzaju: "Chcę kawałek chleba", "Kocham swego męża" czy "Trzeba zreperować ten dach", ostaniągają się - jak pan to powiedział - naturalną barierą przed skażeniem ideologicznym. Ale komunistom nie brak rozumu. Kiedy żądali od ludności mówienia: "Kocham towarzysza Stalina" czy "Kochamy towarzysza Rakosiego" transponowali ideologię na taką odmianę języka naturalnego, która była zrozumiała mimo, iż zwykły człowiek brzydził się tym, co musiał mówić.

W związku z tym moje pytanie brzmi następująco: czy reżim zdołał skorympować a nawet wyeliminować także język naturalny? Ideałem z komunistycznego punktu widzenia byłoby nakłonienie ludzi do mówienia - i czucia - "Kocham materializm dialektyczny" - a wiemy, że na przykład Mao nieomówiłby personifikacji "socjalizmu" i traktował kult własnej osoby jako ustępstwo na rzecz "zacołanego" chłopstwa.

W "Roku 1984" George Orwell mówi nam, że jedyną rzeczą, której nie udało się osiągnąć ideologii były osobiste myśli oraz preferencje jednostek ludzkich. Taki jest sens miłości między Winstonem a Julią. Ale - pyta Orwell - czy Winston zdradziłby Julię, gdyby poddano go torturom; czy Julia zdradziłaby Winstona? Tak, mogło by się tak stać. Mogłoby zostać zmuszeni do przyznania się. Jednakże "Przyznanie się nie jest zdradą", powiada Julia. "Jeśliby potrafili zmusić mnie, bym przestała cię kochać - to byłaby prawdziwa zdrada." "Mogą cię zmusić, byś powiedział wszystko, wszystko, ale nie mogą cię zmusić, byś w to wierzył. Nie mogą się dostać do twego wnętrza. Jeśli czujesz, że warto pozostać człowiekiem, nawet gdy nie ma to już większego znaczenia - pokonałeś ich."

Czy ten rodzaj preferencji oraz języka naturalnego, który je wyraża, mógłby być wyeliminowany przez jakiegoś Mao czy Pol Potą?

Besançon: Nie sądzę, by było to możliwe i nie sądzi tak Orwell. Eliminując je, system wyeliminowałby ten fragment rzeczywistości, na którym musi się opierać, aby przetrwać. Społeczeństwo sowieckie żeruje na rzeczywistości i - jak wszystkie pasożyty - potrzebuje ciała, które by je żywiło. Potrzebuje ludzi o określonym stanie zdrowia, o określonym stopniu wykształcenia, o pewnym poziomie intelektualnym umożliwiającym planowanie i pracę. Zniszczenie również tego byłoby równoznaczne ze zniszczeniem samych fundamentów władzy.

Urban: Czy może pan sobie wyobrazić taką manipulację psychologiczną, która skłoniłaby człowieka do myślenia i mówienia "Kocham towarzysza Stalina" a jednocześnie sprawiła, żeby nie umiał powiedzieć "Kocham Julię"?

Besançon: Mówienie "tak", a myślenie "nie". Miłość do Stalina była koncesją reżimu na rzecz naturalnych odczuć i naturalnego języka. Stwierdzenie "Kocham Julię" daje się pogodzić ze stwierdzeniem "Kocham towarzysza Stalina", ale nie daje się pogodzić z "Kocham komunizm". Stalin był mimo wszystko realnym człowiekiem, rzeczywistym "Woźdżem". Można go było kochać tak, jak ludzie kochali cara czy Wielkiego Chana. Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, w której człowiek mógłby powiedzieć, że kocha Stalina a jednocześnie podlegałby takiej manipulacji, że nie mógłby darzyć miłością Julii.

Urban: Tak więc żądanie reżimu, by przeciętny obywatel skandował "Kocham towarzysza Stalina" albo "Śmierć zdrajcy Trockiemu" jest koncesją na rzecz humanizmu zwykłego człowieka, przyznaniem się reżimu, że nie udało mu się wypaczyć natury ludzkiej?

Besançon: W sposób paradoksalny, tak. Takie są - można by powiedzieć - prawa dialektyki.

Czy kultura alternatywna może przetrwać?

Urban: W pierwszej części tej rozmowy dyskutowaliśmy nad pytaniem - czy ideologia totalitarna może skorumpować bądź nawet wyeliminować z użycia język naturalny - język używany w rozmowie matki z dzieckiem lub sprzedawcy z klientem. Doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie nie.

Istnieje monastyczna koncepcja komunizmu krzywo spoglądająca na uczucia i obywateli indywidualnie, jako że odwracają one uwagę od rewolucji. Ta śmiertelnie poważna odmiana komunizmu doszła do głosu w trakcie chińskiej Rewolucji Kulturalnej, ale także w związku sowieckim przez długi czas przesiąknięty był nią moralny kodeks partii. Wiele osób, w tym zwłaszcza Milovan Đilas, pisało o surowych lecz prawych aparatczykach. Celem było wyhodowanie takiego gatunku człowieka, który mógłby szczerze powiedzieć: "Kocham materializm dialektyczny".

Besançon: Był to cel utopijny, którego nigdy nie osiągnięto. Prawdą jest, że komunizm rosyjski w swej formie purystycznej jest wiarą surową, nie wychwala przyjemności, wystrzega się pożądania, wysoko ceni martyrologię i cierpienia. Tu także znajdujemy nawiązanie do odczuć wyrażonych w XIX wieku przez Sałtykowa-Szczedrina.

Bohater Czernyszewskiego, Rachmetow /w powieści *Co robić* z 1883r./ jest chyba najlepszym przykładem tego XIX-wiecznego socjalistyczno-scjentystycznego ascetyzmu, na którym wzorował się Plechanow, a po nim Lenin i bolszewicy. Tu także umiejscowione są początki komunistycznej idei *Nowego Człowieka* /powieść Czernyszewskiego opatrzona była podtytułem: *Opowieść o Nowych Ludziach* /.

Rachmetow nagle przestrzega, że jest zakochany. Na coś takiego nie może sobie pozwolić: *"Muszę wypełnić tę miłość - ona zwiąże mi ręce. Już są związane i niełatwo będzie je uwolnić. Muszę nie kochać."* Rachmetow kocha ludzkość, nie znosi zaś ludzi. Innymi słowy, wyrzeczenie się stosunków osobistych i języka naturalnego jest w pewnym stopniu zakorzenione w rosyjskiej przeszłości intelektualnej.

Urban: *Niektórzy dysydenci wschodnioeuropejscy dla zdystansowania się od tego dziedzictwa zdecydowali się na podejście pośrednie. Pozostają wewnątrz marksistowskiego - choć nie leninowskiego - universum oraz języka. Myślą zapewne, że ich jedyną szansą jest reformowanie systemu od wewnątrz, podobnie jak czynili to wesełni humaniści, którzy używali średniowiecznego słownictwa kościelnego dla wyrażenia idei coraz to bardziej wrogich wobec ortodoksyjnych dogmatów. Czy potrafi pan sobie wyobrazić kategorię marksistowskie i ten język stosowane w celu doprowadzenia do poważnej krytyki a następnie zerodowania systemu? Marksizm znieszczonego bronią marksizmu? Coś w tym rodzaju zdarzyło się na Węgrzech w 1956 i w Pradze w 1968 roku.*

Besançon: Jest to równoznaczne z obraniem trudnej drogi i niepewnych rezultatów, aczkolwiek w pewnych warunkach tylko ta droga może być dostępna. Wyjściem czystym jest odwrócenie się od całego skorumpowanego klimatu ideologii.

Dlatego właśnie podziwiam Władimira Bukowskiego. Podjął świadomą decyzję, że nie wystarczy być dysydentem i emigrantem. Zajął się biologią jako nauką ścisłą, która uodporni go na ideologię skuteczniejszą, niż jakakolwiek kontr-ideologia. Marksizm jako nauka jest fikcją, biologia - nie.

Metoda Bukowskiego jest honorowa i jedynie skuteczna. Polacy w czasie *Solidarności* postępowali w ten sam sposób. Nie starali się iść na ugodę jedynie korzystną dla partii lub ideologii /choć wykorzystywali słabość obu/ - postanowili odrzucić ideologię i ogłosić alternatywny system wartości oraz alternatywną kulturę.

Urban: *Idea, że narody środkowoeuropejskie mogą żyć poza zasięgiem ideologii ale przy akceptacji systemu jako zła, którego nie da się pokonać, ma wielu zwolenników nie tylko w Polsce, lecz także na Węgrzech oraz - w mniejszym stopniu - w NRD i Czechosłowacji. Czy nawoływanie do wyjścia poza system może odnieść skutek?*

Besançon: Perspektywa społeczeństwa alternatywnego i alternatywnej kultury nie jest perspektywą - jest już faktem. Zawsze podkreślam, że nie ma czegoś takiego, jak społeczeństwo socjalistyczne czy sowieckie. Naprawdę mamy do czynienia z *komunistyczną dominacją nad resztkami normalnego społeczeństwa*. Społeczeństwo socjalistyczne jest projekcją ideologii.

Nacisk wywierany przez reżim komunistyczny może, często nie bez powodzenia, zredukować pozostałości normalnego społeczeństwa do wymiaru prywatnego, ale każda jednostka może zachować swą indywidualność,

swą ludzką godność i nawet zyskać nieco pola, gdy nadarzą się sprzyjające okoliczności. W Polsce i na Węgrzech właśnie teraz istnieją sprzyjające okoliczności.

Urban: Niech mi wolno będzie zacytować fragment jednego z wystąpień Csuwki, w którym uzasadnia on alternatywną kulturę węgierską: "Uważając, że naród węgierski nie jest w stanie sam zmienić układu sił w świecie, geograficznej pozycji Węgier czy nawet wewnętrznego układu sił, musimy wypracować życiową strategię dla Człowieka żyjącego niezależnie od świata polityki. Musimy wypracować zasady postępowania dla tego pracowitego, uległego, godnego zaufania obywatela, który nie chce potęgi ani władzy, który zatem nie prowokuje władz do niepokoju i inspirowanych strachem aktów przemocy, a tylko sam określa swą wewnętrzną autonomię, swój sposób życia i zakres własnej ludzkiej egzystencji. Jego sprzeciw wobec grożących mu ze wszystkich stron nacisków nie będzie wyrażał aktu oporu a raczej fakt, że będzie po prostu żył własnym, autonomicznym, konstruktywnym dla niego życiem w stopniu określonym pewnymi ramami... Ten konstruktywny program musi być ze wszelkich miar węgierski... musi być przesiąknięty miłością.". Czy uważa pan, że da się to wprowadzić pod panowaniem sowieckim?

Besançon: Cóż, jest to dziwna deklaracja. Bardzo luteranśki typ deklaracji - pozostawienie spraw światowych Księżciu świata świeckiego i przesunięcie całej pozostałej sfery do indywidualnej świadomości prywatnej. Jest to także deklaracja wysoce apolityczna, bowiem próbuje zbudować społeczeństwo bez wymiaru politycznego. Dla Platona czy Arystotelesa byłoby to przedsięwzięcie nierealne i myślę, że jest nierealne.

Oczywiście nie możemy odrzucać deklaracji jako nieistotnej, gdyż to jest program ucieczki od ideologii. Ale idea pozostawienia świata Księżciu świata - aby móc ocalić duszę przez wybudowanie uczciwego, czystego i wolnego świata wewnętrznego - jest zwykłym eskapizmem. Polacy w czasach *Solidarności* próbowali podobnej koncepcji - wyzwolone, autonomiczne, czysto polskie społeczeństwo miało w jakiś sposób koegzystować z reżimem politycznym, który nie był ani wolny, ani autonomiczny, ani polski. Nie można uciec od wymiaru politycznego i twierdzić przy tym, że oto mamy tu autonomiczne i uczciwe społeczeństwo.

Urban: Ale czyż Polacy i Węgrzy nie są od dawna mistrzami w tej dziedzinie? Ich doświadczenia z ostatniego stulecia można bez wielkiego trudu sprowadzić właśnie do tego, mimo że warunki są teraz zupełnie inne. Na przykład, Węgrzy musieli opowiedzieć umięjętność wspierania "Równoległej kultury", pisania językiem esopowym itd. między upadkiem Rewolucji 1848-1849 roku a Ugodą z 1867 roku. Nauczycieli się ignorowania, tamowania, a później wchłaniania sił ucisku.

Besançon: Ucisk austriacki w porównaniu z czterdziestoletnią kontrolą sowiecką był istną rozkoszą. Nie dotyczyał społeczeństwa ani umysłów obywateli. *Ancien régime* opierał się na teorii, że Państwo jest oddzielone od społeczeństwa. Państwo troszczyło się tylko o te sprawy, którymi nie mogło się zająć społeczeństwo: obronnością, jurysdykcją, prawem, porządkiem. Habsburgowie byliby przerażeni, gdyby ktoś nakłaniał ich do wprowadzenia władzy totalitarnej na Węgrzech. Nie rozumieliby, o co chodzi.

Urban: Nie widzi pan przyszłości przed polsko-węgierskim programem społeczeństwa alternatywnego?

Besançon: W zasadzie nie. Nie ważne jak skronie zdefiniuje pan obszar, na którym poszczególńy mężczyzna czy kobieta ma zachować swą

autonomię - zderzenie z otaczającą "rzeczywistością sowiecką" będzie nieuniknione. Za każdym razem będą się wyłaniały konflikty, trzeba będzie zawierać kompromisy, a te podkopią wiele spośród podstawowych zasad. Sowiecka ideologia w sposób absolutny wymaga, by obywatel wyszedł poza prawidłowe użycie języka i świętował triumf systemu w ulicznych tańcach, kapelach, chórach i innych manifestacjach oficjalnie zaprogramowanej euforii. Oczekuje się, że pokaże on, iż otaczająca go pseudo-rzeczywistość, jest rzeczywistością.

Znajomy historyk skonstatował ostatnio, że nie może pojąć pewnych spraw związanych z aneksją Estonii. Powiedział tak: kiedy już inwazja została postanowiona, represje wobec tego kraju były szalone, ale możliwe do pojęcia, plebiscyt był szalony, ale zrozumiały. Po co jednak entuzjastyczne masówki, które miały czcić te potworne wydarzenia? Po co muzyka i dzweczka w strojach ludowych?

Tu oczywiście wkracza ideologia. Skoro Sowieci stwierdzili, że Estończycy zostali wyzwoleni i z własnej woli przyłączyli się do ZSSR, musieli pokazać, że tak właśnie było - bez względu na prawdę. Sowieci potrzebowali tancerzy estońskich do własnej legitymizacji. Z tej to przyczyny nie wierzę, by kultury i społeczeństwa alternatywne miały dużą przyszłość pod panowaniem sowieckim. Mam nadzieję, iż przyszłość pokaże, iż nie mam racji, ale jeśli tak się stanie, będzie to oznaczało, że w sowieckim systemie zaszła jakaś fundamentalna zmiana.

Urban: Kiedy prezydent Reagan napiętnował Związek Sowiecki jako światowy "ośrodek zła", czy w pańskiej opinii miał on na myśli ów powszechny kult kłamstwa, pojmowanego jako główny element "zła"? I dlaczego tak wstrząsnęło Sowiecami coś, co było zaledwie niewinnym docinkiem w sadamionym sporze?

Besançon: Byłem obecny przy wypowiedaniu tej uwagi przez prezydenta. Uderzyła mnie wyrażona w niej prawda oraz prostota, z jaką Reagan ją wyraził. Reagan był szkalowany i wyszydzany z powodu swego sformułowania, ale sądzę, że dotknął samej istoty władzy komunistycznej. Nikt dotąd nie podał nam bardziej obrazowej definicji tego, czym jest system sowiecki. "Ośrodek zła" jest sformułowaniem filozoficznie doskonałym. Ideologia sowiecka wynosi wzajemną nienawiść do godności cnoty i oddaje jej cześć. Jest to wystarczające zło, ponieważ zostało użyte do usprawiedliwienia mordów popełnionych na milionach chłopów ukraińskich na początku lat trzydziestych, stalinowskiego Wielkiego Terroru oraz wszelkich innych okrucieństw w ludobójczej historii Moskwy.

Ale jądro zła, o którym mówił Reagan nieścisłe się jeszcze głębiej, gdyż jest nim wyrzucenie na opak całego naszego poczucia wartości oraz zrujnowanie rzeczywistości. Jest to generalny atak na wszystko, w co człowiek wychowany w społeczności cywilizowanej wierzy jako dobre i uczciwe.

Pyta pan, dlaczego Sowiecami tak wstrząsnął niewinny docinek Reagana. Tu właśnie tkwi przyczyna. Dla przywódców sowieckich "ośrodek zła" nie był wcale niewinnym docinkiem. Oznaczał demaskację kłamstwa o władzy sowieckiej w prostych słowach popartych autorytetem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Reagan dotknął czulego nerwu sowieckiej rzeczywistości.

Socjalizm, który nigdy nie był socjalizmem

Urban: Wszystko to prowadzi nas do pytania: w jakim momencie najprawdopodobniejsze jest załamanie ideologii? Rozwiń pan moje nadzieje, że potrafimy stworzyć zespół warunków, których wspólne działanie przynajmniej utwori upadek ideologii.

Odwotując się do przykładu węgierskiego nadal twierdząc, że abdykacja ideologii poprzedza upadek władzy. Uważam za dowiedzione, iż na Węgrzech z ideologii resztko powietrze w momencie, kiedy publicznie poddano w wątpliwość niewzruszoność partii komunistycznej. Spowodowały to co najmniej trzy czynniki: rewelacje Chruszczowa o "wypaceniach" Stalina, rehabilitacja László Rajka i sowiecka akceptacja Gomłki. Król był nagi i każdy to mówił.

Besançon: Widzę to nieco inaczej. Ideologia upada wraz z upadkiem władzy komunistycznej. Władza i język są dla mnie tym samym. Kiedy ujawniono prawdę o sprawie Rajka, reżim rehabilitował historię, zadawał kłam całej ogromnej produkcji fałszywych interpretacji /że Rajk był agentem Tito, szpiegiem, pacholkiem imperializmu/. Produkcja ta była legitymacją władzy. Kiedy ją oddano i gdy Chruszczow ustąpił na XX Zjeździe KPZS przed prawdą, sowiecka władza komunistyczna została oddana wraz z językiem. Albo - jeśli pan woli - ideologia i język upadły wraz z legitymacją władzy komunistycznej. Język komunizmu jest władzą komunizmu.

Urban: Ale weźmy przypadek Czechosłowacji - tam również rebelia dziennikarzy i pisarzy, którzy stworzyli Praską Wiosnę była przyczyną, a nie konsekwencją upadku władzy komunistycznej. Pisarze - o ile moja interpretacja jest słuszna - wypresdzali resztę społeczeństwa, słowami pozbawiali partię władzy.

Besançon: Powiedziałbym, że ci, którzy ukuli i stosowali żargon oficjalny zaczęli wyczuwać bliski koniec władzy komunistycznej i odpowiednio dostosowali swój język. Zaczęli mówić swymi naturalnymi głosami, ponieważ władza wokół nich waliła się. Byli jak towarzysze Ulisesa, których Kirke zamieniła w świnie, zrzucający z siebie czar Kirke i wracający do formy ludzkiej. Nie sądzę, byśmy musieli szukać czegoś więcej. Upadek władzy jest koniecznym i wystarczającym warunkiem upadku ideologii. Obie te rzeczy są tym samym.

Urban: Wydaje się, że w swych rozważaniach pominął pan siłę komunistycznego "establishmentu" - ludzi, którzy zainwestowali w reżim i starają się przekonać samych siebie, że to co robią jest moralnie właściwe.

Besançon: Kwestia liczebności oraz "wiary w komunizm" nie odgrywa żadnej roli. W istniejącej tradycji komunista jest ten, kto jest członkiem partii komunistycznej - innej definicji nie ma. A kiedy partia rozplywa się bądź upada, tak jak w Pradze czy w Budapeszcie, nagle z komunizmu nic nie zostaje, bez względu na interesy i przekonania establishmentu. Zaś partia komunistyczna - każda partia typu sowieckiego w Europie Wschodniej - może się zawalić w każdym momencie, bo jest zbudowana z piasku.

· Nie będę wzywał losu spekulując, jak i w jak odległej przyszłości ci mogą upaść partie komunistyczne oraz czy zachodnie rządy powinny popierać koordynację ich upadku w kilku krajach na raz. Powiem tylko, iż napawa mnie otuchą ciągła walka partii komunistycznych o utrzymanie izolacji od prawdziwego społeczeństwa. I partia, i społeczeństwo wiedzą, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

Urban: Jednym z najbardziej zadziwiających aspektów zrywów na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Polsce był niemal zupełny brak odzewu ze strony narodów ZSSR. Oczywiście odważne jednostki odpowiedziały na nie i zapłaciły za to. Reakcją Rosjan była wrogość w stosunku do aspiracji Węgrów, Czechów, Słowaków i Polaków, zaś narody mniejszościowe - z wyjątkiem nietypowych Bałtów - były bierne, tak jakby ich to nie obchodziło. Reakcja zwykłego obywatela sowieckiego zawierała się w zdaniu: "Jeśli my nie możemy żyć lepiej, oni też nie powinni...". Czy ma pan jakieś bar-

dziej przekonujące wyjaśnienie?

Besançon: Cóż, znów odwołując się do Solżenicyna - wyjaśnienie leży w rosyjskiej tradycji. Przed około 150 laty markiz de Custine zauważył, że odwrotną stroną uległości Rosjan w domu jest ich agresywny imperializm w stosunku do zagranicy. "Kłęczący niewolnicy - pisal - marzą o dominacji nad światem".

Diagnoza ta jest dzisiaj tak samo słuszna jak w 1830 roku. Smutkiem napawa to, że ideologiczne poddaństwo, którego wymaga system totalitarny powoduje, iż czujesz niechęć do samego siebie. Gardzisz sobą jako człowiekiem, ponieważ zabrakło ci odwagi, by powiedzieć systemowi "nie!". I pocieszasz się w swej harfbie: "Jeśli już jestem sukinyńcem, niechże zachowuję się jak sukinyń" - i zachowujesz się tak!

Urban: Tak jak i pan obserwuję drogę tradycji liberalnej na scenie rosyjsko-sowieckiej. Najstraszniejsze w losie dysydentów rosyjskich jest nie aresztowanie i poniżenie przez władzę /w Związku Sowieckim należy się tego spodziewać/, ale niemal całkowity brak poparcia ze strony ludzi. Jurij Orłow i jemu podobni byli gnębieni i maltretowani przez współwzięniów - oraz oficjalnych gnębieli - bez powodu, tylko ze względu na "cudzoziemskość" ich żądań o przestrzeganie praw obywatelskich. Wiemy teraz także od ludzi bliskich w hierarchii Gorbaczowowi /na przykład od Fiodora Bustackiego/, że za Chruszczowa przeciętny sowiecki obywatel nie darzył sympatią destalinizacji a nawet nadal optował za metodami Stalina.

Bez wątpienia obraz "Kłęczącego niewolnika" nakreślony przez de Custine'a jest słuszny, bo inni dokonali podobnych i jeszcze ostrzejszych obserwacji. Aleksander Herzen pisał w 1851 roku: "Przyszłość Rosji będzie wielkim zagrożeniem dla Europy i wielkim nieszczęściem dla Rosji, jeśli nie dokona się emancypacja jednostki... Myślę, że istnieje pewne uzasadnienie dla lęku przed komunizmem, jaki zaczyna odznaczać rząd rosyjski: komunizm jest rosyjską autokracją postawioną na głowie". Jules Michelet, historyk francuski, ostrzegał w 1917 roku, że na wschodniej granicy Niemiec Rosjanie żądają miejsca pod słońcem jako "młoda" nacja, dla której nadeszła pora spotkania z historią. Z rzadką przenikliwością przewidział "socjalistycznego tyрана, nowopiecznego cara, który stanie się Mesjaszem parobków, barbarzyńskim Mesjaszem, straszny dla Europy". Trudno byłoby dokładniej przepowiedzieć los, który miał spotkać Rosję i dużą część Europy za czasów Lenina i Stalina.

Besançon: Cóż innego może zaoferować system sowiecki zwykłemu zjadaczowi chleba, jak nie poczucie przynależności poprzez Państwo i Komunizm do potężnego imperium? To jest istota głuchoty na nawoływania do rewolucji rozlegające się na peryferiach i na tym opierało się poparcie dla carskiego imperializmu, o czym pisał de Custine.

Musimy w tym miejscu zwrócić uwagę na fundamentalną różnicę między komunizmem rosyjskim a wschodnio-europejskim. Dla obywatela wschodnioeuropejskiego państwo komunistyczne jest "ich", a nie jego państwem. Dla Rosjanina, *faute de mieux*, jest jego państwem. Wywołuje ono lęk u obcokrajowców, a zawsze przyjemnie jest budzić lęk, jeśli nie ma się w życiu innej satysfakcji. Wywoływanie lęku w reszcie świata jest jedyną satysfakcją, którą zwykli sowiecki obywatel dzieli ze swymi władzami. Stanowi to silną więź między nimi.

Trudniej wyjaśnić milczenie większości narodowości nierosyjskich. Trzeba by przeprowadzić analizę każdego z przypadków, na co nie możemy sobie pozwolić w tej rozmowie.

Urban: Obserwatorzy sceny sowieckiej często skłaniają się do twierdzenia, że sytuacja imperium mogłaby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby różne zrywy w Europie Wschodniej zdarzyły się w tym samym czasie. W ciągu ostatniego czterdziestolecia co dziesięć - dwanaście lat dochodziło do rebelii czy wyłomu - w Jugosławii w 1948,

na Węgrzech oraz w Polsce w 1956 r., w Czechosłowacji w 1968 i w Polsce w 1980-1982 roku. Dla uczczenia 30 rocznicy Rewolucji Węgierskiej /23 października 1986/ wydano wspólną deklarację solidarności z jej dziedzictwem, podpisaną przez dysydentów z Polski, NRD, Czechosłowacji, Rumunii i oczywiście Węgier. 125 sygnatariuszy reprezentowało wszystkie odcienie nonkonformistycznej opinii publicznej. Czy nie jest to dla pana zapowiedź, że następnym razem eksplozja na peryferiach pociągnie za sobą inne wybuchy?

Besançon: Naturalnie bardzo dobrze było by, gdyby doszło do gwałtownej reakcji łańcuchowej, lecz nie wyobrażam sobie, by tak się stało. W gruncie rzeczy nie spodziewam się eksplozji, ale raczej implozji wewnątrz systemu sowieckiego. Może do niej dojść w kraju, gdzie system jest w największym stopniu wystawiony na cios, najbardziej absurdalny, kuszący ludzi do sprzeciwu - w samym Związku sowieckim. Miejscem najbardziej zagrożonym w systemie sowieckim jest Moskwa.

Warunkiem wstępnym jakiegokolwiek skutecznej zmiany na peryferiach jest implozja w Moskwie. Mieliśmy przedsmak takiej sytuacji w 1956 r., kiedy przeprowadzona przez Chruszczowa destrukcja mitu Stalina spowodowała powstanie na Węgrzech i dramatyczne starcie między przywódcami sowieckimi a komunistami polskimi w Warszawie. Coś takiego może się powtórzyć. Nie wątpię, że najmniejjsze zachwianie władzy w centrum doprowadziłoby, może w ciągu jednego dnia, do likwidacji władzy komunistycznej w całym satelickim imperium.

Urban: Czy nie sądzi pan, że gdyby miało dojść do takiej sytuacji, kraje zachodnie pospieszyłyby Sowietom z pomocą, wychodząc z założenia, że w niebezpiecznym świecie jakakolwiek stabilizacja jest lepsza od żadnej. W 1956 r. Zachód nie pokąpił się nawet, żeby uznać deklarację neutralności Węgier, nie mówiąc już o podjęciu jakiegokolwiek akcji, jeśli nie liczyć wyprawy na Suez.

Besançon: Podzielał pański pesymizm. Ale to nie powód, żeby ignorować złożone położenie systemu sowieckiego wraz z materialnym zapleczem, które zgromadził. W latach 1976-1977 Związek sowiecki znalazł się na krawędzi klęski głodowej. Świat zachodni, a zwłaszcza USA uratowały system przez konsekwencjami jego szaleństw, po części dlatego, że amerykańscy farmerzy potrzebowali rynków zbytu a politycy - głosów wyborców, po części zaś /jak twierdził m.in. G. Kennan/ z tego powodu, że broń żywnościowa uważana była za nieetyczną bez względu na to, przeciw komu jest stosowana. Obecnie osłabiony Związek sowiecki otrzymuje tanie zboże z Ameryki - zboże subsydiowane przez tych samych podatników, od których wyciąga się miliardy dolarów na sprostanie sowieckiemu zagrożeniu militarnemu. Faktem jest, że bez pomocy Zachodu system sowiecki eksplodowałby już dawno i nadal może go to spotkać. To Zachód utrzymuje przy życiu system sowiecki.

Pewnego dnia nasze rządy będą musiały zrozumieć, że w długiej perspektywie czasowej nie tylko bardziej honorowo, ale i bezpieczniejsz będzie pozwolić upaść systemowi sowieckiemu, aniżeli ciągle płacić za niego kaucję w nadziei, że się zreformuje. Związek sowiecki nigdy nie stanie się spokojnym i odpowiedzialnym członkiem społeczności międzynarodowej. Nigdy nie będzie się zachowywał jak Francja, Holandia czy Kanada. Nie o to chodziło w 1917 roku.

Urban: Powiedział pan, że największe zagrożenie dla imperium sowieckiego tkwi w samym Związku sowieckim, ponieważ system jest absurdalny, skorumpowany i tak też oceniany przez ludzi. Wydaje mi się, że Gorbaczow jest w pełni świadom tej absurdalności oraz korupcji i wybrał się w ryzykowną podróż ku "restrukturalizacji" systemu. Pomijam pytanie, czy w interesie Zachodu jest mieć w Rosji "akcepto-

walny" typ komunizmu, czy też raczej odmianę wyraźnie nieatrakcyjną odziedziczoną przez Gorbaczowa. Czy nie zgodziłby się pan, że Gorbaczow stara się wtlóczyć w system w wiek XX, a Rosjanom narzucić coś w rodzaju protestanckiej etyki pracy?

Jeśli tak, czy nie powinniśmy z pewną ostrożnością wyjść naprzeciw jego zapowiwi reformatorskiemu? Wszak nawet krótkotrwały reformizm Chruszczowa pozostawił historyczne piętno na imperium sowieckim dzięki ściągnięciu Stalina z piedestału, rozwiązaniu Gułagów, daniu Polakom i Węgom impulsu do rebelii oraz zniszczeniu monocentrycznego międzynarodowego ruchu komunistycznego. Te ważne konsekwencje destalinizacji nie były przewidziane przez Chruszczowa i jego popleczników.

Besancon: Gorbaczow przypomina mi nie tyle Chruszczowa, co Stalina z początku lat trzydziestych. Zdaje sobie sprawę, tak jak Stalin, że system sowiecki potrzebuje radykalnych zmian, jeśli jego kraj nie ma pozostać w ogniu wyścigu o dominację nad światem. Obecnie, tak jak w latach trzydziestych, system sowiecki stoi wobec świata postawionego w stan pogotowia. Tak jak "industrializacja za wszelką cenę" miała być odpowiedzią Moskwy na to pogotowie za Stalina, tak dziś odpowiedzią Gorbaczowa na poważną słabość strukturalną Związku Sowieckiego ma być "przebudowa".

Stalin umacniając swoją pozycję przez kilka lat traktowany był przez badaczy zachodnich jako "pragmatyk" i "zwolennik umiarkowania". Emil Ludwíg po przeprowadzeniu długiego wywiadu ze Stalinem sądził, że spotkał się z człowiekiem trzeźwym i rozsądnym - było to w 1931 r. Na Ukrainie chłopci byli deportowani i umierali milionami. Webbowie, H.G. Wells, a nawet znacznie później Churchill i de Gaulle uważali, że Stalin był człowiekiem, z którym można się dogadać; owszem - wyzwawca, ale nie fanatyk. Midge Decter, wnikliwy pisarz amerykański zauważył ostatnio: "rewolucja Rosyjska liczy już sobie 70 lat. W ciągu tych siedemdziesięciu lat Związek Sowiecki miał, nie licząc krótkich okresów interregnum, siedemiu "przywódców", z których czterech panowali w ostatnich sześciu latach. Pomijając Lenina... o każdym z nich dziennikarze amerykańscy pisali w swoim czasie, że otwiera nową erę".

Desperackie pragnienie znalezienia liberalizmu, rzeczywistych reform, choćby początków zmian systemowych tam, gdzie - moim zdaniem - ich w ogóle nie ma, znów bierze górę. Mówi ono więcej o mentalności zachodnich dziennikarzy i dyplomatów niż o Michale Gorbaczowie. Wsparty znacznie mądrzejszym zespołem /Dobrynin, Jakowlew i Falin, którzy zbierali doświadczenia już jako ambasadorzy w USA, Kanadzie i RFN/, aniżeli poprzednicy, Gorbaczow nauczył się jak należy grać na amerykańskim poczuciu winy i zachodnioeuropejskiej potrzebie przystosowania - jak dotknąć Amerykanów wykazaniem ich niedostatków w przestrzeganiu praw człowieka i jak kokietować Europę Zachodnią poprzez znalezienie dla Rosji miejsca pod wspólnym europejskim dachem. Przede wszystkim nauczył się grać na nerwach Europejczyków i Amerykanów przy pomocy czynnika nuklearnego. To, że wykorzystuje w tym celu katastrofę w Czarnobylu, świadczy o jego tupecie oraz perwersyjnie przewadze, jaką ma nad nami scentralizowana dyktatura, nie zmuszana do naginania się przez docieklive prawo, krytyczną prasę i nieobliczalną opinię publiczną. Gorbaczow dla własnych korzyści i nie bez wyrachowania dostosowuje swój i nasz system.

Leninizm z ludzką twarzą

Urban: Mam wrażenie, że Gorbaczow jest bardziej radykalnym reformatorem - jeśli jest to właściwe określenie - niż wskazuje na to jego dotychczasowa działalność. Od plenum ze stycznia 1987 roku polityka "przebudowy" jest coraz bardziej widocz-

na i dlatego też natrafia na coraz bardziej zdecydowany opór ze strony starego establishmentu. Stoi on przed podwójnym dylematem, ponieważ rzucił wyzwanie zarówno dogmatycznym metodom szerokiej i wygodnie osadzonej sowieckiej elicie, jak i zacofaniu rosyjskiej kultury politycznej. Musi pokonać potencjalnego Stalina tkwiącego w duszy każdego aparatchyka, który posiada jakąkolwiek władzę oraz oraz dziedzictwo Obłomowa. Jest to niezwykle trudne zadanie i kiedy Gorbaczow mówi o wielu latach, których potrzeba na zwalenie dwugłowego potwora, zapewne chce powiedzieć, że jest świadom natury owej bestii.

Można sobie wyobrazić, że Gorbaczow pokona ducha Gulagu, ale czy zdoła zmieścić ducha "Martwych dusz"? Każdy w miarę rozsądny eurokomunista przyzna, że to właśnie rosyjska kultura polityczna stępowała w 1917 r. "humanitarną wizję" Marksa. Czy nie wyrządzi tych samych szkód gorbaczowowskiej "pierestrojce" w 1987 r. i czy w takim razie nie powinniśmy okazać mu nieco więcej zrozumienia aniżeli dotychczas, wychodząc z - przyznaję, niezbyt oczywistego - założenia, że system sowiecki pogodzony z własnymi obywatelami byłby mniej niebezpieczny dla reszty świata?

Besançon: Jesteśmy świadkami toczącej się w Związku Sowieckim walki o władzę. Gorbaczow wygrał pierwsze rundy, lecz jeszcze nie wszystko ma za sobą. W jaki sposób możesz się umocnić na Kremlu jako "nowy, energiczny człowiek"? "Ujamiasz" bałagan panujący na odziedziczonym gospodarstwie, obwiniasz poprzedników o pozostawienie tobie i narodowi tak obciążonej hipoteki - i żądasz zmian mających wszystko uporządkować. Nie żądasz - rzecz jasna - zmian, które byłyby sprzeczne z twymi zamysłami i wyszłyby także ciębie z siódła - nie, domagasz się takich zmian, które wyeliminują przeciwników i oczyszczą pole dla władzy twej własnej oligarchii. Chcesz mieć inteligencję po swojej stronie, chcesz "otwartości", "demokratyzacji" i po kilku kandydatów na jedno miejsce w czasie wyborów lokalnych.

Zwiększenie liczby kandydatów jest w partii szczególnie wyrafinowaną metodą, ponieważ obciąża aparat poczuciem niepewności. Stalin wypróbował ten sposób w 1943 r., kiedy to użył "tajnego głosowania" w celu zdestabilizowania swych oponentów. Nie żądasz natomiast złamania morobolu partii komunistycznej, rzeczywiście wolnych wyborów, ani swobody opinii publicznej. Gorbaczow wyrósł w systemie sowieckim. Wie, co jest dla niego dobre.

Urban: Gorbaczow w pańskiej prezentacji jawi się jako leninista z ludzką twarzą. Chce, żebyśmy widzieli ludzką twarz, ale nie leninizm.

Besançon: Jednym z ważnych celów nowej "otwartości" oraz polityki reform jest zyskanie przychylności Zachodu. Potrzebuje modernizacji, kredytów, wspólnych przedsięwzięć i zapewnia, że amerykańskie inwestycje w SDI nie zapędzą go w kozi róg, choć nie sądzę, by w chwili obecnej SDI była rzeczywistym problemem. To, czego nie osiągnięto przy pomocy pogróżek i bluffów w grze propagandowej bądź przy stole konferencyjnym ma być zdobyte dzięki spektakularnym reformom Gorbaczowa, jego uśmiechom i ogładzie - a w każdym razie na to on liczy. Uwolnienie Sacharowa jest dobrym przykładem. Sacharow ma sceptyczny stosunek do SDI. Jest teraz - że tak powiem - wolny. Wydaje się, że Gorbaczow pozyskał Sacharowa dla propagandy SDI za przystępną cenę wypuszczenia paru setek więźniów, którzy nigdy nic powinni znaleźć się za kratkami. Gorbaczow może teraz powiedzieć Reaganowi: "yadżam się z Sacharowem - a pan?". Czy Reagan zaryzykuje publiczne wystąpienie przeciwko Sacharowowi?

Nie ma rzeczy niemożliwych w świecie polityki, lecz myślę, że społeczeństwo obywatelskie w Związku Sowieckim jest tak bardzo osła-

bione, iż szanse na porwanie Gorbaczowa przez tych, którzy zdążają po "liberalnej" linii niemal nie istnieją. Porwać go mogą, tak jak Chruszczowa, nacjonalizm i dążenie do niezależności w Europie Wschodniej, krajach bałtyckich i Azji Środkowej, ale w samym Związku Sowieckim grozi mu tylko pucz sił "konserwatywnych" oraz powszechne niezadowolenie aparatu. Jeśli tak się stanie, jego upadkowi nie będzie towarzyszył powszechny płacz, bowiem Gorbaczow nie jest popularny. Rzucił wyzwanie zbyt wielu rosyjskim tradycjom, takim jak tkwienie w miejscu, lenistwo oraz egalitaryzm. Obłomowowie, to - jak pan mówił - ważny czynnik.

Nie widzę możliwości, żeby system sowiecki zreformował się w coś rzeczywiście innego nie przestając być systemem sowieckim. Gdy zaczyna się walka o władzę, nowi przywódcy muszą umocnić swą pozycję z taką samą determinacją, jak ich poprzednicy, którzy także przybywali z nowymi bądź odgrzewanymi ideami, ale wyrzucali je do lamusa, kiedy tylko poczuli się pewnie w siodle.

Na podstawie doświadczeń Gorbaczowa oraz doświadczeń zgromadzonych przed jego dojściem do władzy wyśnułbym następującą konkluzję: nie ulega wątpliwości, że system sowiecki jest uwikłany w takie zakłamanie, wewnętrzne sprzeczności oraz niewydolność, że jego koniec mieści się w perspektywie naszego życia. Najciekawsze dla historyka będzie obserwowanie tempa jego rozkładu, sposobu, w jaki będzie się kruszył i wpływ tego procesu nie tylko na równowagę sił na świecie, ale i całą tradycję utopizmu, którego najdłuższym i najbardziej destrukcyjnym przejawem jest Związek Sowiecki.

A jeśli system sowiecki nie zawali się w przewidywalnej przeszłości, jeszcze ciekawsze będzie obserwowanie, dlaczego i jak zostanie uratowany przez "kapitalistyczny" Zachód - czy dyktatura totalitarna zostanie wsparta przez nasze poczucie miłosierdzia, czy przez naszą obawę, by nie zostać wciągniętym na dno przez sowieckiego kolesa, czy też przez naszą dekadencję i rozkład.

DAVID SATTER

ZAGRANICZNY KORESPONDENT W MOSKWIE -
- O MANIPULACJI I ZAKŁAMANIU

Autor był przez 6 lat moskiewskim korespondentem "Financial Timesa". Obecnie mieszka w Paryżu i przygotowuje książkę poświęconą życiu w Związku Sowieckim. Artykuł poniższy pochodzi z pisma "Encounter" nr 395 z maja 1987 r.

Co tydzień, czasem nawet cztery razy w tygodniu, członkowie moskiewskiego korpusu korespondentów zagranicznych zapełniają amfiteatr nowoczesnego, kamiennego budynku na Bulwarze Zubowskim, zasiadają w półkolistych rzędach obitych na pomarańczowo krzesel, nakładają słuchawki i pilnie czekają aż Gienadij Gierasimow, rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych będzie gotów do przekazania światu aktualnego oświadczenia sowieckiego.

Scena ta, rutynowa w warunkach jakiegokolwiek stolicy zachodniej, stanowi zdecydowaną zmianę w stosunku do sytuacji panującej w latach 1976-1982, kiedy byłem korespondentem w Moskwie. Wtedy nie było w ogóle mowy o okazji do zadawania pytań wysoko postawionym oficjonom sowieckim. Kiedy ostatnio powróciłem do Moskwy, konferencje prasowe jak gdyby sygnalizowały całkiem nowe podejście władz ZSSR do prasy zachodniej.

W przeszłości starały się one kontrolować przepływ informacji poprzez unikanie zachodnich dziennikarzy; teraz zaś są gotowe do udzielania wywiadów i to sięgając aż do rangi ministerialnej, a nawet jeszcze wyżej. O ile kiedyś dzwonicie do MSZ z jakimś zapytaniem nie miało najmniejszego sensu, dziś reporterzy nie tylko dzwonią, ale i otrzymują odpowiedzi /nawet w soboty, podczas gdy niegdyś żaden urzędnik sowiecki nie podniósłby w tym dniu słuchawki/. W niektórych przypadkach wysocy urzędnicy Wydziału Prasowego MSZ sami oferują pomoc w organizowaniu wywiadów.

Mówi się, że zmiana ta odzwierciedla nową politykę *głasności* /raczej "jawności" niż "otwartości"/, która zgodnie ze słowami Michaiła Gorbaczowa ma być stosowana w celu ujawniania defektów systemu sowieckiego i której korzyści prezentuje się w całej rozciągłości wobec zachodnich dziennikarzy. Jednakże nieco głębsza analiza wykazuje, iż mimo pozorów zmian Sowietci nie porzucili zamiaru manipulowania korespondentami zachodnimi. Przy pomocy *głasności* po prostu nauczyli się robić to lepiej.

Nowe podejście do dziennikarzy zachodnich jest wyrazem rosnącego wyrachowania władz sowieckich. Dla poprzedniej wierzchnuszki wielkim problemem było to, iż ograniczenie szkodliwych informacji o Związku Sowieckim w prasie zachodniej nie przyczyniało się do dezinformacji zachodniej opinii publicznej. Zamierzeniem nowej polityki jest upora-

nie się z tym niedostatkiem. Strategię tę stosuje się od niedawna, lecz już teraz można stwierdzić, że odniosła ona skutek. Przyczyna jest prosta. Liczni dziennikarze europejscy i amerykańscy zaszkodowani odkryciem, że oto mają teraz dostęp do oficjeli sowieckich, wykazują gotowość do bezkrytycznego powtarzania tego, co od nich usłyszą.

Uderzającym przykładem powodzenia *głasności* była reakcja na atak rosyjskiej policji na dziennikarzy zachodnich przeprowadzony 12 lutego 1987 roku w Moskwie. Demonstracje na rzecz dysydenta żydowskiego, Josifa Beguna mogły przebiegać bez zakłóceń przez trzy dni - wystarczająco długo, aby przekonać zachodnich sowietologów, że Związek Sowiecki wkracza na drogę reform, ale nie na tyle długo, by zasugerować obywatelom sowieckim, że publiczne demonstracje są naprawdę możliwe.

Czwartego dnia do akcji wkroczyła policja. Zaczęła bić zarówno rosyjskich demonstrantów, jak i korespondentów zachodnich, a w ich liczbie Martina Walkera, wysłannika londyńskiego *Guardiana*.

W tej sytuacji zwykły zdrowy rozsądek kazałby dojść do wniosku, że owe trzy dni tolerancji miały stworzyć iluzję liberalizacji, a prawdziwa sytuacja ujawniła się w reakcji władz czwartego dnia. Jednak pan Walker, powołując się na funkcjonariuszy sowieckich, którzy, jak twierdzi - "współczuli mu", wyspekulował, iż demonstranci zostali zaatakowani, ponieważ wyrotowe elementy w KGB postanowiły sabotować gorbaczowski program liberalizacji. Z ujmującą wiarą w źródła swych informacji Walker cytował "oddanego zwolennika Gorbaczowa", który powiedział: "Podjęto prawdziwą próbę zmiany systemu zmierzającą do rozluźnienia kontroli, ale ci ludzie /demonstranci/... ryzykują zniweczenie tego wszystkiego".

Relacja w *Guardianie* nie jest odosobnionym przypadkiem skłonności do obdarzania niezasłużonym zaufaniem oświadczeń przedstawicieli władzy sowieckiej. Nie brak innych przykładów.

We wrześniu 1985 r. *Time* przeprowadził wywiad z Gorbaczowem. Mimo iż była to pierwsza rozmowa przywódcy sowieckiego z przedstawicielami prasy amerykańskiej, *Time* nie próbował nawet zadać poważnych pytań. Nie było żadnych wycieczek w stronę Afganistanu, losu Andrieja Sacharowa /podówczas wciąż przebywającego w Gorki/, czy naruszania przez Sowietów porozumień w sprawie ograniczenia zbrojeń. Co ważniejsze, nie próbowano przeciwstawić się żadnemu ze stwierdzeń Gorbaczowa, nawet jeśli w sposób oczywisty mijał się z prawdą, twierdząc, iż Związek Sowiecki nie prowadzi kampanii antyamerykańskiej, nie łącznie technologii amerykańskiej i stara się przełamać "zaklęty krąg" wyścigu zbrojeń.

26 lutego 1986 roku sieć amerykańska ABC zaprosiła komentatora Radia Moskwa, Władimira Poznera, aby odpowiedział na przemówienie Reagana na temat wydatków zbrojeniowych. Mimo iż Pozner wykorzystał okazję do nazwania prezydenta Reagana kłamcą, ABC nie zatroszczyła się o to, żeby ocenić jego prawdziwość. Gospodarz ze strony ABC, David Bronkley nie tylko nie zaoponował wobec stwierdzenia, iż Związek Sowiecki "nie prowadzi badań w dziedzinie obrony antybalistycznej", ale też przedstawiając Poznera poprosił o jego wrażenia - tak jakby zdyscyplinowany propagandzista partynjny mógł zaprezentować swoje własne zdanie.

Propaganda sowiecka nakierowana jest na pozorowanie uczciwości. Dlatego też ważne jest, by zachodni korespondenci nauczyli się, że nie należy przyjmować dosłownie każdego oświadczenia sowieckich dygni-

tarzy. Jednakże widać wyraźnie, że najwyraźniej era *glasnosti* charakteryzować się będzie bezkrytycznym powtarzaniem przez zachodnich dziennikarzy uwag przywódców sowieckich.

Sprawy przybrały taki obrót, że wiele doniesień ze Związku Sowieckiego, które określa się mianem wywiadów nie jest próbą docieczenia prawdy, lecz zwykłą paczką przeznaczoną do wysyłki najświeższej propagandy.

Bob Zelnick, były korespondent moskiewski *ABC News*, wyjaśnił mechanizm tego typu wywiadów opisując spotkanie z akademikami Instytutu d/s USA - sowieckiego trustu mózgow, którego podstawowym zadaniem jest dezinformowanie zachodniej opinii publicznej. *"W niektórych spośród tych facetów - opowiadał Zelnick redaktorowi Washington Journalism Review - potrzebuję 30-sekundowego nagrania na temat przyczyn niepowodzeń polityki Reagana³ i oni mi je dawali. Ale profesor Bogdanow /Radomir Bogdanow, v-ce dyrektor Instytutu/ nie szedł na coś takiego. Jest akademikiem, osobą bardzo poważną. Musiałem wycisnąć to, czego chciałem... zadając pytanie po kilka razy na różne sposoby. W końcu go złapałem: 'Chcę trochę o reaganowskiej twardej polityce zagranicznej i trochę o niepowodzeniu polityki Reagana w Libanie'³".*

W większości wypadków nie ma niczego niewłaściwego w tym, że nie udaje się przeprowadzić żadnego poważnego wywiadu z przywódcami sowieckimi, problem polega na złym przekazywaniu informacji. Istnieją też niepokojące sygnały, że w niektórych przypadkach nowe agencje informacyjne o apetytach zastrzonych przez możliwość uzyskania wyłączności na wywiad, ulegają pokusie czynienia ustępstw politycznych w zamian za dostęp do przewodców sowieckich.

W listopadzie 1985 roku amerykańskie sieci telewizyjne otwarcie konkurowały o względy sowieckie przed spotkaniem Reagan - Gorbaczow, w nadziei uzyskania wywiadu z sekretarzem generalnym. Przedstawiciele sieci, zgodnie z relacją *Washington Post*, suto podejmowali sowieckich oficjeli i oferowali *"starannie dobrane ujęcia z podglądu"*. pozwalające się zorientować, jak będzie wyglądał Gorbaczow w programie porannym, wiadomościach wieczornych i nawet w czasie zdjęć próbnych.

Kiedy komentator sieci CBS. Dan Rather, zapytał Gorbaczowa o więźniów politycznych na paryskiej konferencji prasowej zorganizowanej z okazji listopadowej wizyty delegacji sowieckiej w Paryżu, *Post* odnotował, że CSB obawia się, że szanse sieci na wywiad zostały zrujnowane. Walt Rogers, moskiewski korespondent ABC, zamiast podziwiać niezależność Rathera, skomentował ten fakt następująco: *"Widziałem, jak Rather oddał strzał w własną stopę"*.

Istniejąca sytuacja najwyraźniej przekonała Sowietów, że dysponując siłą przetargową pozwalającą im na wywieranie nacisku na sieci telewizyjne w celu zmiany opłakanego już układu programów. W grudniu 1985 roku ABC zawiesiła produkcję kosztującego 40 milionów dolarów mini-seriału *"Ameryka"*, który realizowały był przez redakcję rozrywkę i opisywał życie w Stanach Zjednoczonych po inwazji sowieckiej. Sieć została ostrzeżona przez wysoko postawione osobistości sowieckie, że jej pozycja w Moskwie zdecydowanie się obniży, jeśli produkcja serialu będzie kontynuowana. Wieść o tym, że ABC ugięła się pod presją Sowietów, wywołała w USA powszechne oburzenie i sieć zdecydowała się dokończyć produkcję, a następnie wyświetlić film. Niemniej jednak zadziwiające jest, że początkowo ABC gotowa była poddać się ohydnej pogroźce Sowietów i nie odrzuciła jej bez zastanowienia.

Gotowość największych amerykańskich agencji informacyjnych do przyjęcia roli pasów transmisyjnych dla oficjalnych enuncjacji sowieckich traktowana jest dziś jako fakt naturalny. Jest to groźne. Szerzszy dostęp korespondentów do oficjalnej propagandy nie oznacza, że społeczeństwo amerykańskie czy europejskie będzie lepiej poinformowane. Sowieckie czynniki oficjalne po prostu znacznie ułatwiają naiwnym dziennikarzom przekazywanie zniekształconego wizerunku rzeczywistości.

Sowiecka propaganda w swej czystej postaci nie jest dla Zachodu zbyt przekonująca. Zyskuje na wiarygodności, gdy powtarzana jest bezkrytycznie w liczących się publikacjach europejskich i amerykańskich. Po dodaniu aurytetu, który ofiarować mogą jedynie cieszące się zaufaniem pisma zachodnie, ideologiczne łgarstwa Związku Sowieckiego i oficjalnie usankcjonowane nadużycia językowe stopniowo zaczynają rozmazywać niezwykle istotną w świecie polityki linię oddzielającą rzeczywistość od ułudy. Wprowadzenie fałszywego obrazu rzeczywistości przy pomocy prasy zachodniej jest jednym z priorytetowych zadań sowieckiej polityki zagranicznej.

Śluzę dezinformacji rozwarły się jeszcze szerzej w epoce Gorbaczowa, ale skłonność do bezkrytycznego transmitowania propagandy nie jest nowa. *Głasność* nie święciłaby obecnych sukcesów, gdyby nie opierała się na wcześniej istniejącym systemie manipulacji, w sposób precyzyjny nakłaniającym korespondentów do przekazywania oficjalnej propagandy i osłabiającym ich umiejętności samodzielnego zbierania informacji.

Kluczem do zrozumienia tego systemu jest uświadomienie sobie sytuacji, w jakiej przychodzi działać zachodnim dziennikarzom - zwłaszcza odizolowania korespondentów od społeczeństwa sowieckiego. Życie korespondentów zorganizowane jest tak, by ich codzienne doświadczenia były jak najodleglejsze od opisywanej przez nich rzeczywistości.

Zachodni korespondenci żyją w Moskwie w otoczonym murem kompleksach mieszkaniowych, zakupy robią w niedostępnych dla zwykłych Rosjan sklepach dewizowych. W ich mieszkaniach i telefonach zainstalowany jest podsłuch. Strzeżeni są przez uzbrojonych wartowników rozlokowanych przy wejściach do ich domów, przez pokojówki, a w biurach przez sekretarki oraz kierowców. Wszystkie te osoby są konfidantami KGB. Dziennikarze często są śledzeni. Jeśli korespondent nie podejmie świadomego i trudnego wysiłku nawiązanie niezależnych kontaktów z obywatelami, mało kto będzie gotów z nim rozmawiać, a ci, którzy się zgodzą - nie będą groźni dla władz sowieckich, gdyż nie są reprezentatywnymi przedstawicielami społeczeństwa sowieckiego jako całości.

Jeśli korespondent nie próbuje nawiązać prywatnych kontaktów, nie zrozumie życia toczącego się wokół niego /zwłaszcza, że większość zachodnich dziennikarzy nie mówi po rosyjsku/. Władze utwierdzą go w przekonaniu, że najlepszym sposobem zrobienia kariery jest przekazywanie dezinformacji.

W manipulowaniu tego typu korespondentami Sowietci stosują metodę kija i marchewki. Na przykład, dziennikarz radiowy może być dopuszczony do wydarzenia reporterskiego pięć minut przed konkurentami, korespondent czasopisma będzie pewny udziału wysokiej osobistości sowieckiej w obiedzie na czesie wizytującego placówkę wydawcy, co zdemonstruje jego dojścia. Ważne wywiady z członkami kierownictwa partyjnego dostępne są głównie dla korespondentów dyspozycyjnych, a ci najbardziej dyspozycyjni mogą pretendować do rozmowy z sowieckim przywódcą.

Rozdzielanie przywilejów nic Rosjan nie kosztuje i nie ma żadnego znaczenia dla zachodniej opinii publicznej, zaś możliwość wyprzedzenia konkurencji, choćby tylko w wyścigu po dezinformację, jest wartością cenioną przez wiele gazet. Równocześnie dziennikarz próbujący mimo wszystko zbierać uczciwe informacje jest w jakimś stopniu zagrożony. Będzie odcięty od źródeł oficjalnych. Może być oskarżony o chuligaństwo, szpiegostwo czy homoseksualizm. Może mieć przebijane opony albo otrzymywać denerwujące telefony. Może zostać zatruty, jak Robin Knight z *US News and World Report* w czasie podróży do Taszkientu w 1978 roku. Albo, jeśli upiera się przy niezależnym zbieraniu informacji, może podzielić los Andrew Nagorskiego z *Newsweeka* czy George'a Krimsky'ego z *Associated Press*, których wydalono z kraju.

Wielu dziennikarzy niemal nieświadomie podejmuje grę, której zasady wytyczone są przez władze: konkurencją o dostęp do źródeł oficjalnych, zaczynają się z nimi nawet identyfikować i tak bardzo angażują się w obrót propagandy sowieckiej, że tracą z oczu fakt, iż to, co przekazują, odbiega od rzeczywistości.

"Ten kraj ma długą tradycję osławiania ludzi i manipulowania Zachodem - powiedziam pewien znajomy Rosjanin. - Każdy dziennikarz zachodni przybywa tu nieprzygotowany do zrozumienia tego szczególnego społeczeństwa. W wyniku tego, kiedy spotyka prawdziwe zło, często nie jest w stanie go rozpoznać".

Nie trzeba długo szukać dowodów powodzenia sowieckich technik manipulacji. Rzucają się one w oczy, kiedy porówna się przenikliwe i ostre opisy rzeczywistych zdarzeń z większości stolic, ze sterylnym powtórzeniem oficjalnej propagandy ze Związku Sowieckiego. W książce *Reluctant Farewell /Niechętnie pożegnanie/* Andrew Nagorski cytując korespondenta *Associated Press*, który twierdzi, że 90 procent doniesień wysłanych przez tę agencję z Moskwy na początku lat osiemdziesiątych stanowiły po prostu parafrazy artykułów z prasy sowieckiej. /.../

Wytwory maszyny dezinformacyjnej można podzielić na dwie kategorie: propagandę mającą na Zchodzie wytworzyć fałszywe wyobrażenie o podstawowych celach sowieckich oraz propagandę tworzoną ad hoc, w odpowiedzi na konkretne zdarzenia dotyczące stosunków Wschód - Zachód.

Może najbardziej spektakularnym przykładem pierwszego typu propagandy jest próba stworzenia wrażenia, że ZSSR na skłonności maniakalne. Zgodnie ze zwyczajem, ktoś - dajmy na to akademik z Instytutu d/s USA, jak choćby Bogdanow czy specjalista od rozbrojenia, Gienrik Trofimienko - wyjaśnia korespondentom, dlaczego Związek Sowiecki czuje się zagrożony. Przy użyciu typowych frazesów i gestów zaczyna od zwrócenia uwagi na wzrost amerykańskich wydatków zbrojeniowych oraz rozwój pierścienia baz wojskowych otaczających blok sowiecki. Wspomina o zagrożeniu ze strony Chin. Mówi o 20 milionach Sowietów poległych w II wojnie światowej i lęku przed następną wyniszczającą inwazją. W konkluzji może stwierdzić, jak to uczynił Bogdanow na spotkaniu, w którym brałem udział: *"Musimy ze sobą rozmawiać, musimy siebie wzajemnie słuchać... Potrzeba nam takich stosunków, które pozwolą, byśmy patrzyli sobie w oczy".*

Spotkania te są pożywką dla artykułów w rodzaju zamieszczonego w *Washington Post* /11.09.1980/ pod tytułem *"Globalna pozycja ZSSR ulega erozji"*. Na podstawie źródeł oficjalnych ponownie przywołuje się tam wizję kapitalistycznego okrążenia i stwierdza, że *"Moskwa czuje się okrążona /.../ i z wyjątkiem Indii oraz Wietnamu pozbawiona przyjaciół na ogromnym*

kontynencie azjatyckim". Sugeruje się, że owo poczucie "strategicznej wrażliwości na cios" legło u podstaw inwazji na Afganistan.

Myśl, że Związek Sowiecki czuje się zagrożony, jest wytrwale propagowana i bardzo wygodna dla sowieckich przywódców. Skoro kraj ten lęka się ataku, wielka rozbudowa sił zbrojnych nabiera charakteru obronnego i znajduje się nawet wyjaśnienie - oparte na rzekomej "obsesji" sowieckiej - dla tak jawnych aktów agresji, jak inwazja na Afganistan czy zestrzelenie koreańskiego samolotu pasażerskiego.

Rzecz jasna, nie trzeba długo dowodzić, że Związek Sowiecki nie cierpi na manię prześladowczą - jego armia ćwiczona jest do ofensywy, a nie obrony, zaś obywatelom powtarza się wciąż, że zwycięstwo komunizmu we wszystkich krajach świata jest nieuniknione. Zachód boi się jednak uczynić cokolwiek, co mogłoby nasilić "obsesję" sowiecką, tak więc wszelkie negocjacje państw demokratycznych, mające na celu ulepszenie potencjału obronnego NATO, kończą się fiaskiem.

Kierowana na Zachód propaganda ma także storpedować wybrane zachodnie inicjatywy pokojowe. Kiedy byłem w Moskwie, jedna z takich kampanii wymierzona była w sankcje gospodarcze wprowadzone po zajęciu Afganistanu. Miejscowy islamski ruch oporu przedstawiony był jako "interwencja zewnętrzna", której ustanie miało być warunkiem wycofania własnych wojsk. Sowieci liczyli, że kampania odniesie skutek dzięki otepiałemu dziełaniu ciągłego powtarzania. Najpierw oświadczyli, że Związek Sowiecki rozważy wycofanie swych oddziałów, nawet jeśli USA nie zaprzestaną całkowicie "interwencji zewnętrznej". Następnie, marionetkowy gabinet Barbaka Karmala zaproponował w kwietniu 1980 roku rozpoczęcie negocjacji z Iranem i Pakistanem /oba te kraje nie uznawały go/ pod warunkiem położenia kresu "interwencji zewnętrznej". W miesiąc później obie propozycje zostały połączone i zaprezentowane jako pakiet - wycofanie wojsk sowieckich w zamian za zakończenie nieistniejącej amerykańskiej, irańskiej i pakistańskiej "interwencji zewnętrznej".

Każdy wypuszczony w świat "gołąb pokoju" spotykał się ze znacznym rozgłosem na Zachodzie i - co ważniejsze - kampania dezinformacji przynosiła w końcu zamierzony efekt polityczny. Wywołując mgliste wrażenie ustępliwości Sowietów w kwestii afgańskiej, pozwoliła zachodnim Europejczykom uzasadnić niepowodzenie polityki sankcji ekonomicznych. Zamiast przyłączyć się do niej, francuscy i zachodni Niemcy przywódcy wzięli udział w spotkaniach na szczycie z partnerami sowieckimi w Warszawie oraz Moskwie. W lipcu 1980 roku podpisali porozumienie o 25-letniej współpracy ekonomicznej - zaledwie w siedem miesięcy po inwazji na Afganistan!

Ostatnio jednym z najlepszych przykładów w pełni sterowanej kampanii dezinformacyjnej, której sukces zależał w dużym stopniu od bezkrytycznego przekazywania sformułowanych komunikatów, była podjęta przez Sowietów próba przekonania świata, że prezydent Reagan, mówiąc o Związku Sowieckim jako o "imperium zła" popychał świat do wojny nuklearnej.

Georgij Arbatow, dyrektor Instytutu d/s USA i chyba główny specjalista od dezinformacji, powiedział w wywiadzie dla *Washington Post* /z 10 kwietnia 1982 roku/: "Kroczyliśmy w bardzo niebezpieczny okres. Wszystko wygląda poważnie. W tej atmosferze, która się nasza, każda iskra może doprowadzić do karysu". Bogdanow, jego zastępca, w wywiadzie dla ABC stwierdził: "W powietrzu unosi się bardzo, bardzo silny za-

pach wojny jądrowej".

W tym samym tonie wypowiadali się przywódcy sowieccy. Leonid Breżniew w przemówieniu z 27 października 1982 roku oskarżył administrację Reagana o "awanturnictwo", w jedenaście dni później ostrzegł, że sowieckie siły zbrojne mogą "ostudzić /.../ gorące głowy niektórych imperialistycznych polityków".

W amerykańskich i nie tylko amerykańskich gazetach ukazały się setki artykułów mówiących o "gwałtownym pogorszeniu" stosunków USA - ZSSR. Murrey Marder z *Washington Post* w analizie wydarzeń z 16 października 1983 roku pisał: "Ponieważ każda ze stron czuje się głęboko urażona przez drugą, znacznie wzrosło ryzyko, że złe osądzone kryzys lokalny może doprowadzić do międzynarodowego pożaru". A oto co pisał Philip Geylin, stały felietonista *Post*, 29 listopada 1982 roku: "Jeśli Ronald Reagan nie potrafi się ugiąć - jeśli nie potrafi zrezygnować z walenia się w pierś i wydawania dzikich okrzyków 'Ja Tarzan', w stosunkach z Sowiecami - możecie być pewni, że Leonid Breżniew... nie zaryzykuje ustępstwa i uczyni pierwszy krok." Zaś Anthony Lewis, publicysta *New York Timesa*, cytował swego sowieckiego "znajomego" /zapewne aparaczyka/, który mówił: "Modlę się, aby przed końcem kadencji Reagana nie doszło między nami do konfliktu w jakimś zakątku świata".

Przy wtórce znanych dziennikarzy, mechanicznie powtarzających propagandę sowiecką, do świadomości ludzi żyjących na Zachodzie powoli zaczęło się sączyć przeświadczenie, że Reagan zwiększył niebezpieczeństwo wojny. W rzeczywistości nie było żadnego kryzysu w stosunkach dwustronnych, to znaczy nie zaszła żadna istotna zmiana. Związek Sowiecki zachował swój ekspansjonistyczny i militarystyczny charakter, tak samo jak wtedy, gdy kontakty USA - ZSSR były dobre i Sowieci dokonali inwazji na Afganistan.

Sowiecka kampania częściowo odniosła skutek - wprawdzie nie doszło do redukcji amerykańskiego budżetu obronnego, jednakże Sowieci, którzy odrzucają wartości judeo-chrześcijańskie /twierdząc, że mają "wyższą" moralność/ bardzo lękają się tego rodzaju krytyki i udało im się ją zablokować na początku 1984 roku. W tym samym czasie ich atak ideologiczny na Zachodnie kraje demokratyczne trwał bez jakichkolwiek zakłóceń.

Od momentu pojawienia się nowego przywódcy sowieckiego bardziej niż kiedykolwiek wzrosła potrzeba krytycznego czytania doniesień z Moskwy. Korespondenci - w nadziei na uzyskanie źródeł informacji wśród sowieckich decydentów - stali się jeszcze bardziej dyspozycyjni, aniżeli w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

W centrum na Bulwarze Zibowskim permanentnie odbywają się konferencje prasowe. Niezmiennie anonsowane są na parę godzin przed rozpoczęciem bez podania wstępnej informacji o tematyce, jeśli nie liczyć sformułowania: "problem o znaczeniu międzynarodowym". Obawa przed konkurencją skłania prawie każdego dziennikarza do uczestnictwa w niemal wszystkich konferencjach; a skoro ktoś się zdecydował do poświęcenia wieczoru na tego rodzaju spotkanie, czuje się zobowiązany do napisania o tym, bez względu na jego wagę. Rzadko zwraca się uwagę na fakt, iż w wielu wypadkach wyrazem profesjonalnej dojrzałości byłoby nie napisać, albo posłać na konferencję jednego, miast trzydziestu korespondentów, tak by pozostali mogli się zająć jakąś użyteczną pracą.

Pewien zachodni dziennikarz powiedział mi w Moskwie, że w ciągu ostatnich trzech lat nie słyszał, aby jakiś korespondent amerykański

odbył samodzielną podróż do jakiegokolwiek typowego miasta sowieckiego. *"Opinia o Rosjanach jest bardzo kiepska - mówił, nawiązując do niskiej jakości reportażu i doniesień zachodnich. - Miedys wielu korespondentów sądziło, że kraj rządzony jest przez 'rzeszmiessków', którzy wysysają z ludzi krew, i opowiadano się po stronie obywateli. Teraz słyszy się, iż Rosjanie mają władze, na jakie zasługują i że system sowiecki jest emanacją ludu..."*

Negatywna ocena zwykłych obywateli stanowi wytłumaczenie własnej bierności. Doszło do tego, że niektórzy dziennikarze przejęli mentalność reżimu sowieckiego. W *Niechętym pożegnaniu* Andrew Nagorski cytuje moskiewskiego korespondenta jednej z głównych gazet amerykańskich: *"Jeśli logicznie spojrzeć na fakty..., każdy kto w tym społeczeństwie staje się dydydentem musi być trochę szalony"*. Później skarżył się Nagorskiemu: *"Ci szaleni ludzie ciągle do mnie dzwonią"*.

Gotowość do akceptacji ograniczeń narzuconych przez władze nie uszła uwagi obywateli sowieckich. *"Problem polega na tym - powiedział młody malarz moskiewski - że wielu korespondentów nie rozumie i nie chce zrozumieć tego kraju. Jest on zbyt skomplikowany dla kogoś, kto nie mówi jego językiem i nie ma szerszego zaplecza kulturowego, które pozwoliło by spojrzeć nań w kontekście kultury światowej. To, co piszą dziennikarze, wraca w rosyjskojęzycznych audycjach radiowych, a więc ich rola jest bardzo ważna, jednak materiały prasowe bezsprzecznie wykazują, że do swych obowiązków odnoszą się w sposób formalny i egoistyczny"*. /.../

David Satter

FRANTIŠEK JANOUCH

DOBROWOLNA PODRÓŻ NA SYBERIĘ

/ANNO 1987/

Poniższy tekst jest skróconą wersją relacji czeskiego emigranta prof. Janoucha, mieszkającego od 13 lat w Szwecji, spisaną po powrocie z naukowej wizyty w Związku sowieckim. Była to druga podróż Autora do ZSSR, pierwszą odbył w 1970 roku. Tekst został skrócony o szereg prognoz i analiz politycznych, posiadających z natury krótki, efemeryczny żywot, a ponadto przeznaczonych raczej dla czytelnika zachodniego. Tłumaczenia dokonaliśmy z angielskojęzycznej wersji maszynopisu, którą otrzymaliśmy dzięki uprzejmości przedstawicieli Solidarności Polsko-Czechosłowackiej.

Po sowieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968 roku po Pradze krążyła następująca anegdota: optymiści twierdzą, że wszyscy obywatele Czechosłowacji zostaną wywiezieni na Syberię; pesymiści sądzą natomiast, że wszyscy pójdą tam piechotą.

Ja należę do superoptymistów, bowiem w ciągu ostatnich dwudziestu lat wybrałem się na Syberię nie tylko dobrowolnie, ale nawet dwu-

krotnie. W swym niepoprawnym optymizmie posunąłem się tak daleko, że za każdym razem wykupiłem w przedsprzedazy bilet powrotny.

Nie muszę chyba opisywać, jak podniecony byłem, otwierając wiadomą 1987 roku list z Nowosybirsk. Zawierał on zaproszenie do przybycia na konferencję naukową fizyków nuklearnych i do wygłoszenia tam odczytu. Tytuł konferencji brzmiał niemal tak samo, jak przed siedemnastu laty: *"Rozwój nowoczesnej fizyki jądrowej"*, zaś impreza miała się rozpocząć w Nowosybirsku dokładnie w siedemnaście lat po tym, jak opuściłem to miasto.

Miałem pewne wątpliwości, czy otrzymam wizę wjazdową. Od trzynastu lat przebywam na wygnaniu, opublikowałem wiele krytycznych artykułów o Związku Sowieckim, o położeniu Andrieja Sacharowa, o Czechosłowacji. Raz już konsul węgierski odmówił mi wizy wjazdowej na Węgry /otrzymałem ją później w 1985 roku/. Władze czechosłowackie nie zezwoliły mi na przyjazd w roku 1984.

Gdy na tydzień przed terminem wyjazdu wciąż jeszcze nie miałem wizy, napisałem list do ambasadora ZSSR. To, co zadziwiło się potem, przekonało mnie, że *pietrestrojka* ogarnęła nawet sowiecki korpus dyplomatyczny. Zostałem zaproszony przez sowieckiego dyplomata, który wyraził swoje ubolewanie z powodu nieporozumienia, które było przyczyną opóźnienia. Zapewnił mnie, że w przyszłości nigdy już coś takiego się nie powtórzy i niezwłocznie wręczył mi wizę.

Po siedemnastu latach

Moje pierwsze wrażenia z Moskwy po siedemnastu latach były bardzo sprzeczne. Na pierwszy rzut oka uderza zniszczenie budynków, zła jakość dróg, nieprawdopodobny chaos prac budowlanych w mieście. Do przeszłości należą już czasy, kiedy Moskwa była ogrzewana gazem ziemnym i słyneła ze swego czystego powietrza. Po kilku godzinach miałem wrażenie, że się uduszę. Posiadanie własnego samochodu przestało być rzadkością i Moskwa zapchana jest pojazdami. Ze względu na brak dostatecznej liczby stacji obsługi i części zamiennych, silniki są na ogół źle wyregulowane, a za wozami ciągną się chmury spalin.

Dezorganizację życia widzi się wszędzie. Na wóół puste sklepy, kolejki po żywność, zwłaszcza po warzywa i owoce. Na początku lipca duży sklep warzywny na Arbacie sprzedaje jedynie kapustę, podpieśniąką cebulę i nadgnajke morele. W okolicznych sklepach można znaleźć najwyżej jeden rodzaj kiełbasy, masło zaś nie wszędzie. Piekarnie są dobrze zaopatrzone. W Nowosybirsku warzywa i owoce można dostać na kołchozowym targu. Ceny są w stosunku do płać niebywale wysokie. Kilogram pomidorów kosztuje trzy i pół rubla, jabłka i morele - dziesięć rubli. Przed siedemnastu laty zapisałem w swym notesie, że w centralnym sklepie nowosybirskiego osiedla akademickiego, bardzo uprzywilejowanego pod względem zaopatrzenia w żywność, widziałem tylko jeden gatunek kiełbasy, i to jedynie rano. W siedemnaście lat później działy mięsny w tym sklepie nie istniał: nie mieli co sprzedawać.

"No tak, ale mimo wszystko nikt też nie głoduje. Mięso i masło są rozprowadzane po fabrykach" - powiedział mi pewien wieloletni członek partii. W nowosybirskim Akademgorodku starsi pracownicy naukowi otrzymują żywność przez sieć dystrybucji Akademii Nauk, robotnicy w fabrykach, zaś pozostała ludność ma jakieś talony.

"Dawniej otrzymywaliśmy paczki żywnościowe trzy razy w tygodniu - teraz tylko

raz" - powiedziała mi żona pewnego fizyka. Warto opisać, jak wyglądają te dostawy dla uprzywilejowanych: przychodzi się do zamkniętego na ogół sklepu, otrzymuje się paczkę, płaci i dopiero po przyjęściu do domu można się przekonać, co do niej wsadzono, co *właśc* uznana za potrzebne danej osobie. Czasami są to jajka, czasami kiełbasa albo trochę sera, trochę mięsa czy szynka.

"*W naszej sytuacji wszystko jest mile widziane i nie się nie zmaruże*" - powiedziała mi pewna syberyjska gospodyni.

Próbowałem się dowiedzieć, czy ta metoda nie jest dla nich upokarzająca, ale moje pytania nie trafiły do nich - nie rozumieli, o czym mówię.

Kolejki, kolejki, kolejki. Są szczęśliwi, gdy cokolwiek dostaną lub gdy kolejka jest nieduża: "*Spójrz, jakie piękne pomarańcze. Stałam po nie tylko godzinę*". Braki w zaopatrzeniu nie wszystkim wyjaśniają. Ekspedient w sklepie zaczyna sprzedawać dopiero wtedy, gdy widzi kolejkę. Nie zwraca sobie głowy pojedynczym klientem. W toku lat kolejka stała się sposobem istnienia społeczeństwa sowieckiego. Jeśli jej nie ma, ludzie odczuwają instynktowną potrzebę, by ją stworzyć. Rzekłbym, iż kolejki są w znacznie większym stopniu problemem psychologicznym, kulturowym i organizacyjnym, niż po prostu wynikiem braków żywności.

Kolejki przypominają mi o innym klasycznym i nierozwiązywalnym problemie sowieckim. O problemie drzwi. Na pierwszy rzut oka większość budynków sowieckich niewiele się różni od budynków w jakimkolwiek innym miejscu świata. Architektura może być nowoczesna lub nie, jakość budowlanej może się różnić, lecz w gruncie rzeczy sowieccy architekci przestrzegają tych samych zasad, co ich zachodni koledzy. Każdy budynek musi mieć pewną liczbę okien i drzwi. Okna nie stwarzają specjalnych problemów. Problemy są z drzwiami. Architekt oblicza, że budowa posiadająca 30 pięter i 3000 pokoi powinna mieć 5 albo 10 wejść. Gdy budowa jest zakończona, właściciel przejmuje budynek i zaczyna zmniejszać liczbę otwartych wejść. Administrator nie spocznie tak długo, dopóki wszystkie wejścia i wyjścia, z wyjątkiem jednego, nie będą zamknięte. Miałem możność przez czterdzieści lat obserwować ten sowiecki konflikt między architektoniczną wizją "otwartego" budynku, a dążeniem administratorów do "zamknięcia" go. Ostatecznie wszędzie zwyciężyła zasada administratorów - jeden budynek, jedno otwarte drzwi.

Moskwa gwałtownie się rozrasta. Najnowsze budynki wyglądają znacznie lepiej niż ponure, odrapane osiedla mieszkaniowe ostatnich 30 - 40 lat. Zdobycie nowego mieszkania nie jest teraz takim problemem, jak przez 20 - 30 laty, ale nie każdy może sobie na to pozwolić. Piętnaście lat temu pierwsza wpłata stanowiąca pokrycie około 40 procent kosztów małego, 3-pokojowego mieszkania spółdzielczego o powierzchni około 45 m² wynosiła jakieś 7 tysięcy rubli. Dzisiaj wynosi około 18 tysięcy. Odwiedziłem rodzinę dwójga naukowców. Oboje pracują w instytucji naukowej, ona posiada stopień kandydata nauk². Mają trójkę dzieci: dwoje nastolatków i jedno młodsze dziecko. Mieszkają w absolutnie za ciasnym mieszkaniu dwupokojowym. Oferowano im trzypokojowe mieszkanie spółdzielcze. Kosztowałoby ich ono miesięcznie prawie 80 rubli, a jako że jej zarobki wynoszą 170 rubli, jego -

* Połaki odpowiednik - doktor. /red./

- 130 rubli, zostawałoby im na życie 220. Jako rodzina pięcioosobowa znaleźliby się poniżej oficjalnego progu nędzy wynoszącego 50 rubli na osobę.

Problemem trudnym do rozwiązania normalną drogą jest także zdobycie mebli do nowego mieszkania. Meble nieco lepszej jakości są importowane z NRD, Czechosłowacji, Jugosławii lub Skandynawii, lecz tak deficytowe dobra rozprowadzane są raczej przez zakłady pracy, niż przez normalne sklepy.

Kupując towar o wartości wyższej niż 10 tysięcy rubli nabywca musi okazać *sprawkę* z wydziału finansowego zezwalającą mu na taki wydatek. Składając podanie o nią musi opisać swą sytuację materialną i wyjaśnić źródła swych dochodów. Otrzymanie *sprawki* nie stanowi problemu dla osób o względnie wysokich zarobkach i jakichś dodatkowych źródłach, czy też dla członków rodzin, w których kilka osób pracuje. Ale dla ludzi pracujących w handlu, w gastronomii czy dla niektórych urzędników, pobierających na ogół 100-150 rubli miesięcznie, wprowadzenie tego przepisu stwarza trudności, bowiem musieliby oni ujawnić, skąd czerpią nielegalne zyski. Prowadzi to do sytuacji absurdalnych. Za los na loterii, na który padła wygrana 10 tysięcy rubli, można otrzymać - zwłaszcza na południu kraju - czterokrotnie więcej. Taka jest cena legalizacji: Na Zachodzie nazywa się to praniem forsy. Za posadę w sowieckim przedstawicielstwie za granicą płaci się niewiarygodne łapówki, szczególnie w Południowej czy Centralnej Azji i na Kaukazie. Praca taka jest szczególnie atrakcyjna; opłacany w twardej walucie szczęściarz już do końca życia może oficjalnie uzasadniać swój wysoki dochód.

Wiosna Praska w Moskwie?

Już pierwszego wieczoru poczułem w powietrzu coś poza smrodem spalin. Oczywiście, trudno było przeprowadzić analizę chemiczną, lecz dla obywatela Czechosłowacji, który przeżył Wiosnę Praską 1968 roku był to zapach odświeżający wspomnienia.

"*Czytałeś to?*" - mój przyjaciel pokazał mi w saunie najnowszy numer *Ogonioka* z wielostronicowym artykułem o Fiodorze Raskolnikowie, zawierający jego list do Stalina, w którym to liście oskarżał Stalina o niszczenie sowieckiej dyplomacji, armii, kultury i partii komunistycznej. Parę miesięcy wcześniej kopiowanie, a nawet posiadanie tekstu tego listu byłoby równoznaczne z aresztowaniem i wyrokiem. Teraz jest on publikowany w piśmie o nakładzie półtora miliona egzemplarzy.

"*Czytałeś to i to?*" - spytał mnie inny przyjaciel wręczając mi długą listę najbardziej godnych uwagi tekstów literackich i politycznych. Wydawnictwa i redakcje czasopism literackich i kulturalnych są zasypywane maszynopisami. Wszystko, co powstało w ciągu ostatnich 20 - 30 lat i często spoczywało w szufladach, w sekretnych skrytkach albo w zakopanych butelkach, posłano do druku.

11 czerwca w Moskwie odbył się wieczór poświęcony słynnemu rosyjskiemu pieśniarzowi Aleksandrowi Galiczowi. Grupa jego przyjaciół zwróciła się do wydziału kultury Moskiewskiego Sovietu Miejskiego z prośbą o zgodę na zorganizowanie takiego wieczoru. Odpowiedź brzmiała: nie mogą na to pozwolić, ale nie mogą też zabronić. Nie mają jednak nic przeciwko temu, jeśli przyjaciele Galicza znajdą jakiś klub, który da im swój lokal. Nieco wcześniej byłoby to pośrednim sposobem

wydania zakazu. Wiosną 1987 roku znamienne dla Moskwy było to, że bez większych trudności znaleziono dyrektora domu kultury, który wynajął salę teatralną. Przybyło ponad 500 osób, z taśmy odtwarzano wiele pieśni galiczańskich, niektóre z nich były nawet bardzo krytyczne, jak na przykład pieśń o śmierci Pasternaka czy o łażrach w Karagan-dzie. Znani artyści recytowali i śpiewali wiersze poety. Przyjaciele i sławni krytycy opowiadali o jego życiu i twórczości. Koncert trwał do pierwszej w nocy i Galicz - ostatnio wciąż jeszcze tytułowany "nędznym emigrantem" - znowu będzie publikowany w ZSSR.

Przed kilkoma miesiącami zaskoczyło mnie to, iż *Literaturnaja Gazieta* opublikowała artykuł Mikłoša Formana, w którym skarżył się on, że w jego kraju ojczystym, w Czechosłowacji, nie wyświetla się poza *Amadeusem* żadnego z jego filmów, które nakręcił w Ameryce. Teraz jego najszynniejszy film, *Lot nad kukułczym gniazdem* jest grany w Moskwie. W przeszłości sowieccy turyści w Czechosłowacji lubili chodzić do kina - mogli tam obejrzeć filmy zakazane przez sowiecką cenzurę. Czyżby sytuacja miała się teraz odwrócić?

Powieść Wasilija Grossmana *Wszystko płynie*, opublikowana po jego śmierci za granicą, była uznawana za jeden z najbardziej antysowieckich tekstów, jakie w ogóle napisano, a KGB wszelkimi dostępnymi środkami próbowało zniszczyć wszystkie istniejące egzemplarze, by zetrzeć tę książkę z powierzchni ziemi. Jedynie *Archipelag Gułag* Sołżenicyna wywołał większą nienawiść - i strach - sowieckich władz. Teraz zapowiedziano, że powieść Grossmana zostanie opublikowana: ukaże się w odcinkach w czasopiśmie literackim *Oktiabr*. Decyzja o opublikowaniu *Doktora Żywago* Pasternaka zapadła już kilka miesięcy temu.

Podczas mojego pobytu w Moskwie grupa pisarzy i byłych więźniów politycznych zorganizowała konferencję, na której rozdawano pierwszy numer niezależnego biuletynu *Głasnost*. Wśród założycieli tej grupy są pisarze Gricorjanc i Timofiejew. Miałem rzadką okazję przysłuchać się dyskusji pomiędzy przedstawicielami redakcji *Głasnosti* a Andriejem Sacharowem i Jeleną Bonner. Przedstawiciele redakcji chcieli skłonić Sacharowa do udzielenia, choćby w paru słowach, poparcia ich inicjatywie. Sacharow słuchał uważnie. Próbował zrozumieć, co nowego, oryginalnego czy wartościowego prezentuje to pismo, po czym delikatnie lecz zdecydowanie, niemal z pełnym skrucy uśmiechem, odmówił sformułowania takiego oświadczenia.

"Wiedzie, że moja pozycja jest bardzo specyficzna. Nie sądzę, by rozsądne było zajmowanie przeze mnie stanowiska na tych łamach, lecz jeśli będziecie mieli jakieś kłopoty - jeśli zaczną was zamykać - z pewnością ustąszycie mój głos."*

Wygląda na to, że w Moskwie przestały obowiązywać wszelkie tabu. Ostatnio gazety zaczęły nawet pisać o "wrogach ludu", straconych przez Stalina w latach trzydziestych - o Kamieniewie, Zinowiewie, Buchari-nie i wielu innych. Opublikowano nawet artykuły sugerujące, że to

* Ostatecznie w pierwszym numerze "Głasnosti" znalazł się tekst wypowiedzi Sacharowa, jaką skierował on do publiczności hiszpańskiej z okazji przyznania mu przez katalońskich wydawców i redaktorów nagrody "Złotej minuty" /"Golden Minute" Award/. Nagroda przyznawana jest corocznie za najważniejsz-lejsze i najtreściwsze wystąpienie. Sacharowa uhonorowano za jego słynną rozmowę telefoniczną z Gorbaczowem. Publikacja w "Głasnosti" tego tekstu spełnia wszystkie warunki "druku bez wiedzy i zgody" /red./

Stalin dał rozkaz zabicia Kirowa. Na temat najbliższego współpracownika Lenina, Trockiego, nie padło jeszcze ani jedno słowo. Sowiecki słownik encyklopedyczny z roku 1980 zawiera półtorastronicowe hasło o "Trockizmie", lecz ani jednej linijki o samym Trockim. Teraz na porządku dziennym stanęła sprawa rehabilitacji. Nazywany jest on bliskim współpracownikiem Lenina i znaczącym rewolucjonistą.

Po Moskwie krążą setki nowych rękopisów - różne protokoły ze spotkań, stenogramy przemówień, na przykład wystąpienia prokuratora generalnego ZSSR czy sekretarza Komitetu Moskiewskiego Partii, Jelcyna. Trudno wręcz uwierzyć w fakty podane w tych przemówieniach. Powiada się, że w jednej z afer związanych z korupcją aresztowano w Moskwie 600 osób. Oczywiście Moskwa jest dużym miastem, ale o tak szeroko zakrojonych aresztowaniach nie donoszono nawet z okazji słynnych rajdów przeciwko mafii. Aresztując skorumpowanych aparatczyków z Bucharę i Samarkandy, żyjących w willach za murem i chronionych przez uzbrojoną straż, władze musiały sprowadzić z Moskwy specjalne oddziały doborowe z bronią maszynową.

Skład nomenklatury zmienia się gwałtownie. Ponad rok temu członek biura politycznego Gajdar Alijew powiedział, że wymieniono 82 tysiące członków aparatu partyjnego, co stanowi 20 procent ogółu. Szacowałbym, że dzisiaj liczba ta jest dwukrotnie wyższa. Czy prowadząc tę politykę Gorbaczow skreśli kark? Jest on twardy i bezlitosny: "Ci, którzy nie chcą się dostosować i blokują nas, muszą zejść nam z drogi".

"Gorbaczow jest bardzo zdolny i wie, czego chce. W przeciwieństwie do waszego Dubceka, potrafi być stanowczy i twardy, bezlitosny. I jest otoczony przez bardzo zdolnych współpracowników. Działają szybko, skutecznie, bez cackania się" - powiedział jeden z moich starych, dobrze poinformowanych przyjaciół.

Andriej Sacharow jest podobnego zdania: "Gorbaczow jest zdolny, wie, czego chce, a powiedziałbym, że jest wręcz cyniczny". Andriej Dimitriewicz zamyslił się przez chwilę, po czym uśmiechnął się i dodał: "Mówię 'cyniczny' w najlepszym znaczeniu tego słowa".

Najbardziej spektakularne zmiany i sukcesy dają się dostrzec w gorbaczowskiej polityce antyalkoholowej. Nie widać już pijaków leżących na ulicach. Na długo przed 14.00, kiedy rozpoczyna się sprzedaż alkoholu, przed nielicznymi sklepami monopolowymi ustawiają się kolejki niemal bez końca. Jedyną rzeczą, której nie brakowało w wielu sklepach, jakie oglądałem, to wody mineralne, oranżady i różne soki owocowe. Importuje się je ze wszystkich krajów bloku wschodniego, rzecz jasna, Sowieci zmobilizowali także swój własny przemysł. Nigdy jeszcze społeczeństwo ZSSR nie widziało takiej ilości i takiego wyboru napojów bezalkoholowych, jak w ciągu ostatniego roku. Powiedziałbym, że przynajmniej ten element polityki Gorbaczowa spotyka się z poparciem większej części ludności, a zwłaszcza kobiet. Jak jednak suchy zakon wpływa na produkcję samogonu? Z niektórych części Rosji donosi się o brakach cukru. I jak Sowiety zrekompensują sobie dochody czerpane wcześniej ze sprzedaży wódki? I jakie będą wydatki państwa na opiekę medyczną nad ofiarami konsumpcji źle oczyszczonego i przedestylowanego samogonu?

W dzisiejszej Rosji służyła wojskowa jest niemal rodzinną tragedią. Dwaj moi przyjaciele usilnie próbowali dowiedzieć się, gdzie wysłano ich synów i obu im udało się spotkać ze swymi lotnikami bezpośrednio przed odlotem. A. przez cały dzień czekał na lotnisku Demodedowo.

W końcu przywieziono tam rekrutów i mój znajomy mógł spędzić kilka godzin ze swym synem wysyłanym gdzieś na Ural. "Na szczęście nie do *Semipałatinska*" - powiedział mi. Semipałatinsk to doświadczalny poligon jądrowy. Afganistan jest czymś jeszcze bardziej przerażającym. W Rosji nie mówi się o nim zbyt wiele, lecz wszędzie jest wyczuwalny. Gdyby Gorbaczowowi udało się zakończyć afgańską awanturę, byłby to znacznie lepszy środek do zdobycia popularności, niż połowiczna prohibicja, którą wprowadził.

W ciągu ostatnich dwu lat liczba poborowych była w Rosji bardzo niska i władze zdecydowały się powoływać do wojska nawet studentów, na ogół drugiego i trzeciego roku - na dwa lata. Do niedawna studenci byli uprzywilejowani. Odbywali służbę wojskową w czasie trwania studiów oraz w czasie jednego lub dwóch krótkich letnich obozów szkoleniowych. Powiada się, że nowy minister szkolnictwa wyższego szczył się ostatnio tym, iż wprowadził rekrutację także w Wyższej Szkole Stosunków Międzynarodowych. WSSM jest ulubioną uczelnią sowieckiej złotej młodzieży, dzieci wyższych funkcjonariuszy nomenklatury, otwierającą przed nimi najbardziej cenioną w Sowietach drogę do kariery - drogę do służby dyplomatycznej.

Sowieckie społeczeństwo zmienia się radykalnie. Strach ludzi jest mniejszy. Co niedziela rano w Parku Izmailowskim odbywa się giełda artystyczna, na organizowanie której nikt oficjalnie nie zewolnił. Można tu zamówić portret, można kupić obraz albo grafikę. Większość z nich jest dość kiepska. Ciągłość tradycji uległa zerwaniu, zdobywanie nowych doświadczeń było niemożliwe. Dziesięciolecia socrealizmu pozostawiły głębokie i widoczne ślady. Brakuje wzorców. Brakuje lat eksperymentów i konfrontacji. W wystawionych obrazach wyraźnie widać lukę 30 - 40, albo i więcej lat. Wiącać obrazy przypominające młodego Chagalla, Malewicza, Pietrowa-Wodkina, Kandinskiego, Łarionowa i wielu innych rosyjskich twórców awangardy. W niektórych obrazach widać talent ich twórców. Brak w nich po prostu techniki i dyscypliny. W innych przeważa techniczne eksperymentatorstwo, zaś tym, czego brakuje, jest talent. Ważne jest jednak, że ludzie ci zyskali swobodę i chęć eksperymentowania. Wszystko inne przyjdzie samo z siebie.

Stowarzyszenie *Pamięć* istniało w Moskwie już od kilku lat i dotarło także do innych miast. Jego istnienie zaczęło się od niewinnego apelu o ocalenie rosyjskich tradycji. W ogłoszeniu zamieszczonym w lokalnej prasie wezwano ludzi do przybycia w niedzielę na *subotnik* szczególnego rodzaju: by pomóc przy restaurowaniu, czyszczeniu czy porządkowaniu jakiegos na wpół zniszczonego kościoła, zabytkowej budowli czy pomnika. Ludzie zbierali się na wykładach czy dyskusjach o tematyce historycznej. Nikt nie wie dokładnie, jak to się stało, że z takiej działalności wyłoniło się stowarzyszenie czy też inicjatywa obywatelska, która nieoczekiwanie wystąpiła z żądaniem natury społecznej czy może wręcz politycznej. Ostatnio *Pamięć* zorganizowała nawet demonstrację w Moskwie, a jej przedstawiciele byli przyjęci przez sekretarza moskiewskiej organizacji partyjnej, Jelcyna. O członkach tego stowarzyszenia nie wiele wiadomo. Ich światopogląd jest w oczywisty sposób skrajnie konserwatywny, cechuje go rosyjski patriotyzm. Nierzadkie są wśród nich postawy antysemickie czy wręcz antyinteligencjne. Nie lubią kultury zachodniej, a w szczególności nowoczesnej muzyki i sztuki, które cieszą się dziś tak dużą popularnością w kręgach sowieckiej młodzieży. Niektórzy członkowie ugrupo-

wania woleliby wprowadzić pełną prohibicję. Inni domagają się, by w sowieckich komputerach zastąpić alfabet łaciński cyrylicą. Podobno jeden z członków *Pamięci* w Nowosybirsku został wykluczony z partii za zbyt otwarte propagowanie antysemityzmu. Wszystko, czego udało mi się o tej grupie dowiedzieć, nie wzbudziło we mnie najmniejszej sympatii do niej. Mogę jedynie odnotować sam fakt jej powstania. W sposób oczywisty jest czymś, czego nie zaakceptowałyby wówczas organa partyjne i czego władze nie kontrolują bez reszty. Jest kiełkiem czegoś nowego, co dotychczas w ZSSR nie istniało, ani nawet istnieć nie mogło.

Nigdy nie spotkałem się z przejawami jawnej wrogości wobec inicjatyw Gorbaczowa. Oczywiście fakt ten nie ma większego znaczenia - nie tylko dlatego, że moje obserwacje ograniczyły się do kręgu moich przyjaciół, lecz także ze względu na fakt, iż przeciwnicy polityki Gorbaczowa z pewnością nie obnoszą się ze swymi poglądami. Postawy wśród inteligencji i artystów wahają się od entuzjazmu dla nowej polityki do absolutnego sceptycyzmu: nie zaszła jeszcze żadna istotna zmiana i w gruncie rzeczy nic się nie może zmienić. Mimo wszystko zaryzykowałbym jednak stwierdzenie, iż wyraźna większość inteligencji popiera nową politykę bezwarunkowo lub też z pewnymi zastrzeżeniami. Częściej spotkać się można z obawą, że to nie potrwa długo. *Homo sovieticus* z ulicy wyraża swe zainteresowanie poprzez kupowanie i czytanie gazet oraz czasopism w niespotykanej dotąd ilości. Zaś proste kobiety stojące po coś w kolejkach wyrażają swe oburzenie krzycząc do kierownika sklepu: "Zrobić by wam pieriestrojkę, wy sukisynny, potrzebna na was głasnost!".

Nie twierdzę, że to, co odbywa się obecnie w Moskwie, jest jakąś powtórką Włosny Praskiej. Polityczne, narodowe, religijne, gospodarcze i militarne problemy Związku Sowieckiego całkowiec różnią się od tych, które występowały, czy występują, w Czechosłowacji. Społeczeństwo sowieckie nigdy nie przeszło przez szkołę demokracji i liberalizmu, która stała się naszym udziałem w konstytucyjnej monarchii Austro-Węgierskiej. Nie przeszło też przez szkołę wolności i niepodległości, którą my zaliczyliśmy w okresie międzywojennym i na krótko po II wojnie światowej. Pomimo to nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż pomiędzy tym, co dzieje się dzisiaj w Moskwie, a tym, co działo się przed dwudziestu laty w Pradze występują głębokie analogie.

Wielki kraj obudził się z głębokiego letargu, który paraliżował go przez wiele dziesięcioleci. Ludność, spętana i zastraszona długim okresem terroru i despotyzmu władzy, dojrzała iskierkę nadziei, i nagle pojawiło się w niej zainteresowanie politycznym i gospodarczym życiem kraju, zrodziła się w niej chęć uczestnictwa. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu, a może siedemdziesięciu lat *homo sovieticus* otrzymuje w miarę pełną i nie do końca jednostronną informację o problemach społecznych i ekonomicznych, o polityce zagranicznej, o katastrofach i nieszczęściach, które wcześniej "nie zdarzały się", albo też zdarzały się w państwach chylącego się ku upadkowi kapitalizmu. Otrzymuje informacje o wydarzeniach historycznych w swym własnym kraju. Po raz pierwszy *homo sovieticus* był zmuszony do wyrobienia sobie swej własnej opinii. Do zajęcia stanowiska. Po raz pierwszy wypuszczono więźniów politycznych. Po raz pierwszy winni, w tym także najwyżsi rangą aparaczczy, są publicznie pociągani do odpowiedzialności za swe czyny, nawet jeśli odbywa się to w sposób ostrożny, kontrolowany i w ograniczonym zakresie.

Nauka i uczeni

ZSSR inwestuje w naukę ogromne środki. Ma wielu wysoko kwalifikowanych uczonych zdolnych rozwiązać nawet najbardziej skomplikowane problemy. W działach teoretycznych, gdzie efekty pracy naukowej zależą wyłącznie od talentu i wiedzy, Związek Sowiecki dorównuje poziomowi światowemu. Do nauk tych należą matematyka, fizyka teoretyczna, astrofizyka i kosmologia. Ale nawet w tych działach sytuacja nauki sowieckiej jest gorsza ze względu na brak informacji i kontaktów. Znacznie gorsza jest sytuacja tych dziedzin nauki, które w sposób zasadniczy są uzależnione od stałego dopływu instrumentów, odczynników chemicznych, specjalnych materiałów, czy innego wyposażenia produkowanego przez przemysł.

Prowadzi to do bardzo niskiej wydajności pracy w sowieckich instytutach naukowych. Nie jest to nowe odkrycie. Członek sowieckiej Akademii Nauk, Kapica /nagroda Nobla w dziedzinie fizyki w roku 1978/ mówi i pisał o tym, stwierdzając, że nauka sowiecka jest co najmniej dwa, trzy razy mniej wydajna niż amerykańska. Porównując liczby przyznanych nagród Nobla można dojść do jeszcze bardziej pesymistycznych wniosków.

Odnoszę wrażenie, że od lat pięćdziesiątych, kiedy to Kapica wygłosił swe odważne ostrzeżenie, sytuacja się pogorszyła. W międzyczasie nauka zachodnia rozwinęła się bardzo gwałtownie, zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach. W ZSSR nastąpiła naukowo stagnacja. Doprowadziło to do tego, iż Związek Sowiecki może dotrzymać kroku nauce zachodniej tylko w kilku dziedzinach. W istocie dotyczy to tylko broni jądrowej, technik raketowych i badań kosmicznych. Osiąga się to przez kolosalną koncentrację środków materialnych i ludzkich w nielicznych wybranych problemach. Oceniałbym, że w celu rozwiązania tego samego problemu naukowego w tym samym czasie ZSSR musi zaangażować dziesięć razy więcej środków finansowych i ludzi, niż USA.

Pewien profesor powiedział mi, że w latach czterdziestych ogłoszono wszechzwiązkowe współzawodnictwo w wyprodukowaniu najlepszej zapalniczki do fajki tow. Stalina: *"Uczestniczyło w tym kilkaset fabryk. Dziś nie można nawet ogłosić podobnego współzawodnictwa na wyprodukowanie komputera osobistego dla tow. Gorbaczowa. Trudno było by znaleźć choćby jedną fabrykę zdolną do wyprodukowania nowoczesnego i niezawodnego urządzenia"*.

Profesor miał oczywiście rację. Praktycznie rzecz biorąc ZSSR nie produkuje komputerów osobistych. Wedle artykułu opublikowanego w prasie centralnej w celu podjęcia seryjnej produkcji małych komputerów i rzucenia ich na rynek należało by poprawić ich jakość 20 do 25 razy /sic!/. W czasie mego pobytu w ZSSR nie widziałem ani jednego sowieckiego komputera osobistego z prawdziwego zdarzenia.

W istocie jest to problem całego bloku wschodniego. Niepowodzeniem skończyła się próba zbudowania wspólnego komputera RIAD. 200-megabajtowy twardy dysk, który miał być wyprodukowany w Bułgarii, nigdy nie zadziałał. Lepiej nie wspominać o jego rozmiarach. Od lat używany na Zachodzie twardy dysk o pojemności 200 megabajtów ma wielkość pudełka papierosów. Produkt bułgarski to było monstrum wielkości nocnego stolika. W centralnych instytutach naukowych NRD na dziesięciu, piętnastu naukowców często przypada jeden komputer osobisty, którego odpowiednika próżno by szukać dziś na zachodnim rynku /nikt nie kupiłby tak przestarzałego urządzenia/, zaś energowscy uczeni muszą czekać tydzień albo i dłużej, żeby móc z niego korzystać.

tać przez parę godzin. Starsi pracownicy nauki otrzymują rocznie po 1000 arkuszy papieru do drukarki. Wszystkie komputery osobiste są, praktycznie rzecz biorąc, w całości montowane z części importowanych. Ostatnio przeglądałem tom protokołów z konferencji, w którym artykuły były odbite bezpośrednio z maszynopisu. Szokujące było porównanie jakości przygotowanych do sfotografowania tekstów: sowieckie i wschodnioeuropejskie były opracowane przy użyciu technik i materiałów pozostających daleko w tyle za afrykańskimi czy azjatyckimi.

Odwiedziłem laboratorium komputerowe jednej ze szkół w Nowosybirsku. Nie mają ani jednego komputera osobistego. Kilka terminali podłączono do centrum komputerowego syberyjskiego oddziału Akademii Nauk za pomocą bezpośrednich łączy telefonicznych. Używają Hawlett-Packera 2006. Polska drukarka wygląda jak prehistoryczne monstrum. Może drukować cyrylicą i łaćną /tylko duże litery/, ale stale jest zepsuta.

- *Nasze laboratorium służy 150-200 uczniom starszych klas i kilku tuzinom członków tak zwanego "koła naukowego".*

Oznacza to 4 do 5 terminali na 300 osób. Nauczyciel pokazuje mi kolekcję programów opracowanych przez studentów. Są interesujące, dowodzą ich umiejętności i żywego zainteresowania. Ale dlaczego złożone są w pudełku na kartkach wyrwanych z notesu? Nauczyciel nie chwytają mojego pytania.

- *Naturalniejsze byłoby przechowywanie ich w komputerze?* - spieszy z pomocą bardzo młody chłopak.

- *Nie starcza pamięci.*

- *Jak pojemna jest wasza pamięć?*

Przez chwilę dyskutowaliśmy próbując znaleźć wspólny język. W efekcie dowiedziałem się: 1 megabajt. Miałem ze sobą w Nowosybirsku małą przenośną Toshiba 1100 Plus. Waży 4 kilo i ma co najmniej dwumegabajtową pamięć. Jest też znacznie szybsza niż komputer, którym dysponuje 300 studentów szkoły w Nowosybirsku.

"Szok kulturowy", jak powiedział przy podobnej okazji jeden z moich polskich przyjaciół. Szok kulturowy był obustronny. Pogłębił się jeszcze w kilka godzin później, gdy dzieliłem się wrażeniami z pewnym znajomym.

- *Musisz pamiętać, że szkoła ta jest uprzywilejowana. W całym Związku sowieckim trudno byłoby znaleźć szkołę lepiej wyekwipowaną w sprzęt komputerowy.*

Innym objawem zacofania ZSSR jest fakt, że używa się tu zachodnich języków komputerowych. Programy pisze się pismem łaćńskim, co naturalnie prowadzi do dalszych komplikacji przy podłączaniu terminali, drukarek i klawiatur. Oczywiście sowieccy uczeni zaniechali prób opracowania własnego języka w cyrylicy. Powiedziałbym nawet, że sowieckie zacofanie jest większe w dziedzinie oprogramowania /software/.

Nic zatem dziwnego, że instytuty naukowe bloku sowieckiego próbują się orientować na komputery produkcji zachodniej. Pomimo embarga dziesiątki dużych komputerów są importowane bądź przemycane do krajów obozu wschodniego wszystkimi możliwymi drogami. Czasem prowadzi to do paradoksalnych sytuacji. Jeden z moich zachodnich przyjaciół powiedział mi, że kupił niezwykle tanio nowego WAX-a, zaś stary WAX został sprzedany za bardzo wysoką cenę. Przyczyna była prosta. Zniesiono embargo na starego WAX-a, a dostawca miał ich już niewiele. Mógł

je sprzedawać po niebotycznych cenach do państw Wschodu.

Bardziej zapewne niż brak nowoczesnego sprzętu /zwłaszcza komputerów, choć nie tylko/ ograniczają naukę sowiecką biurokracja, przepisy i zarządzenia. Prawo i praktyki regulujące na przykład wyjazdy sowieckich uczonych za granicę, ich korespondencję z zachodnimi kolegami, wymianę wyników czy omawianie wspólnych projektów są tak absurdalne i nieproduktywne, że efektywna integracja uczonych sowieckich z międzynarodowym światem nauki jest zupełnie niemożliwa. *Pieriestrojka* i *glasnost* nie objęły jeszcze tej dziedziny życia naukowego. Wydział do Zadań Specjalnych, czy – jak go nazywają w ZSSR – *"wydział pierwszy"* /w istocie jest to kryptonim RGB kontrolującego instytuty naukowe/ wciąż jeszcze posiada władzę absolutną i do niego należy ostatnie słowo w długotrwałym, wielomiesięcznym podejmowaniu decyzji o zgodzie na wyjazd za granicę czy w innych, również ważnych z punktu widzenia działalności naukowej sprawach.

Andriej Sacharow

Zadzwońiłem. Był podniecony. Usłyszałem dzwonek w mieszkaniu, drzwi otworzyła młoda dziewczyna.

- *Pomylił się pan, musi pan pójść do następnego budynku* – powiedziała uśmiechając się wyrozumiale. Z pewnością nie jestem pierwszym ani ostatnim, który z powodu chaotycznej numeracji trafił pod niewłaściwy adres. Wreszcie trafiam do właściwego budynku. Drzwi otwiera Jelenia Georgiewna Bonner.

- *Chwileczkę. Ja pana znam. Kim pan jest? František!*

Drzwi Sacharowów nigdy się nie zamykają. Po chwili przychodzi jeszcze dwójka gości. Dwie kobiety z londyńskiego sekretariatu Amnesty International. Dyskusja koncentruje się na kwestii więźniów politycznych i na amnestii, którą właśnie ogłoszono. Sacharow nie jest usatysfakcjonowany treścią ustawy.

Panie z Amnesty ustalają liczbę więźniów politycznych, których jeszcze nie zwolniono. Zgodnie z listą AI w lutym 1987 roku było ich 144. Zgodnie z listą Jeleny Bonner 169. Oczywiście lista zawiera tylko nazwiska tych, o których wiadomo. Nie można wykluczyć, że jest jeszcze wielu więźniów sumienia, o których nikt w Moskwie nie wie. Członkinie AI próbują się dowiedzieć, czy Sacharow otrzymał listy od sekretarza generalnego AI. Sacharow wygląda na zmieszanego.

- *Dostają tak wiele listów, że nie jestem w stanie spamiętać wszystkich. Przypominam sobie, że dostałem jeden.* – Gdy panie z Amnesty wychodzą, zbliża się północ.

Telefon dzwoni często. Sacharow uważnie słucha, zadaje pytania, po czym mówi do żony:

- *Lusia, musimy pomóc finansowo Iksowi.*

Przed kolacją dyktuje telegram do komendanta jednego z syberyjskich łagrów, prosząc o informacje na temat losów więźnia politycznego B.

Dowiaduję się o słynnym telefonie od Gorbaczowa.

O godzinie 10 wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi. Było to niezwykle, bowiem na korytarzu siedzieli milicjanci, którzy nikogo nie wpuszczali. Weszli trzej mężczyźni, mówiąc, że zainstalują telefon.

Andriej Dimitrowicz odparł, że nie prosił o telefon. Nic jednak nie dało się poradzić - telefon został prowizorycznie zamontowany. Gdy wychodzili, ich szef, z pewnością oficer KGB, powiedział Sacharowowi, żeby nigdzie nie wychodził, bo o 10 rano otrzyma ważną rozmowę. O 10 rano panienska z centrali zadzwoniła i podała im numer ich aparatu. W godzinę później zadzwoniła znowu i podała im inny numer. O trzeciej postanowili pójść po chleb, lecz w telewizji zaczął się dobry program, więc zdecydowali się zostać jeszcze parę minut. Nagle telefon zadzwonił.

- *Akademik Sacharow? Będzie pan rozmawiał z Michaiłem Siergiejewiczem Gorbaczowem!*

Sacharow zawołał żonę, która ze zdenerwowania wyciągnęła paczkę papierosów i zaczęła palić. Po operacji serca rzuciła palenie za namową lekarzy, lecz teraz znowu kopci, jak komin fabryczny.

Gorbaczow powiedział, że dostał list Sacharowa i postanowił dać mu możliwość powrotu do Moskwy. Sprawa Bonner też została rozwiązana. Sacharow odrzekł urażonym tonem, iż Jelena Georgijewna Bonner jest jego żoną.

- *W porządku, macie tam mieszkanie, nie ma z tym problemu, więc możecie wracać i zacząć pełnić swe patriotyczne zadania. Posyłam do was Marczyka /przew. Akademii Nauk ZSSR/, który omówi z wami szczegóły.*

Sacharow podziękował i powiedział, że uznaje tę decyzję za oddanie mu historycznej sprawiedliwości, ale że w swym liście prosił też Gorbaczowa o amnestię generalną dla wszystkich więźniów politycznych. Parę dni temu w czystopolskim więzieniu został zamordowany jego przyjaciel Anatolij Marczenko, pierwszy na liście tych, których uwolnienia niezwłocznie się domagał.

Gorbaczow odrzekł, że te problemy są już rozwiązane, że wypuścili już wiele osób, ale na liście Sacharowa są różni ludzie. Sacharow odparł, że wszyscy na jego liście są więźniami sumienia i muszą być natychmiast zwolnieni. Jest to niezbędne z punktu widzenia prestiżu państwa, sukcesu polityki Gorbaczowa, a także z punktu widzenia jego własnych interesów. Gorbaczow udzielił jakiejś formalnej odpowiedzi i Sacharow zaczął się obawiać, że sekretarz może odrzucić jego żądanie. Powiedział więc jeszcze raz, że usilnie prosi o powrót do kwestii więźniów politycznych. Jeszcze raz podziękował mu za telefon i za zgodę na powrót do Moskwy, po czym rzekł "do swidania" i odłożył słuchawkę.

František Janouch

PARTIA NASZYM STERNIKIEM
Z MICHAŁEM HELLEREM ROZMAWIA IRINA IŁOWAJSKAJA

Michał Heller - historyk rosyjski, od 1969 roku na emigracji w Paryżu; wykładowca Sorbony. Wydał m.in. "Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka" /Londyn 1974, wyd. krajowe - Krag 1982/, "Utopia u władzy. Historia ZSSR od roku 1917 do naszych dni" /wspólnie z Aleksandrem Niekriczem/, /Londyn 1982 - wydanie rosyjskie, wydania polskie m.in.: CDN 1986, Myśl 1986, Krag 1986/.

Irina Iłowajskaja - redaktor naczelny "Russkoj Mysli".

Iłowajskaja: Co pan myśli o wydarzeniach w Związku Sowieckim? Czy w ogóle dzieje się tam cokolwiek, a jeśli tak - to jak pan to ocenia?

Heller: Dzieje się. Sądzę, że powtarza się to, co działo się za każdym razem, gdy do władzy dochodził nowy sekretarz generalny. Przede wszystkim likwiduje się starą maszynę partyjną, stary aparat, stworzony przez poprzednika, a w jego miejscu tworzony jest nowy. Praktycznie rzecz biorąc, oznacza to, że aparat zostaje tam, gdzie był, a zmieniają się jedynie detale - aparatczycy. Tak samo było wcześniej: Stalin wymienił aparat leninowski na swój, Chruszczow gromił stalinistów, Breżniew - ludzi Chruszczowa.

Każdy nowy sekretarz generalny zastaje kraj na krawędzi katastrofy. To rzecz powszednie wiadoma. Pozwala o tym mówić otwarcie, bo cała wina obciąża poprzednika i jego aparat. Ogłasza się, że reformy są konieczne. Podstawowym warunkiem ich wprowadzenia jest posiadanie władzy absolutnej. Sekretarz generalny powinien dysponować władzą, by zrealizować reformy, a wprowadzenie reform winno umacniać jego władzę.

Dziś nie mówi się nawet o reformach, mówi się o rewolucji, o rewolucyjnych przemianach. Jest to niewątpliwym dowód na to, że obecny kryzys systemu sowieckiego jest jednym z najostrejszych w historii. Oczywiście słowo "rewolucja" brzmi dumnie. Ale jaka rewolucja? Co to znaczy dziś w ZSSR rewolucja? W marcu 1987 ukazał się w *Prawdzie* artykuł nowego dyrektora Instytutu Marksa - Lenina wykładający teorię nowej rewolucji. W Związku Sowieckim nie zmienia się ustrój państwowy, system polityczny, stosunki gospodarcze. Jaka więc rewolucja? - pyta autor artykułu. I odpowiada: rewolucja na wzór i podobieństwo stalinowskich rewolucji odgórnych - kolektywizacji i rewolucji kulturalnej lat 1928-1931.

To wyznanie wspaniale określa charakter tego, co się dzieje, pokazuje, gdzie przebiega granica "rewolucyjnych przemian". Artykuł wyjaśnia, co miał na myśli Gorbaczow, oświadczając, że potrzeba więcej socjalizmu.

Sądzę, że obecne wydarzenia stają się zrozumiałe, jeśli podejść do nich z perspektywy historycznej. Oczywiście, gdy przypomnimy sobie marazm ostatnich lat breżniewowskich, wówczas wszystko wyda się nam

zdumiewające, radosne, nowe. Lecz jeśli sięgniemy pamięcią w przeszłość nieco dalszą, czy całkiem odległą - do lat dwudziestych, to zdolamy dostrzec zadziwiająco zbieżności - w słowach, hasłach, obietnicach, decyzjach. I właśnie ten fakt - że wszystko już było - sprawia, iż skrajny sceptycyzm jest uzasadniony. I nawet słynna *glasnost* miała już miejsce - a jakże! - w najcięższych latach stalinizmu. Nie trzeba też zapominać, że bez *glasnosti*, która nader często przybiera formę donosicielstwa, rozbitcie starego aparatu partyjnego jest niemożliwe.

Można oczywiście zaproponować - no, a tym razem wreszcie się uda. Zmiany staną się - jak to dziś powiadają - nieodwracalne. Jednakże ten argument wydaje mi się nieprzekonywający z prostego powodu. Niedawno we francuskiej telewizji pokazano redaktora naczelnego *Ogonioka*, który udzielał wywiadu jakiemś obcokrajowcowi. Dla redaktora wszystko było proste i oczywiste. Oświadczył: "*szukam granic glasnosti i nie mogę ich znaleźć*". Wręcz zachwystywał się wolnością. A przecież granica *glasnosti* jest oczywista - stanowi ją rola partii. Obecnie mówiąc o przeszłości używa się terminów: epoka kultu jednostki, epoka woluntaryzmu, epoka zastoju. Jeśli zatem uznać, iż epoka kultu zaczyna się - licząc ostrożnie, według oficjalnej chruszczowskiej periodyzacji - w 1934 roku, to okazuje się, że pięćdziesiąt lat sowieckiej historii, pod kierownictwem partii, było okresem błędów i wypaczeń. A chruszczowska periodyzacja rodzi pewne wątpliwości nawet u niektórych historyków sowieckich. Może należałoby liczyć od kolektywizacji? Ale w takim razie dlaczego by nie cofnąć się jeszcze dalej? I tu właśnie napotykaemy na nieprzekraczalną granicę. I na cytaty z Lenina. Wódz rewolucji ustanowił niepodważalne prawo: prawo partii do pomyłek. My jesteśmy awangardą. Zaczynamy, będziemy się mylić i wciąż będziemy zaczynać od nowa. Nasze błędy - dodawał Władimir Iljicz - to nie ich błędy. Można rzec, że nasze błędy są z natury lepsze, bowiem partia wie dzie świat w lepszą przyszłość.

Sądzę, że "prawo partii do błędów", które zna każdy człowiek sowiecki, tłumaczy, dlaczego wszyscy agitatorzy i propagandyści powtarzają z uporem, jak zaklęcie: nie ma powrotu.

Oczywiście te stwierdzenia mogą rodzić wątpliwości. Członek Akademii Nauk, Zasławskaja w niedawnym wywiadzie dla *Izwestii* wyjaśniła, iż powrot nie będzie, jeśli społeczeństwo zyska "*świadomość socjalną*". Uważa ona, że powinno to nastąpić w krótkim okresie, bowiem reformy rozciągnięte w czasie nie dają rezultatów. Jako przykład przytacza Węgry.

Iłowajskaja: Jako przykład niepowodzenia?

Heller: Tak. Sądzi ona, że reformy na Węgrzech były przeprowadzane zbyt długo, bardzo długo, "po kawałku" i funkcjonowanie mechanizmu gospodarczego państwa nie uległo zmianie. Zasławskaja uważa, że zmiany w Związku Sowieckim mogą liczyć na powodzenie, jeśli dokonają się w ciągu jednego - dwóch, najwyżej trzech lat. Niezbyt jasne jest, od kiedy należy to liczyć: od dojścia Gorbaczowa do władzy, od dnia publikacji wywiadu? Lecz nawet jeśli za punkt startowy uznamy dzień dzisiejszy, to członek Akademii Nauk, Zasławskaja jest dostatecznie poważnym uczynnym, by rozumieć, iż w ciągu trzech lat nie da się ani zmienić świadomości społeczeństwa /która kształtowała się 70 lat/, ani przeprowadzić istotnych zmian w tak potwornie nieruchawej machinie, jaką jest dzisiejszy Związek Sowiecki. A zatem należy wrócić do pytania: czy Gorbaczow i jego towarzysze pragną reform? Nie mówię już - czy pragną oni rewolucji?

Myślę, że granicę reform w ZSSR stanowi władza polityczna. Gdy tylko reformy zaczynają być potencjalnym zagrożeniem dla władzy politycznej, gdy tylko zaczynają grozić zmniejszeniem sfery tej władzy, o reformach tych przestaje się mówić. Czego byśmy nie mówili na temat wydarzeń rozgrywających się w ZSSR, wciąż będziemy natrafiać na główną barierę - jest nią absolutna, monopolistyczna władza partii.

Niedawno słyszałem wystąpienie redaktora naczelnego *Prawdy*. /Czasami odnosi się wrażenie, że jak tylko włączysz w Paryżu telewizor, to na ekranie zaraz pojawia się twarz sowieckiego redaktora./ Redaktor *Prawdy* mówiąc o trudnościach na drodze "przebudowy" nagle oburzył się na francuskiego dziennikarza: "Nie chcecie chyba, żebyśmy założyli drugą partię!". Uspokoiwszy się, wyjaśnił: "To niemożliwe, ponieważ u nas nie ma antagonistycznych klas społecznych". Wybacmy redaktorowi to stwierdzenie - jak przeczytał w *Krótkim kursie*, tak zapamiętał na całe życie. Dziś pojawia się pogląd, że ludność Związku Sowieckiego składa się z wielu grup społeczno-zawodowych, z których każda posiada własne interesy. W jaki jednak sposób grupy te mogą bronić swych interesów, jeśli wszystkie one są reprezentowane przez jedną i tę samą partię, obdarzoną pełną władzą i troszczącą się o zachowanie tej władzy? A zatem można powiedzieć, że wszystkie działania Gorbaczowa mają na celu wzmocnienie władzy partii /a tym samym - własnej władzy/ oraz - poprzez to - pewne podniesienie efektywności systemu sowieckiego.

Przy okazji można przypomnieć, jak to Lenin stwierdził nagle w 1922 roku, że kraj rozwija się jakoś nie tak, że biurokracja paraliżuje jego działanie, wezwał Trockiego. Organizator przewrotu październikowego przedstawił wodzowi partii i państwa swój punkt widzenia: "Cały kłopot, sedno wszystkich trudności polega na tym, że na jednym obszarze funkcjonują dwa aparaty. Krótko mówiąc, wszystkie trudności biorą się z istnienia dwóch równoległych aparatów - państwowego i partyjnego". Jest to główna osobliwość systemu sowieckiego, utrudniająca mu zmianę.

Itowajskaja: Jednakże jest to osobliwość wszystkich państw, w których rząda komuniści.

Heller: Tak. Dlatego właśnie nie wolno o tym mówić. Główną nie obejmuje tego zagadnienia.

Itowajskaja: A po co "na jednym obszarze" mają funkcjonować dwa aparaty? Może prościej było by oddać wszystko partii i mieć tylko jeden aparat - partyjny?

Heller: /.../ Można by zadać inne pytanie: dlaczego by partia nie miała przystąpić do ingerowania przynajmniej w niektóre dziedziny życia? W 1956 roku, po powrocie Gomułki do władzy, w radosnej atmosferze polskiego Października /dziś w Moskwie mówi się o "kwiaciowej wiosnie"/ grupa polskich ekonomistów - a byli wówczas w Polsce znakomici ekonomiści, jeszcze "przedwojennej klasy" - przedstawiła projekt gospodarczej przebudowy Polski. Powiadają, że był to doskonały plan. Pierwszy sekretarz KC polskiej partii zapoznał się z tym projektem i wszystko zrozumiał. A wy co? - spytał ekonomistów. - Chciecie, żeby partia ograniczyła się w swej działalności do organizowania manifestacji pierwszomajowych?

I właśnie to mam na myśli mówiąc o politycznych granicach reform w ZSSR. Ideologiczna natura partii nie pozwala jej na zrzeczenie się choćby części władzy. Tylko władza absolutna uzasadnia prawo partii do rządzenia, tylko władza absolutna potwierdza słuszność "jedynie słusznej teorii". Dlatego właśnie apelowanie do partii, by wyzkała się ideologii, wydaje mi się być taktyką naiwną. Partia nie

ma nic poza ideologią. Ideologia uzasadnia jej władzę. Władza potwierdza słuszność ideologii. Członkowie partii mogą się mylić, lecz partia zawsze ma rację. Rezygnując choćby z części władzy przyznałaby, że mogą istnieć także inne "instrumenty historii".

Iłowajskaja: Czy partia, jako aparat władzy, zmienia się?

Heller: Podstawowa zasada pozostaje niezmienna. Jest nią to, co Lenin zakładając partię nazwał "centralizmem demokratycznym". Dziś wiele mówi się o podniesieniu poziomu pracy partyjnej, o pogłębieniu demokracji wewnątrz partii. Wypowiedzi te budzą oczywiście wiele nadziei. Nawiasem mówiąc, pojawienie się takich głosów nie jest niczym nowym. Weźmy jako przykład "rewolucyjne" wystąpienie Gorbaczowa na plenum poświęconym polityce kadrowej w styczniu 1987 roku. Gorbaczow zaproponował wprowadzenie tajnego głosowania przy wyborach do organów partyjnych. Zachodnia prasa przez długi czas nie mogła otrząsnąć się z szoku: no, wreszcie, wszystko się teraz zmieni, tajne wybory! Zaczęto pisać, iż konserwatyści legli krzyżem na progu demokracji wewnątrzpartyjnej i nie dopuścili do podjęcia "rewolucyjnej" decyzji. We wszystkim tym zabawne jest to, że statut partii przewiduje tajne wybory. Ponieważ jednak wszyscy wiedzą, iż w partii nikogo się nie wybiera, a mianuje, tajne wybory istniały jedynie na papierze. Jednakże przed pięćdziesięciu laty, na osławionym lutowo-marcowym plenum 1937 roku, kiedy to Stalin oświadczył, że wrogowie są wszędzie, przyjęto postanowienie o "wprowadzeniu tajnego głosowania przy wyborach do organów partyjnych". Warto, być może, przypomnieć i o tym, że referentem kwestii "pogłębienia demokracji wewnątrzpartyjnej" był znany demokratą oraz miłośnik literatury i muzyki A.A. Zdanow. Muszę przyznać, iż przeczytawszy treść wystąpienia Gorbaczowa na styczniowym plenum 1987 roku byłem szczerze zdziwiony. Odkryłem w tekście całe ustępy niemal dosłownie powtarzające przemówienie Stalina z 3 marca 1937 roku. Krąży opinia, że zbieżności te nie są przypadkowe. Stalin przypuścił wtedy ostatni atak na resztki leninowskiego aparatu partyjnego. Niewątpliwie niektóre doświadczenia pierwszego z sekretarzy generalnych i dziś mogą być przydatne. Choć oczywiście trzeba przyznać, że manieri nieco się polepszyły.

Iłowajskaja: A co pan myśli o zgłaszaniu kilku kandydatów na jedno miejsce w wyborach do rad miejskich i na stanowiska dyrektorskie?

Heller: Taki system funkcjonuje w niektórych państwach socjalistycznych, na przykład w Polsce czy na Węgrzech. Jednakże jest tam, przynajmniej formalnie, kilka partii.^x W Związku Sowieckim gdzieś tam przeprowadzono wybory w prawdziwym tego słowa znaczeniu, tj. wybrano jednego spośród kilku kandydatów. Na razie można powiedzieć jedynie tyle: tak jak uprzednio kandydatów wyznacza partia. Mówi się o tym, że mogą ich wyznaczać związki zawodowe i organizacje społeczne. Jednakże artykuł 6 sowieckiej konstytucji stwierdza, że partia kieruje w s z y s t k i m i organizacjami w ZSSR. A więc...

Iłowajskaja: Nic się nie zmienia...

Heller: Nic się nie zmienia, lecz może powstać iluzja wyborów, iluzja zmian.

x

Heller myli się - na Węgrzech istnieje tylko jedna partia. [red.]

Flowańska: Tak więc pańska niezwykle pesymistyczna opinia na temat wydarzeń rozgrywających się w związku Sowieckim oparta jest na znajomości historii?

Heller: Oparta jest ona na pamięci, którą tak usilnie niszczone, że odnosi się wrażenie, iż nikt już nie pamięta. Niedawno przeczytałem artykuł doktora nauk historycznych, Tiutiukina noszący piękny tytuł *Szacunek dla prawdziwej historii*. Tiutiukin mówi rzeczy oczywiste: historia winna być historią, winna traktować o faktach, mówić tylko o tym, jak wyglądała przeszłość. Doskonale. Sek w tym, że równo 25 lat temu, w 1962 roku, odbyła się wszechzwiązkowa konferencja historyków. Był to najcieplejszy okres odwilży. Historycy podsumowali swą wcześniejszą działalność, bili się w pierś, kajali się z powodu swych kłamstw i fałszerstw. Wówczas historycy /podobnie jak i cała reszta obywateli/ mieli coś na swoje usprawiedliwienie: strach.

Jednakże dziś historyk, którego kariera zawodowa przypada na okres po pierwszej /i jak na razie - także ostatniej/ konferencji, przyznaje, że historycy znowu kłamali i fałszowali. A przecież w tym czasie nie panował aż taki strach. Dlaczego więc?

Flowańska: Powiedział pan, że decyzja dokonania zmian była spowodowana zrozumieniem katastrofalnego stanu, w jakim znalazł się kraj. A może stojący u władzy nie dostrzegają, że wszystkie dotychczasowe próby naprawienia sytuacji nie zmieniły niczego? Jeżeli zaś dostrzegają ten fakt - to na co liczą?

Heller: Zadała pani dwa pytania. Najpierw odpowiedź na drugie. Dawno już stwierdziłem, że George Orwell miał całkowitą słusność: celem władzy jest władza. Stojący u władzy liczą na to, że utrzymają swą pozycję. I robią wszystko, co w ich mocy, by tę władzę rozszerzyć. Jeśli zaś chodzi o pierwsze pytanie, to nie mogę się zgodzić z opinią, że dotychczasowe próby nie dały żadnych rezultatów.

Flowańska: Cóż zatem osiągnięto?

Heller: W latach sześćdziesiątych śpiewano o tym piosenkę. Technolog Pietuchow, odpowiadając na krytyczne uwagi afrykańskiego księcia, wytoczył ważne argumenty: my produkujemy rakiety, zmieniamy bieg Jenu, a także balet nasz jest najlepszy na całej planecie...

Flowańska: Wątpię, jeśli chodzi o balet. Rakiety zaś - to prawda.

Heller: W przeddzień wojny, w 1914 roku, Rosja była jednym z czterech wielkich mocarstw europejskich. Dziś Związek Sowiecki jest jednym z dwóch supermocarstw. Jednakże to sowieckie "super" odnosi się tylko do siły militarnej. Parytet z USA osiągnięto tylko w dziedzinie zbrojeń. We wszystkich innych dziedzinach ZSSR pozostaje daleko w tyle za wszystkimi niekomunistycznymi państwami Europy i Azji. Statystyka żongluje cyframi: wytopy stali, miliony traktorów itd. Fałsz kryje się nie w tym, że cyfry te są fałszywe, a w tym, że przesłaniają one realia życia ludzi. Kluczewski mówił o Rosji XVII-XVIII wieku: państwo bogaciło się, a lud podupadał. Stwierdzenie to jest jeszcze bardziej aktualne dzisiaj, gdy wchodzimy w XXI wiek.

Flowańska: I taki właśnie system pragnie się rozprzestrzenić na cały świat?

Heller: Dla systemu sowieckiego jedyną szansą przetrwania jest rozprzestrzenienie się na cały świat, przekształcenie się w system globalny. Począwszy od roku 1939 system posuwa się szybko, połykając całe kraje, to znów zatrzymuje się dla złapania oddechu i przetrwania zdobywszy. Obecnie sowietyzacja świata przybiera różne formy. W latach

dwudziestych śpiewano: "Na Warszawę! na Berlin!". Dzisiaj i Warszawa, i Berlin są opanowane. Jednakże dalsza ekspansja - w kierunku Paryża i Kanaju La Manche zatrzymała się. Zarówno dlatego, że nie da się wykluczyć możliwości silnego oporu, jak i dlatego, że Zachód stał się dla Sowietów czynnikiem niezbędnym w celu rozwijania własnej siły militarnej. Przy czym kupuje się tam nie tylko maszyny. Od dawna Zachód karmi również ludzi sowieckich. W ostatnich dniach przeczytałem wiadomość, że zakupiono w USA kolejną partię zboża, a połowę należności zapłacił farmerom rząd amerykański z własnej kieszeni. Importowane produkty rolne są obecnie tańsze od sowieckich. Sądzę, że gdyby jakiś zdolny ekonomista wymyślił zajęcie dla kołchozników i sowchozników, to w ogóle można by zlikwidować w Sowietach rolnictwo. Zaoszczędzono by w ten sposób mnóstwo pieniędzy.

Itowajskaja: Ale w takim razie ekspansja systemu może zniszczyć źródła zaopatrzenia.

Heller: Właśnie to mam na myśli, mówiąc o różnych formach sowietyzacji. Obecnie stosuje się tzw. taktykę działań niebezpośrednich. W celu jak najefektywniejszego wywierania presji na świat zachodni tworzy się wokół niego pierścień. Reżimy typu sowieckiego powstają, powiedzmy, w Etiopii i Nikaragui. Wpływa to na politykę Paryża, Londynu i Waszyngtonu.

Teoria Marksa o bazie i nadbudowie jest realizowana w dziwny sposób: nadbudowa ideologiczna w ZSSR, baza ekonomiczna na Zachodzie. Zaleta takiego rozwiązania polega na tym, że uwalnia ono władców sowieckich od konieczności przeprowadzania prawdziwych reform strukturalnych.

Itowajskaja: Wiele mówi się o tym, że na sowieckie kierownictwo wpływ wywarły wydarzenia w Chinach. Co pan o tym myśli?

Heller: Wydaje mi się, że w Chinach nastąpiło to samo, co dziś odbywa się w ZSSR. Przed dziesięciu laty umarł Mao. Deng Xiaoping zaczął reformować kraj, pragnąc przede wszystkim wymienić aparat partyjny na swój. W trakcie walki o władzę, noszącej charakter nie polityczny a personalny, wprowadzono pewne zmiany w systemie ekonomicznym. Przede wszystkim uwłaszczono chłopów. I dalej wydarzenia potoczyły się z nieubłaganą logiką: zainspirowani reformami gospodarczymi studenci, inteligenci i robotnicy zaczęli domagać się swobód politycznych. Reformy wstrzymano, pobłażliwość została napiętnowana, odzyskano kontrolę.

Przykład Chin jest nadzwyczaj pouczający. W latach pięćdziesiątych Mao oświadczył: niech rozkwita 100 kwiatów. Ledwo zakwitły, skoszono je. Przed dziesięciu laty Deng Xiaoping oświadczył: niech rozkwita 200 kwiatów. Dziś i one poszły na kompost.

Próba chińska uzmysławia władzy sowieckiej, jak niebezpieczne są reformy, jeśli zaczynają dotyczyć fundamentu systemu. Zaś ludzicom sowieckim demonstruje ona łatwość, z jaką odbiera się dzisiaj to, co dano wczoraj. Właśnie dlatego, że dano to, podarowano z jaśniepańskiej łaski.

Itowajskaja: Niedawno "Le Monde" opublikował wypowiedź przedstawiciela agencji prasowej "Nowosti" na temat konieczności zmiany prawa pracy w Związku sowieckim, ponieważ w kraju jest za dużo nierobów i bumelanów. Czy brami to jak groźba?

Heller: Wszyscy, zarówno zachodni, jak i sowieccy ekonomiści dosko-

nale wiedzą, że w ZSSR tylko dlatego nie ma bezrobocia, że 10 osób wykonuje pracę, którą mógłby wykonać jeden człowiek. W latach NEP-u, kiedy gospodarka sowiecka nabrała w miarę normalnego charakteru, w kraju byli bezrobotni. W 1928 roku ich liczba przekraczała milion, istniały giełdy pracy itd. Obecnie brak bezrobocia uchodzi za jedno z najważniejszych dobrodziejstw władzy sowieckiej. Sądzę, że stworzenie oficjalnej armii bezrobotnych jest niemożliwe z powodów politycznych.

Iłowajskaja: Ale możliwe jest przecież stworzenie armii bezrobotnych i używanie jej tam, gdzie tego wymaga plan, tak jak "chemików".^x

Heller: Powszechnie wiadomo, że Związek Sowiecki to kraj nieograniczonych możliwości. Praca przymusowa była podstawowym elementem budownictwa socjalistycznego w latach stalinowskich.

Wydaje mi się, że dziś byłoby z tym trochę problemów. Po pierwsze, nie wiadomo, czy obecny sekretarz generalny jest zdolny /nie politycznie, lecz psychologicznie/ do zastosowania nie tylko stalinowskiej techniki propagandy, lecz także stalinowskich metod sprawowania władzy. Po drugie, zmienił się charakter pracy. W czasach stalinowskich armie bezrobotnych - mobilne i nieprzeliczone - używane były do prostych robót, takich jak wycinanie lasu czy kopanie ziemi. Dziś ilość takich prac jest bardzo ograniczona. Oczywiście i dziś można posługiwać się więźniami przy budowie linii kolejowych na dalekiej Północy czy przy układaniu rurociągów.

W każdym razie problem istnieje. A nawet dwa problemy - kwestia bezrobocia i kwestia pracy przymusowej.

Zawsze sądziłem, że mówienie o więźniach politycznych jest konieczne, lecz nie wystarcza. Nie wolno więzić ludzi, którzy wypowiadają myśli nie podobające się władzy. To prawda elementarna. Ale oprócz nich są jeszcze miliony więźniów skazanych dlatego, że prawo sowieckie jest najbardziej represyjne na świecie. Warunki życia są takie, że zmuszają ludzi do naruszania i omijania prawa.

Charakter państwa określa się przy pomocy różnych kryteriów. Liczba więźniów jest jednym z najbardziej wymownych. Jak na razie *glasnost* nie objęła jeszcze statystyki więziennej. Jednakże sami więźniowie potrafia doskonale oszacować liczbę swych współtowarzyszy. W końcu lat siedemdziesiątych Jurij Orłow podał z łagru: nie mniej niż 3 miliony. Całkiem niedawno Anatolij Szczarański podał liczbę jeszcze wyższą. A szacunki te nie uwzględniają "chemików" - ni to więźniów, ni to ludzi wolnych. Ile to jest razem? 4 - 5 milionów?

Powiedziałem, że liczba więźniów określa charakter państwa. W 1912 roku było w Rosji 183 tysiące więźniów. To najwyższa liczba w całej historii Rosji - przedtem i potem było ich mniej. Ludność kraju liczyła w tym czasie 140 milionów. Łatwo wyliczyć ilu więźniów "powinno" być w Związku Sowieckim obecnie.

x

"Chemicy" - żargonowe określenie osób skazanych na kary warunkowego pozbawienia wolności. Skazani na niezbyt wysokie - kilkuletnie - wyroki, mogą zostać przez sąd oddelgowani do pracy "na budowy gospodarki narodowej". Pozostają wtedy pod nadzorem kierownictwa budowy i muszą wykonywać każdą wyznaczoną pracę. Za każde wykroczenie mogą zostać odsłani do łagru dla odsiedzenia wyroku do końca, przy czym - okres pracy może nie zostać przez sąd zaliczony, jako okres odbywania kary. W praktyce może to oznaczać nie warunkowe, a bezwarunkowe pozbawienie wolności. Ten system odbywania kary wprowadzono w ZSSR za czasów Chruszczowa, którego gospodarczym konikiem była chemizacja przemysłu. Skazanych wysyłało początkowo "na chemię". Stąd nazwa./red./

Flowajskaja: A więc perspektywy są jak najczarniejsze, bez żadnych jaśniejszych miejsc?

Heller: Sądzę, że zrozumienie rozgrywających się wypadków i realistyczna ocena sytuacji są ważniejsze od nadziei, rodzącej się tylko dlatego, że taka jest natura człowieka. Całkiem niedawno przeczytałem wiadomość, że grupa zwolnionych ostatnio więźniów zwróciła się do władz o zgodę na wydawanie prywatnej gazety *Głasnost*. To naprawdę dobra nowina. Rozliczać władzę ze słów, które wciąż powtarza, nie dając niczego. Możliwe, że jest to - choćby i niewielki - jaśniejszy punkt.

WIESŁAW SZUKALSKI

ZAPOMNIANE POŚLADKI TWIGGY, CZYLI KŁOPOTY Z PIERESTROJKĄ
/UWAGI NA MARGINESIE WYPOWIEDZI
FRANTIŠKA JANOUCHA I MICHAŁA HELLERA/

Kiedy w latach sześćdziesiątych na okładkach żurnali mód pojawiła się wychudzona dziewczyna imieniem Twiggy, w zachodniej prasie wybuchł namiętny spór na temat kanonu damskiej urody. Lata minęły i o Twiggy zapomniano. Kiedy w 1985 roku na kremłowskim stołku, a co za tym idzie - na okładkach magazynów politycznych pojawił się Michaił Gorbaczow, światowa opinia publiczna ponownie rozpalila się do czerwoności wdając się w spór na temat *glasnosti*, *pierestrojki* i *uskorien*a. Różnic pomiędzy obiema tymi polemikami jest sporo /tam chodziło o kształt damskich pośladków, tu o los i życie milionów/, lecz sporo też podobieństw. Podstawowa zbieżność polega na tym, że znaczna część spierających się mówi nie o tym, co jest, a o tym, co ich pociąga. W efekcie rodzą się przeróżne przemieszane koncepcje w rodzaju teorii konwergencji, zaczerpniętej bodajże z dziedziny science-fiction.^x Podyskutujemy zatem o faktach, pozostawiając na boku sferę gustów, upodobań i fantazji.

A jest o czym dyskutować. W interesującej nas kwestii nie osiągnięto najmniejszego nawet konsensusu, pozwalającego przynajmniej na uzgodnienie pojęć. Stanowiska wahają się od skrajnego sceptycyzmu /Heller/ do równie skrajnego entuzjazmu /Janouch/. To co dla jednych jest "*tak zwaną pierestrojką*", czyli po prostu zwracaniem głowy, inni

x

Jest to nawiązanie do fragmentu tekstu prof. Janoucha. Wyowiedź profesora dotycząca konwergencji systemów "kapitalistycznego i socjalistycznego"

wskazuje się w znaczący sposób na jej praktyczną realizację. Widmy natomiast, że

określają mianem "radykałnych reform". Podobnie ma się rzecz z *glasnostią*, *uskorzeniem* itd. Na korzyść sceptyków wypada przyznać, że istotnie sprawa terminologii wydaje się być lekko śmieszcząca. Błyskawiczna światowa kariera słów zaczerpniętych z rosyjskiego - słów, które mają swe odpowiedniki we wszystkich językach - pozwala przypuszczać, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nieprzypadkowym. /Tu donos do zachodnich służb kontrwywiadu: sprawdźcie, panowie, kto i za ile tak usilnie lansował te rusycyzmy w waszych środkach przekazu./ Cel tego zabiegu jest jasny: jak świat światem wszędzie dokonywano zmian i reform, jednakże tego, co odbywa się obecnie w Sowietach, nigdy jeszcze nie było. To nie żadna tam reforma, to prawdziwa *pierestrojka*! Czapki z głów.

Nie o słowa jednak idzie, lecz o to, co kryje się za nimi.
Ano właśnie, co się kryje?

Heller twierdzi, że wymiana aparatu partyjnego. Słusznie, to też. Ale chyba nie tylko. Nawet największy sceptyk musi przyznać, że jednak - w porównaniu z okresem breżniewowskim - w postawie władz sowieckich dostrzec można wyraźną zmianę. Zwolniono znanych więźniów politycznych. Toleruje się niektóre niezależne inicjatywy obywatelskie /gazeta *Głasnost*, liczne kluby dyskusyjne/. Wypuszczono na Zachód wielu *otkazników*. Rzecz jasna, nie oznacza to, że ustały wszelkie represje i szkyany. Nie bądźmy naiwni - wszak partia nie po to przez 70 lat budowała socjalizm, by teraz rezygnować z płynących zeń profitów. Oczywiście jest, że reformy, mające przecież wzmocnić system, nie mogą naruszać jego podstaw, do których należy - tu racja jest po stronie Hellera - ubezwłasnowolnienie obywateli i wyjątkowo silna represyjność. Niemniej jednak znani "wrogowie ludu" są na wolności, a wymierzone przeciwko nim szkyany przybierają na ogół formy, hmmi, cywilizowane. No, przecież nikt się nie utopił, nikogo nie przejechała ciężarówka, nikt nie spadł ze schodów. A to już jest znaczący postęp.

Wszystko to dotyczy oczywiście z n a n y c h oponentów reżimu - tych, których nazwiska pojawiają się w zachodniej prasie. Jest wysoce prawdopodobne, ba, niemal pewne, że w łagrach i psychuszkach nadal gniją ludzie nieznanymi szerszemu ogółowi, osoby, które narażają się lokalnemu szefowi partii czy KGB. W każdym jednak razie dostrzec można wyraźne uwrażliwienie Kremla na naciski Zachodu i zwiększoną dbałość ekipy Gorbaczowa o zachowanie liberalno-gołębiego image'u. I to też jest jakiś postęp w stosunku do okresu breżniewowskiego, kiedy to czułość władz na dochodzące z zewnątrz głosy krytyki odpowiadała percepcyjnej wrażliwości aligatora.

Przyczyny tego są oczywiste. Sowietci potrzebują Zachodu, potrzebują jego pomocy gospodarczej, potrzebują pieniędzy - tych prawdziwych, a więc imperialistycznych. A przede wszystkim potrzebują chwili wytchnienia w wyczerpującym wyścigu zbrojeń, którego tempo okazało się zabójcze dla gospodarki rozwiniętego socjalizmu. Być może kremlowscy przywódcy są też po prostu zmęczeni rolą szwarzcharakterów współczesnego świata i pragną nieco poprawić swój obraz w oczach otoczenia. Z psychologicznego punktu widzenia było by to zupełnie zrozumiałe. Tak czy inaczej na forum międzynarodowym starają się zaprezentować jako ekipa miłująca pokój, dzieci i małe zwierzątka. Nie wolno tego lekceważyć, bowiem w skali jednostkowej oznacza to poprawę losu wielu więźniów i zesłańców, zaś w kategoriach polityki międzynarodowej jest równoznaczne z powrotem do swego rodzaju racjonalności w stosowaniu represji - władze ZSSR znacznie staranniej niż uprzednio kalku-

lują zyski i straty. Sfera tego, co nieopłacalne, uległa wyraźnemu rozszerzeniu, co daje Zachodowi możliwość skutecznego wywierania nacisku. Bez większego znaczenia jest fakt, iż gorbaczowska *glasnost* stanowi wynik takiego właśnie rachunku, że jest - by użyć sformułowania sceptyków - jedynie grą pozorów i zabiegiem propagandowym. Niezależnie od motywów, którymi kieruje się kierownictwo partyjne, ludzie naprawdę wychodzą z łągrów i naprawdę mówią nieco swobodniej. I to się liczy. Inna rzecz, że owe nie zinstytucjonalizowane, nie skodyfikowane koncesje w każdej chwili mogą zostać cofnięte. Mówiąc dokładniej, Kreml może zmienić linię w chwili, gdy uzna, iż kontynuowanie obecnej polityki przestało być opłacalne. Ale to już jest naprawdę osobna kwestia.

W istocie jednak problem traktowania krytyków i oponentów jest dla Moskwy sprawą marginalną. Nie oszukujmy się, przyszłość imperium to rzecz zbyt poważna, by zwracać sobie głowę drobiazgami. Nie o to toczy się ta gra. Stawką jest mocarstwowa rola Rosji i jej dominacja nad światem. Brzmi to utopijnie? Nie szkodzi, partia ma czas, partia jest cierpliwa i wytrwała w pełnieniu swej dialektyczno-historycznej misji. W tym właśnie miejscu zaczyna się prawdziwy problem. Jak tu bowiem ruszać w bój ostatni, jeśli niemal wszyscy bojownicy sprawy piją a jedna szósta to wręcz notoryczni alkoholicy, jeśli ziemniaki i zboże trzeba sprowadzać z Polski i USA, jeśli byle smarkacz ładuje awionetką u stóp ołtarza, a reaktory atomowe, miast wytwarzać materiały rozszczepialne do produkcji pocisków, rozszczepiają się same? Jeśli, jeśli, jeśli...

Celem Gorbaczowa jest wzięcie tego całego bezhołwia za pysk. Nie jest to zadanie wdzieżne, ani proste. Wymaga pozbycia się wielu wypróbowanych towarzyszy i ożywienia społeczeństwa. Społeczeństwo ma się zaktywizować i pomóc w usuwaniu towarzyszy, a towarzysze mają pomóc w pilnowaniu, by społeczeństwo nie posunęło się za daleko, tj. by z rozpędu nie usunęło samego genseka. Ot, taka dialektyczna kwadratura koła. Stąd właśnie zdumiewające meandry *pierestrojki*: rehabilitacja Bucharina i pochwały pod adresem Słoneczka Narodów, Josifa Wissarionowicza, wyrzucenie ministra obrony i skazanie Matiasa Pusta masowe zwalnianie ludzi Breżniewa i - jedno, ale spektakularne - usunięcie nadgorliwego /a może próbującego rozgrywać własną partię/ Jelcyna. I tak dalej.

Gorbaczow jest niewątpliwie politykiem dostatecznie inteligentnym, by pojąć prostą prawdę: nie da się ubezwłasnowolnić i podporządkować sobie aparatu partyjnego opierając się na tym aparacie. W tym celu potrzebny jest jakiś sojusznik, i to sojusznik dysponujący siłą wystarczającą do przełamania oporu setek tysięcy lokalnych kacyków, posiadających uzbrojoną straż przyboczną i rozgałęzione kontakty nie tylko w kregach terenowego establishmentu, lecz także w samym politbiurze, sztabie generalnym i centrali KGB. Owszem, od czasu do czasu można liczyć na palec Boży, czy raczej dar niebios - w tym wypadku rozumiany dosłownie - jak Matias Rust, którego wyglup pozwolił na szybkie i skuteczne pozbycie się ministra obrony narodowej, Sokołowa. Niemniej jednak cuda mają to do siebie, że zdarzają się rzadko i dlatego Gorbaczow, chcąc nie chcąc, musiał zwrócić się do społeczeństwa. Do tego miejsca wszystko potwierdza słuszność wywołu Hellera.

Jednakże jest jeszcze jeden aspekt problemu, na który Heller zdaje się nie zwracać uwagi. Otóż, aparat partyjny jest ważnym, lecz nie jedynym czynnikiem spędzającym sen z powiek sekretarza generalnego

go. Równie niepokojący jest stan gospodarczy kraju. Współdziałanie społeczeństwa potrzebne jest nie tylko do oczyszczenia szeregów Produkcją Partii, lecz także do dzwignięcia Związku Sowieckiego z ekonomicznej zapaści. Bez gospodarczego zaktywizowania "ludzi sowieckich", bez pobudzenia ich inicjatywy i chęci do pracy, jest to po prostu niewykonalne. W tej dziedzinie interesy obywateli i ekipy Gorbaczowa są do pewnego stopnia zbieżne. Sęk w tym, że wszystkie dotychczasowe działania władz mające tchnąć nieco życia w dogorywającą gospodarkę socjalistyczną okazały się niewypałami. Najpierw zezwolenie chłopom na uprawę większych niż dotąd kawałków gruntu i na sprzedaż plodów bez pośrednictwa państwa. Reakcja zainteresowanych - czy raczej potencjalnie zainteresowanych - była zaskakująco słaba. Następnie w 1987 roku umożliwiono obywatelom zakładanie małych spółdzielni /drobnych zakładów usługowych i rzemieślniczych/. Efekt był podobny. /Zachodni obserwatorzy twierdzą, że 90 tysięcy osób, które z tej możliwości skorzystały, to liczba dziesięciokrotnie niższa od tego, co władze przewidywały i na co liczyły./ Fakty te zaprzeczają entuzjastycznym opiniom, jakoby atmosfera życia w ZSSR uległa diametralnej zmianie na lepsze. Bez większego ryzyka pomyłki można bowiem uznać, że niewielki odzew społeczny na "pierestrojkowe" pomysły gospodarcze jest wynikiem braku zaufania obywateli do intencji władz oraz braku pewności, czy obecny kurs okaże się trwały.

Innymi słowy, *homo sovieticus* nadal się boi, zaś "*kwietniowa wiosna*" ogarnęła jedynie stosunkowo wąskie kręgi inteligencji i mieszkańców największych miast. I na tym właśnie polega kłopot Gorbaczowa - energia społeczna, którą udało mu się wyzwolić, poszła w kierunku zgoła niepożądanym /aktywizacja najprzeróżniejszych grup i ruchów opozycyjnych, spotęgowanie nurtu rozliczeniowego, zagrażającego podziałem legitymizacji systemu/, zaś w dziedzinach, w których pomoc społeczeństwa byłaby najpotrzebniejsza, odpowiedziało mu głucho milczenie. Zresztą trudno się temu dziwić. Przeciętny mieszkaniec ZSSR dobrze pamięta, jak zakończyła się poprzednia odwilż i bynajmniej nie ma ochoty ponownie obudzić się z ręką w nocniku. Tym bardziej, że propaganda *glasnosti* mimo całego swego niby-radykalizmu nie poszła dalej niż krytyka z okresu chruszowowskiego. W niektórych kwestiach /ocena Stalina/ nie osiągnęła nawet tego punktu. Dziś już taka liberalizacja na pół gwizdka nie może wystarczyć.

W tym miejscu warto zauważyć, że nie tylko Gorbaczow jest specjalistą od puszczania oka do ludu. Z równym, a może i większym powodzeniem czynią to jego konkurenci popierający i inspirowający różne ruchy czarnosecinno-populistyczne w rodzaju osławionej *Pamięci*. Doprawdy, zagadką jest, na czym opiera Janouch swój pogląd o autentyzmie i spontaniczności tego ugrupowania. Owszem, fanatyków nacjonalistycznego ciemnogrodu z pewnością w Rosji nie brakuje, podobnie jak nie brakuje ich nigdzie na świecie. Ale żeby z tego powodu negocjować czy wisty fakt posługiwania się nimi przez powołane do tego instytucje, to już gruba przesada. Odnawiana Polska miała swoje *Zjednoczenia Patriotyczne "Crumwald"*. Dlaczegoż pierestrajana Rosja nie miała by mieć swojej *Pamięci*?

Jak na razie, sponsorzy *Pamięci* nieźle sobie radzą z ekstrawaganckimi nowinkami Gorbaczowa. Z wyjątkiem usunięcia Jelcyna ich zwycięstwa są niezbyt spektakularne, lecz skuteczne. Na przykład wprowadzona 1.01.1988 roku ustawa o przedsiębiorstwie, mająca nieco rozluźnić sztywny gorset systemu nakazowo-rozdziałczego, została

sprawnie rozbrojona przy pomocy prostego rozwiązania: zamówienia państwowe, które mają być realizowane w trybie obligatoryjnym, obejmują od 80 do 100 procent planu produkcyjnego poszczególnych przedsiębiorstw /dane oficjalne/. Ile zostaje na samodzielność? Od 0 do 20 procent. W wielu branżach ministerstwa zabierają "samodzielny" przedsiębiorstwom 80 do 90 procent dochodu /także dane oficjalne/.

Obraz jest więc kompletny: *głośność* na pół gwizdka a *pierestrojka* na 0-20 procent gwizdka. W kraju, gdzie nie gwizdków, a bębnow i trąb jerychońskich trzeba.

Optymiści twierdzą, że jeszcze trochę, a Związek Sowiecki zupełnie się pierestroi, przybierze kształt normalnego, cywilizowanego państwa. Zwycięży linia reform, podobna rzekomo - przynajmniej pod względem atmosfery społecznej - do Wiosny Praskiej. Pesymiści czarno widzą i mówiąc o obecnym kursie Kremla przypominają los chruszczowskiej odwilży. Ich prawo, mogą mówić, co im się podoba. Zabawne jest jednak w tych wizjach to, że obecna sytuacja ZSSR nie daje podstaw do przewidywania czegokolwiek. Zdarzyć się bowiem może wszystko i wszystkie przepowiednie przypominają wróżenie z fusów. Owszem, Gorbaczow /ostroźniejszy wszak od Chruszczowa i bogatszy o jego doświadczenia/ może wygrać i wyprowadzić imperium spomiędzy raf na czyste wody. Ale równie dobrze może też rozhuścić społeczeństwo do tego stopnia, że ani on sam, ani jego przeciwnicy z szeregów aparatu nie zdołają zapanować nad lawinowo rozwijającymi się wydarzeniami. A może być i tak, że sekretarza generalnego zjedzą konkurenci z KC. Albo go nie zjedzą, tylko ubezwłasnowolnią, pozwalając mu pokazywać się na trybunie pierwszomajowej. Albo też do władzy dojdzie Jelcyn. Albo, albo... Jest tych "albo" tyle, że wszelkie przewidywanie traci w gruncie rzeczy sens.

Warto jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół odróżniający obecną wiosnę od chruszczowskiej odwilży. W latach sześćdziesiątych odtrąbiono koniec "woluntaryzmu", w kremlofskie podwoje zawiłał niedźwiedziowaty tow. Breżniew, a wraz z nim jedynie słuszna i jedynie postępową linię socjalizmu - jak to określili inni niedźwiedź - "*realnego*". I nic się nie stało. ZSSR pozostał supermocarstwem, Moskwa pozostała stolicą połowy świata, nadal produkowano /coraz lepsze/ rakiety, a państwa Zachodu nadal konkurowały ze sobą o zaszczytny laur mistrza kapitulacji. Doprawdy piękne czasy. Tyle, że bezpowrotnie minione. Dziś wybór jest prosty: albo władcy ZSSR postawią swój rozsypany się folwark na nogi, albo też świat zapomni o mocarstwowej roli Moskwy, tak samo jak zapomnieli o przeuroczych pośladkach Twigg. Czego zresztą sobie i Państwu z całego serca życzę.

luty 1988

Wiesław Szukalski

ZYCIE I LITERATURA

GEORGE ORWELL

INTELEKTUALIŚCI O WIELE BARDZIEJ NIŻ LUDZIE PROŚCI
SKŁANIAJĄ SIĘ KU TOTALITARYZMOWI
WYBÓR MYŚLI I CYTATÓW

O Georgu Orwellu wiemy dużo i mało. Znamy go jako autora "Roku 1984" i "Folwarku zwierzęcego", lecz choć wiele osób traktuje go nieomal jak "papieża antykomunizmu", twórczość tego znakomitego pisarza i jednego z najtrzeźwiejszych i najbardziej nieortodoksyjnie myślących europejskich intelektualistów nie jest na ogół szerzej znana. Z myślą o przybliżeniu Czytelnikowi jego poglądów prezentujemy poniższy wybór cytatów przygotowany na podstawie książki Simone Leys "Orwell ou l'horreur de la politique" /wyd. Hermann, Paris 1984/. Wychodząc z założenia, że także życie twórcy nie jest jeszcze dostatecznie szeroko znane, publikujemy jego krótką biografię.

George Orwell urodził się w roku 1903 w Zachodnim Bengalu, gdzie jego ojciec był urzędnikiem celnym. Właściwe nazwisko pisarza brzmiało Eric Blair. Rodzice wcześniej przenieśli się do Anglii i posłali chłopca do szkoły podstawowej św. Cypriana, cieszącej się opinią jednej z najbardziej snobistycznych, którą mały Eric ukończył w roku 1917. W tym samym roku uzyskał stypendium do Eton, gdzie uczył się do 1921 roku. Zaraz potem niespodziewanie wyjeżdża do Birmy i zaciąga się na sześć lat do Brytyjskiego Korpusu Policyjnego. Literackim echem jego pobytu na Wschodzie są m.in. *Dni birmańskie* i opowiadania *Nabić stonia*/. Po zakończeniu służby wraca do Anglii i postanawia zostać pisarzem. Uczy się pisać, doskonali styl, szuka "mocnych wrażeń" - przebiera się w łachmany i całymi dniami włóczy się po Londynie. Wyjeżdża na rok do Francji, gdzie pracując jako pomywacz pisze *Mit na nizinach w Paryżu i Londynie*. Książka zostaje wydana w 1932 roku i wtedy po raz pierwszy pojawia się pseudonim George Orwell. W 1936 roku jeden z wpływowych klubów książki lewicowej proponuje mu napisanie książki o bezrobociu w Anglii. Powstaje wtedy *Droga na most Empire*. /Niech będzie ilustracją środowiska, w jakim obracał się wówczas autor *Folwarku zwierzęcego* informacja, że pozycja otwierająca serię wydawniczą owego klubu, była książka Thoreza, przywódcy Francuskiej

Partii Komunistycznej./ W grudniu 1936 roku Orwell wyjeżdża do Hiszpanii walczyć w oddziałach milicji małej partii marksistowskiej /komunistycznej i antystalinowskiej/. Zaraz na początku zostaje jednak ranny w gardło. Potem o mało co nie traci życia biorąc udział w tzw. "powstaniu barcelońskim", będącym - jak się przypuszcza - sowiecką prowokacją mającą na celu zdyskredytowanie trockistów i anarchistów. Jego partia zostaje rozwiązana, większość jej członków wyłapaną i zamordowaną w tajnych więzieniach. Orwella ratuje pobyt w szpitalu, następnie po okresie ukrywania się udaje mu się cudem uciec do Francji, skąd jednak wraca, aby odszukać swoich przyjaciół. Większość z nich została jednak rozstrzelana.

W latach 1938-1939 przebywa w Maroku, gdzie pisze powieść *Łyk powietrza*. W czasie II wojny światowej nie zostaje przyjęty do wojska z powodu gruźlicy. Pracuje w BBC, pisze dla niezależnego tygodnika socjalistycznego *Tribune*. W roku 1943 powstaje *Folwark zwierzęcy*. Zaraz potem pisarz przystępuje do pracy nad powieścią swego życia - *Rokiem 1984*, która wychodzi drukiem w 1948 roku, przynosząc autorowi pod koniec życia uznanie i pieniądze. Umiera w Londynie w roku 1950.

/ar/

AUTOPORTRET

Orwell był powściągliwy w zwierzeniach, ale pisząc na temat jakiegoś autora, którego lubił i w którym odnajdywał siebie, odmalowywał pośrednio prawdziwy autoportret duchowy.

Do doskonalenia formy powieściowej - dla której niewątpliwie nie był stworzony, ale co zasługuje na pamięć - skłaniał Dickensa prosty fakt, że był moralistą i miał wrażenie, iż ma coś do powiedzenia. Bez ustanku wygłaszał kazania i w tym tkwi sekret siły jego wyobraźni. Człowiek może tworzyć tylko wtedy, gdy czuje, że to, co tworzy, dotyczy jego samego. /.../ Ogólnie biorąc, moralność Dickensa jest chrześcijańska, ale nie można nazwać go człowiekiem religijnym. /.../ Charakter jego chrześcijaństwa ujawnia się nieomal instynktownie w sposobie, w jaki bierze stronę uciśnionych przeciw ciemiężcom. Zawsze i wszędzie opowiada się po stronie ofiar, jakby to się rozumiało samo przez się. By doprowadzić podobną postawę do jej logicznej konsekwencji, trzeba by zmieniać obóz za każdym razem, kiedy ofiara zdobywa przewagę - i tak Dickens naprawdę robi. /.../ Z marksistowskiego czy faszystowskiego punktu widzenia, prawie wszystkie wartości, których broni Dickens należą do "moralności burżuazyjnej". Ale przecież nie ma nic bardziej burżuazyjnego, niż postawy moralne klasy pracującej w Anglii. Dla prostych ludzi w krajach zachodnich "realizm" i polityka siły pozostają obcym światem. Być może kiedyś dołączą do tego świata, lecz w dniu, w którym zrobią ten krok, Dickens stanie się równie anachroniczny, jak koń fiakra. /.../

Kiedy czyta się silnie zindywidualizowane dzieło literackie, zawsze ma się wrażenie, że między wierszami pojawia się twarz autora. Nie musi to być koniecznie rzeczywiste oblicze autora. Oczuwam to bardzo intensywnie, kiedy czytam Swifta czy Defoe, czy też Fieldinga, Stendhala, Thackeraya czy Flauberta, choć w wielu przypadkach nawet nie wiem, jak wyglądały ich twarze, ani nie chcę tego wiedzieć. Na-

prawdę widzi się tę twarz, którą pisarz "musiał mieć". W przypadku Dickensa widzę twarz, która nie jest dokładnie taka, jaką ukazują nam jego fotografie, chociaż podobna. Jest to postać mężczyzny około czterdziestoletniego, z krótką brodą, o jaśniejszym obliczu. Uśmiecha się, jest w tym uśmiechu odrobina sarkazmu, lecz bez cienia triumfu czy złośliwości. Jest to postać człowieka, który bez przerwy prowadzi z czymś walkę, ale walczy odważnie, z otwartą przyzbicą, postać poruszona szlachetnym gniewem, innymi słowy - liberał na XIX-wieczną modłę, wolny umysł, typ człowieka, który jest zniechęcony jednakową nienawiścią przez wszystkie drobne, brzydko pachnące ideologijki, jakie obecnie rywalizują o kontrolę nad naszą duszą. */The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell, Londyn 1968, t.I, s. 458-460. Dalej skrót - CE/*

Orwell jest jeszcze bardziej powściągliwy, gdy bezpośrednio mówi o sobie.

Nie mogę uczciwie powiedzieć, bym od wojny hiszpańskiej zrobił coś wielkiego poza pisaniem książek, hodowaniem kur i uprawianiem warzyw. Przez to, co widziałem w Hiszpanii i czego dowiedziałem się o wewnętrznym funkcjonowaniu partii lewicowych, nabrałem wstrętu do polityki. /.../ Uczuciowo jestem całkowicie "na lewo", ale jestem przekonany, że pisarz może być uczciwy tylko wtedy, gdy będzie wstrzągał się jakiegokolwiek partyjnej etykiety. /.../

Rzeczą, która najbardziej leży mi na sercu jest oprócz mojej pracy ogrodnictwo, a dokładniej pielęgnowanie mojego ogródka warzywnego. Lubię kuchnię angielską i angielskie piwo, czerwone wina francuskie i białe hiszpańskie, herbatę indyjską, czarny tytoń, piec węgłowe, światło świec i wygodne fotele; nie cierpię wielkich miast, hałasów, samochodu, radia, picia w knajpach, centralnego ogrzewania i "nowoczesnego umeblowania". Gusta mojej żony są w prawie doskonałej zgodzie z moimi. Zdrowie mam bardzo kiepskie, ale w ogóle mi to nie przeszkadza robić tego, co lubię. */CE, t.II, s. 24/*

O LITERATURZE

Wszyscy pisarze są pyszałkami, egoistami i leniami, a u podstawy tego, co pcha ich do pisania, tkwi tajemnica. Pisanie książki jest staranną i wyczerpującą walką, to jak długi atak bolesnej choroby. Nikt nigdy nie chciałby się podjąć podobnego zadania, gdyby nie popychał go jakiś nieodparty i niepojęty demon. O ile cokolwiek jest nam na ten temat wiadome, ów demon jest po prostu tym samym instynktem, który pcha dziecko do wrzasku, by się nim zajmowano. Zarazem prawdą jest również powiedzenie, że nie można by nic ważnego napisać bez wypowiedzenia stałej wojny własnej osobowości. Dobra proza jest jak szkło okienne. */CE, t. I, s. 7/*

Ludzie oczekują od popularnego powieściopisarza, by w nieskończoność pisał na nowo tę samą książkę. Zapominają, że człowiek, który mógłby dwa razy napisać tę samą książkę, nie mógłby jej napisać ani razu. */CE, t.I, s.457/*

Moim punktem wyjścia jest zawsze potrzeba zajęcia stanowiska, poczucie niesprawiedliwości. Kiedy usadawiam się do pisania książki, nie mówię sobie: "Stworzę dzieło satyki". Piszę tę książkę, ponieważ chciałbym ujawnić kłamstwo, chciałbym przyciągnąć uwagę do tego problemu i moją pierwszą troską jest, by mnie usłyszano. Ale redagowanie książki czy nawet dłuższego artykułu byłoby dla mnie niemożliwe,

gdyby zadanie to nie stanowiło również doświadczenia estetycznego. Zawsze gorąco pragnąłem przekształcić esej polityczny w rodzaj sztuki. I spozstrzegam, że za każdym razem, gdy brakowało mi politycznej motywacji, pisałem książki bez życia. /CE, t.I, s.6/

Żył to zapewne znak dla współczesnego pisarza, jeśli nie podejrzewa się go o tendencje reakcyjne. Zupełnie tak, jak złym znakiem był przed dwudziestu laty brak podejrzeń o sympatie komunistyczne. /CE, t.IV, s.413/

Szczególnie uderzająca jest w artykule p. Bernal angielszczyzna, zarazem pompatyczna i zdeformowana. Nie sygnalizuję tego z pedanterii - relacje zachodzące między zwyczajami myślenia totalitarnego a wpsuciem języka stanowią ważną kwestię, która nie została zbadana w stopniu dostatecznym. /CE, t.IV, s.156/

By pisać prostym i jędrnym językiem, trzeba myśleć w sposób nieustraszony. Z chwilą gdy myśli się nieulekłe, nie można już być politycznie ortodoksyjnym. /CE, t.IV, s.66/

Nie można zaakceptować politycznej dyscypliny, jaka by ona nie była, i zachować integralność pisarza. /CE, t.IV, s.412/

Czy należy zakończyć wnioskiem, że każdy pisarz powinien trzymać się z daleka od polityki? Z pewnością nie! /.../ Kiedy pisarz angażuje się w politykę, powinien to robić jako obywatel, jako istota ludzka, a nie "jako pisarz". Nie sądzę, by miał prawo, powołując się na swoją wrażliwość, odmówić wykonywania naturalnej w polityce brudnej roboty. Tak jak każdy inny powinien więc być gotów przemawiać na żąłosnych mitingach, przyklejać plakaty, kontaktować się z wyborcami, rozdawać ulotki a nawet brać udział w wojnach domowych. Ale jakie by nie były inne usługi, które powinien świadczyć swemu stronnictwu, w żadnym wypadku nie może oddawać swego pióra na służbę partii. /.../ Czy należy z tego wnosić, że pisarz winien unikać pisania na tematy polityczne? Jeszcze raz - z pewnością nie! Nie ma żadnego powodu, by nie pisał w sposób najjaskrawiej polityczny, jeśli sobie tego życzy. Ale może robić to jedynie jako jednostka, outsider, jako wolny strzelec, podejrzany w oczach sztabu i działający na marginesie regularnej armii. /CE, t.IV, s.412/

Lewicowa krytyka słusznie kładzie nacisk na wagę tematu. Być może nawet miałyby prawo - biorąc pod uwagę epokę, w jakiej żyjemy - wymagać od literatury, by spełniała przede wszystkim funkcje propagandowe. Jednak niedopuszczalne jest formułowanie sądów, które mają się za literackie, a w rzeczywistości stawiają sobie cele polityczne. /.../ Oświadczanie: "X jest utalentowanym pisarzem, ale to wróg polityczny i zrobię wszystko, co w mej mocy, by zmusić go do milczenia" jest jeszcze nieszkodliwe. Grzechem przeciwko rozumowi nie jest nawet wcielenie tego w czyn i zmuszenie go do milczenia przy pomocy pistoletu maszynowego. Śmiertelnym grzechem jest dopiero stwierdzenie: "X jest wrogiem politycznym, a więc jest złym pisarzem". /CE, t.II, s.293/

PSYCHOLOGIA

Pierwszym skutkiem nędzy jest zabicie myśli. /cytuje Crick - G.Orwell: A life, s.162/

Są ludzie, jak wegetarianie i komuniści, z którymi dyskusja jest niemożliwa. /tamże, s.404/

Krok defiladowy to jedno z najbardziej odrażających widowisk, jakie istnieją. /.../ Jest to po prostu afirmacja nagiej siły - kolarzy się z widokiem buta przygniatającego twarz. /CE, t.II, s.61-62/

Moja nadzieją na przyszłość jest to, że zwykli ludzie nigdy nie będą zdolni wyrzec się swego kodeksu moralnego. /Cytuje *Crick* - G.Orwell: *A Life*, s.261/

Większość ludzi nigdy nie ma okazji po temu, by poddać swój wrodzony zmysł moralny próbie sprawowania władzy, zmuszającej niemal do odkrycia cynicznej prawdy: ludzie są przyzwoici tylko w takiej mierze, w jakiej są bezsilni. /Cytuje *Ch.Small* - *The Road to Miniluv*: G.Orwell, *the State and God*, London 1975, s.127/

O POLITYCE

Pamiętajcie, że za nieuczciwość i kłamstwo zawsze trzeba zapłacić. Nie sądzicie, że możecie pozwalać sobie latami na lizanie butów sowieckiego reżimu czy jakiegokolwiek innego, a potem nagle odzyskać stan moralnej przyzwoitości. Kurwa zawsze pozostaje kurwą. /Cytuje R.C. *de Camara* - *Homage to Orwell*, w: "National Review", 13.05.1983/

Polityka z samej swej istoty implikuje przemoc i kłamstwo. /CE, t.IV, s.463/

Dziedziczne instytucje mają to do siebie, że są nietrwałe. Nieuchronnie, ponieważ władza jest w nich przekazywana stale w ręce ludzi nieudolnych, albo takich, którzy obracają ją na cele nie przewidziane przez przodków. Nie można wyobrazić sobie dziedzicznej instytucji, której udałooby się, jak Kościołowi katolickiemu, trwać równie długo tak niewiele się zmieniając. Czyba, że wyobrazić sobie inną autorytarną organizację, o podobnej historii, której przywódcy są dokooptowani - rosyjską partię komunistyczną. Jeśli okrzepnie jako klasa, co zdaniem niektórych obserwatorów właśnie ma miejsce, będzie ewoluowała, rozwijała się w taki sam sposób, jak każda inna klasa. Lecz jeśli będzie nadal dokooptowywała swych członków ze wszystkich warstw społecznych, by następnie uformować ich według tego samego ideologicznego modelu, jest w stanie zachować prawie niezmienną formę z pokolenia na pokolenie. W społecznościach arystokratycznych ekscentryczny arystokrata jest postacią pospolitą, podczas gdy ekscentryczny komisarz jest prawie z definicji anomalią. /CE, t.IV, s.456/

Większość z nas uparcie wierzy, że wszelki wybór, także polityczny, jest wyborem między dobrem a złem, i że w chwili, gdy jakaś rzecz jest konieczna, musi być również dobra. Sądzę, że należy zniszczyć tę wiarę ródem z przedszkola. W polityce zawsze dokonuje się tylko wyboru mniejszego zła i są sytuacje, których można uniknąć jedynie działając jak diabeł lub obłąkany. Na przykład wojna jest niekiedy konieczna, ale nigdy nie mogłaby być dobra ani słuszną. /.../ Kiedy macie brać udział w tego typu przedsięwzięciach - a myślę, że powinniście w tym uczestniczyć, chyba że bylibyście od tego zwolnieni ze względu na wiek, głupotę czy hipokryzję - powinniście zazdrośnie czuwać nad utrzymaniem pewnej nietykalnej części samego siebie. /CE, t.IV, s.413/

Wojna jest najsilniejszym ze wszystkich czynników przekształcania. Przyspiesza wszystkie procesy, zacierając drugorzędne różnice, jest objawicielką rzeczywistości. A przede wszystkim skłania poszczegól-

gólnych ludzi do uświadomienia sobie, że nie są w pełni bytami indywidualnymi. /CE, t.II, s.94/

Argument, że nie należy mówić pewnych prawd, gdyż byłaby to "woda na młyn" takiej a takiej złowrogiej siły, jest nieuczciwy w tym sensie, że ludzie odwołują się do niego wtedy, gdy tak jest im wygodnie./.../ Za argumentem tym kryje się zazwyczaj chęć uprawiania stronnicej propagandy i zmuszania do milczenia krytyków oskarżanych o "obiektywną" reakcyjność. Nęcący to fortel i sam stosowałem go nieraz, ale jest nieuczciwy. Sądzę, że pokusa korzystania zeń byłaby mniejsza, gdyby pamiętano, że korzyści z kłamstwa są zawsze efemeryczne. Skasowanie lub uszminekowanie prawdy tak często wydaje się prawdziwym obowiązkiem! A tymczasem każdy autentyczny postęp może nastąpić jedynie dzięki gromadzeniu wiedzy, co wymaga stałej destrukcji mitów. /CE, t.IV, s.36-37/

O SOCJALIZMIE

Moim zdaniem nic bardziej nie przyczyniło się do zdeprecjonowania pierwotnego ideału socjalizmu, niż owa wiara, że Rosja jest krajem socjalistycznym, i że każdą inicjatywę jej przywódców winno się usprawiedliwiać, jeśli nie naśladować. Jestem przekonany, że zniszczenie sowieckiego mitu jest konieczne, jeśli chcemy odrodzić ruch socjalistyczny. /CE, t.III, s.405/

Kapitalizm prowadzi do bezrobocia, bezlitosnej rywalizacji o rynek i do wojny. Kolektywizm wiedzie ku obozom koncentracyjnym, kultowi wodza i wojnie. Nie ma sposobu, by uniknąć tego procesu, chyba że planową gospodarkę da się połączyć z intelektualną wolnością, co okaże się możliwe, jeśli uda się przywrócić w polityce pojęcie dobra i zła. /CE, t.III, s.119/

Jest oczywiste, że epoka wolnego kapitalizmu zbliża się ku końcowi, i że jeden kraj po drugim przyswaja sobie scentralizowaną gospodarkę, którą można nazwać socjalizmem lub kapitalizmem państwowym, jak kto chce. W systemie tym zanika wolność ekonomiczna jednostki i w dużej mierze wolność po prostu - swoboda działania, wyboru pracy, przemieszczania się. Dopiero całkiem niedawno zaczęto przeczuwać implikację tego zjawiska. Wcześniej nigdy nie wyobrażano sobie, że zanik swobody ekonomicznej mógłby wpłynąć na wolność intelektualną. Myślano zwykle, że socjalizm to swego rodzaju liberalizm wzbogacony o etykę. Państwo weźmie na siebie odpowiedzialność za wasze życie ekonomiczne i uwolni was od obawy przed ubóstwem, bezrobociem itp., bez wtrącania się w wasze prywatne życie intelektualne. Teraz mamy dowód, że poglądy takie były fałszywe. /CE, t.II, s.135/

Czasem ma się wrażenie, że tylko słowa *socjalizm* i *komunizm* przyciągają niczym magnes wszystkich pijących-wyłącznie-soki-owocowe, nudystów, nawiedzonych w sandałach, zbroźniców, kwaków, szarlatanów-homeopatów, pacyfistów i feministki angielskie. Pewnego dnia tego lata jechałem autobusem przez Letchworth, kiedy na jakimś przystanku wsiadło dwóch okopnych starców. Musieli mieć około sześćdziesiątki, obaj byli niskiego wzrostu, różowi i okrągli, nie nosili kapeluszy. Jeden był bezwstydnie łysy, drugi ukazywał długą, siwą czuprynę z grzywką w stylu Lloyda George'a. Obaj ubrani byli w koszule koloru pistacjowego, krótkie spodnie khaki, które tak ściśle opinały ich szerokie tyłki, że można było studiować na nich każdy kawałek tłuszczu. Ich pojawienie się w autobusie wywołało lekki szmer przerażenia. Mój

sąsiad, który musiał być jakimś komiwojażerem, spojrział na mnie, spojrział na nich, potem jeszcze raz na mnie mamrocząc przy tym "sojzaliści!", tak jak mawiano "czernonoskórzy". Prawdopodobnie miał rację - niezależna Partia Pracy organizowała właśnie w Letchworth sesję letnią. Lecz znaczące było to, że dla niego, jak i w ogóle dla człowieka z ulicy, wariat i socjalista to synonimy. /*The Road to Wigan Pier*, s.152-3/

O PACYFIZMIE

Kto mieczem walczy, od miecza ginie - kto nie walczy mieczem, ginie od wstrętnych chorób. /*Cytuje Ch.Small, The Road to Minilev...*, s.163/

Faktem jest, że pacyfizm istnieje jedynie wśród wspólnot, których członkowie nie wierzą w realną możliwość obcego najazdu i podboju. /.../ Żadna władza nie mogłaby działać według czysto pacyfistycznych zasad, gdyż rząd, który nie chciałby uciec się do siły w jakichkolwiek okolicznościach, mógłby być obalony przez każdego, kto siły tej byłby gotów użyć. Pacyfizm unika konfrontacji z problemem rządzenia i pacyfiści zawsze rozumują jak ludzie, którzy nigdy nie znajdują się na miejscu władzy. Dlatego uważam ich za nieodpowiedzialnych. /.../ Rząd kolonialny w Indiach przez 20 lat uważał Gandhiego za jednego ze swych sojuszników. Wiem, co mówię, byłem oficerem policji w Indiach. W najbardziej cyniczny sposób przyznawano, że Gandhi ułatwia sprawę brytyjskim władzom w Indiach, gdyż swoim wpływem zapobiega każdej inicjatywie, która rzeczywiście mogłaby narobić nam kłopotów. Po wodem, dla którego zawsze traktowano go ze szczególnymi względami, gdy przebywał w więzieniu, i zgodzono się na drobne ustępstwa wobec niego, gdy przeciągał do niebezpiecznego punktu jedną ze swych głódówek, było to, iż władze brytyjskie przerażała myśl, że po śmierci zostałyby zastąpiony kimś wierzącym nie tyle w siłę moralną, co raczej w siłę bomb. Sam Gandhi jest oczywiście zupełnie uczciwy i nie zdaje sobie sprawy, w jaki sposób jest manipulowany. Ta osobista prawocność czyni go zresztą bardziej użytecznym. /.../ Gdyby Hitler mógł podbić Anglię, przypuszczam, że spróbowałby popierać tu rozwój szerokiego ruchu pacyfistycznego, co uniemożliwiłoby wszelki prawdziwy opór i ułatwiłoby mu kontrolę kraju. /*CE, t.II, s.111-112/*

Pewne postawy, takie jak pacyfizm czy anarchizm, które na pozór wydają się implikować chęć całkowitego wyrzeczenia się władzy, w istocie wyzwalają pociąg do władzy. W rzeczywistości, jeśli wyznajecie wiarę, która wydaje się wolna od brudu właszczywego polityce, wiarę, z której nie wyciągacie żadnych korzyści materialnych, oczywiście utwierdzacie się w przekonaniu, że jesteście w posiadaniu prawdy. /*cytuje Crick, op.cit., s.300/*

Jeśli ktoś rzuca bombę na waszą matkę, zrzucicie dwie na jego matkę. Innej alternatywy nie ma: albo doszczętnie zniszczycie domy mieszkalne, wyprujecie ludziom flaki, spalicie dzieci, albo dacie się zamienić w nlewników przez przeciwnika bardziej od was skłonnego do popełnienia tego rodzaju czynów. Po dziś dzień nikt nie zaproponował konkretnego rozwiązania dla uniknięcia tego dylematu. /*cytuje N.Podhoretz, If Orwell were alive today, w: Harper's Magazine, 1983/II/*

Pacyfistyczna propaganda zazwyczaj sprowadza się do stwierdzenia, że oba obozy są równie złe. Lecz jeśli uważniej zbadać pisma młodych pacyfistycznych intelektualistów, zauważyć można, że w swej dezaproba-cie dalecy są oni od bezstronności, prawie całkowicie zwracając się

przeciw Anglii i Stanom Zjednoczonym. Co więcej, nie potępiają przemocy samej w sobie, lecz tylko przemoc stosowaną w obronie krajów zachodnich. Rosjanie, w odróżnieniu od Anglików, w ogóle nie są potępiani za swe wojenne przygotowania. /tamże/

O TOTALITARYZMIE

Intelektualiści o wiele bardziej niż ludzie prości skłaniają się ku totalitaryzmowi. /CE, t.III, s.148/

To przygnębiające, że świadomymi wrogami wolności są ci, dla których wolność powinna oznaczać najwięcej. Szeroki ogół zupełnie nie zajmuje się tą kwestią. Większość ludzi ani nie chciałaby przesładować heretyków, ani wysilać się, by ich bronić. Są zbyt święci i zbyt głupi zarazem, by przyjąć totalitarną perspektywę. Świadomy i przemysłany atak na intelektualną przyzwoitość następuje ze strony samych intelektualistów. /CE, t.IV, s.70/

Złudna jest wiara, że przy totalitarnym rządzie można pozostać wewnętrznie wolnym, /.../ że potajemni przeciwnicy reżimu mogliby nadal na swych poddaszach zapisywać swe myśli. /.../ Największym błędem jest wyobrażać sobie, że istota ludzka jest autonomicznym bytem. Ta utopijna wolność, jaką rzekomo moglibyśmy się cieszyć przy takim rządzie, nie jest prawdopodobna, gdyż wasze myśli nigdy nie należą do was całkowicie. Filozofowie, pisarze, artyści, a nawet uczeni oczekują nie tylko poparcia i publiczności, lecz także ustawicznego bodźca ze strony innych. Nie ma myślenia bez dyskusowania. /.../ Zlikwidujcie wolność myśli, a zdolności twórcze znikną. /.../ Kiedy z Europy okupowanej przez Oś zostanie zdjęta pokrywa, jestem przekonany, że będziemy zaskoczeni niewielką ilością wartościowych dzieł, niezależnie od formy /wliczając takie formy, jak intymne dzienniki/, potajemnie stworzonych za rządów dyktatury. /CE, t.III, s.132-133/

Przerażające w nowoczesnych dyktaturach jest to, że są zjawiskiem zupełnie bezprecedensowym. Nie można przewidzieć ich końca. Niegdyś wszystkie tyranie wcześniej czy później można było obalić, albo przynajmniej wywoływały opór, z tego prostego powodu, że normalnym stanem rzeczy jest dążenie "natury ludzkiej" do wolności. Ale nic nie gwarantuje stałości "natury ludzkiej". Równie dobrze można by stworzyć nową rasę człowieka, pozbawionego jakiegokolwiek pragnienia wolności, tak jak można by stworzyć rasę krów bez rogów. /CE, t.I, s.380-381/

George Orwell

LI CZENG

ROWY FOLWARK ZWIERZĘCY

*Tłumaczenie z języku angielskiego na: Index on Censorship 9/86.
Oryginał ukazał się w niezależnym piśmie chińskim "Dziennik Tongshan"
/83-letnim kicańcu/, wychodzącym w latach 1979-1980 w mieście Czangszu
w prowincji Hunan.*

Nad brzegami pięknego jeziora Bajkał leży kraina, gdzie spotykają się wzgórza i równiny.

Na zachód rozciąga się gęsty, dziewiczy las, w którym strzelają pod niebo wszystkie gatunki wysokich drzew; na zboczach rosną obok siebie niskie krzaki i pnącza. Kiedy wiatr powiewa lekko, ich gałęzie wydają delikatny i melodyjny dźwięk, jakby wspólnie z nawoływaniem ptaków i krzykami zwierząt pragnęły chwalić płodność natury.

Na wschód rozpościerają się kwitnące pastwiska, wypełnione po horyzont soczystą zielenią łąk /tylko w niektórych miejscach - otoczonych piotem - zebrać można nieco wynędzniałych źdźbeł uschniętej trawy/. Jeziora i stawy, gładkie i czyste jak lustra, ozdabiają tę piękną trawiastą równinę niczym gwiazdy. Zawilży rysunek kanałów i rowów łączy je ze sobą i pozwala dniem i nocą płynąć wodzie. Te pierwotne wody, jak mleko sącące się z piersi, karmią wszystko, co żyje na pastwiskach.

Szeroki strumień o szmaragdowym kolorze płynie od strony odległych wzgórz, przecinając las i biegnąc przez trawiastą równinę, aby przetoczyć się ku wschodowi, w kierunku dalekiego morza. W górze biegu przekracza go linia kolejowa, która zwraca swoje odgałęzienia w stronę lasów i równin.

W tym żyznym i obfitym miejscu leży gospodarstwo. Kolej łączy wszystkie jego części i, osiagając najbardziej oddalone zakątki na północy i południu, komunikuje gospodarstwo z innymi, ułatwiając nie tylko wymianę dóbr, ale i wymianę informacji i doświadczeń dotyczących się hodowli zwierząt. Pogmatwana pajęczyna dróg i autostrad dzieli obszar na niezliczoną ilość mniejszych pól. Nie są one zresztą tak małe - każde z nich posiada zagrodę dla owiec, urządzenia do strzyżenia i dojenia, a także wytwórnię konserw. Są tam także pastwiska, każde otoczone wysokim i gęstym żelaznym ogrodzeniem, gdzie co dnia, pochyliwszy nisko swe łby, skubią trawę wielkie stada owiec. Tam właśnie te bezużyteczne stworzenia przetwarzane są na wełnę, mleko, skóry, świeże mięso i inne artykuły - wszystko dla dalszego rozkwitu gospodarstwa i dla szczęścia i zadowolenia gospodarzy.

2.

Oto nowoczesne, duże gospodarstwo, całkowicie zmechanizowane i w pełni wyposażone w zdalnie sterowane, elektroniczne urządzenia. Każdego ranka o szóstej rozlega się elektryczny dzwonek, metalowe bramy wszystkich zagród otwierają się automatycznie i wygłodniałe owce ruszają naprzód, aby zacząć swój zwykły dzień; O zmierzchu odzywa się podobny dzwonek, klakson o wysokiej częstotliwości zaczyna wydawać z siebie przeraźliwy skrzek, a długi, poruszany mechanicznie skórzany bicz rusza do akcji. Skonsternowane, żałosne stada - prowadzone przez owce-przewodniczki - biegną z powrotem prosto do zagród a żelazne wrota zamykają się za nimi szczelnie.

Chociaż zagrody są brudne i nieporządne, wszystko błędnie starannie i metodycznie. Każda owca ma swój numer i miejsce, w którym ma leżeć, i te, które przekraczają ustalone zasady, są surowo karane. Numery sprawdza się rygorystycznie, dla ustalenia wieku, tłustości i siły poszczególnych owiec. Sprawdzane są także miejsca.

Ten niezwykle naukowy system jest wysoce korzystny dla całego procesu hodowli, sprowadzającego się do przeprowadzania owiec przez dojarnię i urządzenia do strzyżenia, aż po ich ostatnią drogę, w stronę wytwórni konserw. Wszystkie maszyny kontrolowane są przez komputer; gospodarze muszą jedynie lekko pociśnąć włącznik znajdujący się w ich biurze i nieograniczone ilości wełny, mleka, świeżej baraniny i konserw wędrują do magazynu albo na rynek, zostają zamienione na gotówkę, ubrania, domy, samochody i wspaniałe przyjęcia.

3.

Nowoczesna nauka uczyniła życie owiec wyjątkowo regularnym i spokojnym. Tak spokojnym, że zapomniały nieomal, jak używać własnych nóg. Spokojnym, jak na fotografii, gdzie bez zmian upływa dzień po dniu, miesiąc za miesiącem.

Oto harmonijne bytowanie. Najstarsze owce, sprawujące odpowiedzialne funkcje, wciąż jeszcze te nieliczne, które żyły w tym miejscu przed założeniem gospodarstwa, są niezwykle zadolowane ze swego położenia. Dawniej nikt o nie nie dbał; w dzikim stanie mogły żyć tak, jak chciały. Teraz odnalazły nowy sens życia, swoje miejsce w stadzie, a przywileje przy wypasie zadowolenie ich jeszcze powiększały. Kiedy tylko przychodziły głodniejsze czasy, gotowe były sławić łaskawość gospodarzy i wybekiwać pochwały obfitości życia.

Lecz któż mógłby im zaprzeczyć? Żyjące w tym spokojnym otoczeniu owce nie miały żadnych zmartwień, o wszystko dla nich zadbano; oto był najlepszy z możliwych światów. To prawda, nie były wolne, ale ileż oszczędzało im to wysiłku! A chociaż po strzyżeniu wyglądały mało atrakcyjnie, czuły się w każdym razie zrelaksowane i było im wygodnie. Jedyną smutną w tym wszystkim sprawą była wysyłka do wytwórni konserw. Ale cóż to właściwie znaczyło? Ostatecznie umieramy tylko raz i ta śmierć jest świętym obowiązkiem jednostki, sposobem, w jaki odpląca gospodarzom za ich wielką łaskawość.

Krótko mówiąc, wszystko szło wspaniale. Jeżeli tylko owca zachowywała się łagodnie i posłusznie, mogła być całkiem szczęśliwa.

Tymczasem młodszy jagniętom zaczęło się wydawać, że ich szczęście będzie trwało wiecznie. Było tak z pewnością dlatego, że nigdy

nie zaznały cierpienia. Czasami, kiedy głodne natykały się na pozółkie i zeschłe trawy, spoglądały w kierunku nęcającej świeżością zieleńni w oddali i wydawały z siebie tęskny bęk. Przewodnik stała i najbardziej odpowiedzialne stare owce, które wyczuwały natychmiast kiełkującą zdradę i objawy "obcej gospodarstwa" pogni za szczęściem, gorliwie pouczyły owe jagnięta, aby pozostały lojalne wobec gospodarzy i nadal gorąco kochały gospodarstwo. Tłumaczyły im: "Nie możemy teraz zejść do syta, gdyż zbyttnio urosły nasze żołądki, oto dlaczego powoli rosnące trawy nie są w stanie zaspokoić naszych apetytów. Nie możemy za to winić nikogo, poza nami i w żadnym razie nie usprawiedliwia to niezadowolonia z gospodarstwa. Nie możemy zapominać o naszym klasowym pochodzeniu! Dawniej zmuszone byliśmy czasami przeszukiwać pustkowie aż do zdarcia raciczek i nie mogliśmy znaleźć ani jednego źdźbła trawy. Dłęczycy nas wiatry i deszcze, atakowały wilki i wiele owiec straciło w ten sposób życie. Macie teraz o wiele lepiej, niż my wtedy! Czy widzieliście, żeby któraś marła z głodu?"

Słowa te nie pozostawały bez wpływu i słuchając ich wiele owiec pochylało na nowo swe łby i grzecznie poczynało chrupać trawę. Wobec zaś tych odszczepieńczych owiec, które ciągle nie czuły wdzięczności wobec gospodarzy, ci musieli stosować ostre środki i bezwzględnie tłumić ich gniew i niezadowolonia. W innym bowiem przypadku zostałyby one wystawione na atak i nie mogłyby skubać spokojnie nawet tych licznych zeschłych źdźbeł.

4.

Spokojny świat, spokojne gospodarstwo, posłuszne owce - tak mijają dzień za dniem. Chociaż mogły pojawiać się jakieś niewielkie zakłócenia i nawet zdarzały się czasem zupełnie nieduże "wybuchy", niemniej świat nadal był spokojny a owce uległe i posłuszne. Z tego powodu gospodarstwo zdobyło zaszczytny tytuł "gospodarstwa wzorowego" i ciągnęły doń nieprzełiczone pielgrzymki gości - chyba wszyscy zarządzający i przewodniczący okolicznych gospodarstw.

Pierwszym tego rezultatem był gwałtowny wzrost prestiżu i zadowolenia gospodarzy; także jednak owce otrzymały trochę odbitego blasku chwały, jadły i piły w czasie wizyt do syta, a goście odwiedzali zwykle różne pastwiska. Mogli być zawsze pewni, że będą mogli gładzić po karkach pulchne i tężyste owce, gratulować im długości, czystości barwy i zbytkowej miękkości ich sierści. Wysoko oceniali też odżywcza wartość ich mleka i kruchość mięsa. Słuchając tych hołdów przewodnik stała i starsze owce popadały w radosny, pełen uniesienia nastrój i ustawiły pozostałe owce na powitanie gości wzdłuż trasy dojazdowej, zaś pod koniec dnia czyniły to samo, gdy odjeżdżali. Jedynie psy myśliwskie prowadzone przez gospodarzy przy nodze psuły swoim nieustannym wyciem i ujadaniem tę ciepłą i zażyłą atmosferę, rzucając cież na uczucia przywiązania i czci żywione przez stado. Gdyby nie one, sceny owe przedstawiałyby najbardziej sugestywny obraz powszechnej miłości i braterstwa.

Nawet jednak bez tej skazy, widok niewielkich ilości trawy, jaka jeszcze pozostawała, tratowanej i rujnowanej przez gości, służył ciągle jako pożywka dla nieprzyjaznych uczuć, jakie pojawiały się we łbach niektórych młodszych owiec. Właściwie jednak można było nie zwracać na nie uwagi, gdyż owce te były rozproszone i brakowało im jakichkolwiek środków, aby miały się zadowalać z trawier skubańszych, pełnych niezado-

5.

Życie było jednak nadal bez wątpienia całkowicie spokojne, aż pewnego razu niewielka falka zamąciła jego powierzchnię.

Któregoś dnia mała owieczka, wiedziona głodem, potajemnie oddaliła się od stada. Subtelny roślinny zapach, niesiony podmuchem chłodnego wiatru dotarł do jej nozdrzy i sprawił, że zaczęła gwałtownie biec w poszukiwaniu jego źródła. Po pewnym czasie przybiegła do wielkiego parku...

Położony był on nad brzegami rzeki, której przejrzyste wody płynęły pieniąc się i falując. Objmował obszar pomiędzy pagórkami a równiną. Powyżej wznosiły się strzeliste pawilony, rosły eleganckie drzewa, kwitło mnóstwo rzadkich kwiatów i niezwyklej ziół. Był to naprawdę prześliczny widok. Na obrzeżach parku położone były wspaniałe wille, każda z własnym niewielkim ogrodem. Pośrodku całego parku strzelał w niebo wysoki budynek, z którego rozciągał się panoramiczny widok na całą okolicę. Była to siedziba zarządu głównego gospodarstwa.

Ponieważ gospodarstwo było kolektywne, własność prywatna została zniesiona i wszystkie grunty oraz owce stanowiły własność wspólną. Od czasu jednak, gdy wszystkie prace uległy zmechanizowaniu, ludzie uwolnili się od codziennego kieratu obowiązków przy doglądaniu stad i mogli zająć się zarządzaniem. Na podstawie indywidualnych kwalifikacji, zdolności i wpływów rozdzielili między siebie najrozmaitsze posady - przewodniczącego, wiceprzewodniczących i członków zarządu w zarządzie gospodarstwa.

Tego dnia pogrążeni byli oni w dyskusji nad problemami związanymi z zarządzaniem. Uczestnicy obrad podzielili się na dwie frakcje. Jedną z nich, na której czele stał przewodniczący, broniła stanowiska, że - biorąc pod uwagę wzrost wrogich nastrojów wśród określonych owiec - powinno się zaostrzyć metody zarządzania i wzmocnić mechanizmy kontroli; wszystkie owce wykazujące oznaki niezadowolona powinny być bezlitośnie likwidowane poprzez ponadplanowe wysyłanie do wytwórni konserw. Miało to na celu uniknięcie jakichkolwiek zaburzeń w przyszłości. Druga grupa, kierowana przez młodego wiceprzewodniczącego sądziła, że mogłoby to mieć negatywny wpływ na produkcję mleka i wełny, ponieważ niezadowolone owce były okazami młodymi i tłustymi, znajdującymi się u progu życia. Przedwczesne przeznaczenie ich do zapuszkowania nie miałyby żadnego sensu ekonomicznego, a zatem grupa ta opowiadała się za polityką łagodzenia i pojednania. Według opinii jej członków nieliczne izolowane owce były w każdym przypadku bezsilne, jeśli wziąć pod uwagę możliwości aparatu administracyjnego. Stanowiły tylko maleńką plamkę na jasnym horyzoncie.

W tej sytuacji przewodniczący mógł raczej łatwo przeforsować swoją propozycję, używając prerogatyw swojego urzędu. Ale przez cały rok, od rana do wieczora nie zajmowało go nic więcej ponad towarzyszenie żonie w przyjemnych przechadzkach po parku, zabawianie się z psami, granie w karty i /od czasu do czasu/ przyciskanie włącznika maszyny do żarzenia owiec. Odrobina sporów była więc wobec tego jedynie miłą formą zabicia czasu, wpływająca przy tym dobrze na trawienie; dodawało to odrobinę ostrości, bez której życie jego wydawałoby się płaskie i pozbawione zdarzeń. Co jeszcze istotniejsze - dyskusja owa stanowiła dobry przykład zastosowania demokracji. Najpierw trochę debat, a potem można wnieść wysoko i dumnie standard demokracji nad dachami gospodarstwa. Starał się więc nadal zadowalać z repre-

wadzeniem do powzięcia jakiejś decyzji w tej kwestii.

W całą tę atmosferę niekończących się sporów wdarło się w pewnym momencie beczenie owcy. Wszyscy rzucili się w zdumieniu do okna i gdy wyrzeli, ich spojrzenia spotkały się ze wzrokiem małej owieczki, która właśnie wśliznęła się do ogrodu. Niektórzy spośród pierwszej grupy jakby znaleźli w tej chwili koronny argument na poparcie swoich poglądów i zakrzyknęli natychmiast: *"Co za zachwalstwo! Czysta bezczelność tak biegać po naszym parku! Musimy teraz powziąć surowe środki przeciwko tym kreaturom, albo konsekwencje będą takie, że strach myśleć"*. Komentarze zaczęły już ucichać, kiedy przewodniczący wskazując na owcę wykrzyknął także: *"Patrzcie na nią! Mała barbarzynka! Była na tyle bezczelna, żeby przespacerować się po wszystkich naszych kwiatkach i zjeść także trochę naszych rzadkich ziół! Powalad jej na więcej bytoby skandalem - dlaczegoż nie miałaby pożreć całego gospodarstwa razem z nami!"*. Mówiąc to nacisnęła guzik. W jednej chwili kilka rozwścieczonych psów nadbiegło przecinając ogród i rozerwało owieczkę na strzępy. Zebrani usiedli na nowo, aby w spokoju podsumować wyniki spotkania. Tym razem przewodniczący nie był w nastroju sprzyjającym demokracji i nakazawszy surowo milczenie wszystkim, którzy trwali w błędnych poglądach, niezwłocznie przeprowadził następującą uchwałę:

1. Ograniczyć spożycie trawy przez owce oraz ich czas przebywania na pastwiskach o 4 godziny dziennie w celu zmniejszenia strat i zmniejszenia obciążenia pastwisk.
2. Wszystkie maszyny do strzyżenia zastąpić maszynkami do golenia dla powiększenia ilości i długości wełny.
3. Powiększyć o 100 procent wydajność dojarek w celu uzyskania większego udoju.
4. Każda owca wykazująca niezadowolenie ma zostać natychmiast wysłana do przetwórnicy w celu uniknięcia jakiegokolwiek możliwości wzniecenia rebelii w stadzie.
5. Wprowadza się dodatkowo następujące środki zapobiegawcze: wzmocnienie żelaznych wrót w zagrodach oraz podwyższenie i pogrubienie ogrodzeń wokół wszystkich pastwisk; pogłębienie rowów otaczających teren całego gospodarstwa, a w przyszłości wzniesienia muru; powiększenia wszystkich patroli psów-strażników.
6. W każdej zagrodzie przebywać będzie pies wyposażony w pełnię władzy. Każda owca, która poważy się rzucić tęskne spojrzenia w kierunku zielonych pastwisk i beczeć, zostanie skazana za zdradę stada i spiskowanie z wilkami; każda owca, jaka poważy się żywić niezadowolone z powodu niemożności napełnienia sobie brzucha, zostanie skazana za niechętny stosunek do panującego systemu; każda owca, która poważy się powiedzieć coś złego o gospodarzach, zostanie skazana za przygotowywanie spisku. Owce, dopuszczające się tych czynów mogą być bezkarnie zabite.
7. Jeśli jakaś owca nie będzie posłuszna owcy-przewodniczce stada lub nie będzie słuchoła rad starszych owiec, zostanie pozbawiona prawa jedzenia trawy. Wykonanie tej kary nadzorowane będzie wspólnie przez owcę-przewodniczkę i psy.

6.

Zarządzenie przyniosło natychmiastowe i wyraźne rezultaty. Z początku spowodowało niewielkie zamieszki między młodszymi owcami, lecz zostały one łatwo stłumione. Zawdzięczano to specjalnie wyszkolonym psom. Pomimo, iż samotne pośród stad, ze swoimi ostrymi zębami i odstrasającym wyglądem łatwo radziły sobie z tymi nielicznymi, od-

izolowanymi owcami, które im się przeciwstawiały. Czasami odczuwały strach, że całe stado może zaatakować je w jednej chwili, ale prędko przestały się tym przejmować. Owca przewodnicząca i niektóre starsze owce, wraz ze wszystkimi, które ich słuchały były obecnie całkowicie spokojne. Myślały wyłącznie o ocaleniu własnej skóry i nigdy nie zajmowały się trywialnymi zagadnieniami. Co więcej, gdy jakaś grupa w stadzie zaczynała wyrażać swoje oburzenie z powodu brutalnego traktowania przez psy, zamiast zajmować się układaniem planów, wspólnego kontrataku, najstarsze owce zawsze stawały po stronie psów, szermując sloganami w rodzaju "gorącej miłości do gospodarstwa" i "lojalności wobec gospodarzy", aby nakłonić inne owce do odstąpienia od swych zamiarów i podtrzymać w ten sposób właściwy ład w gospodarstwie.

Psy zatem gładko spełniały swoje obowiązki i dlatego powietrze przestało w pewnym momencie wypełniać chaos mecenów i pobekiwania. W jego miejsce pojawiła się, budząca zadowolenie, atmosfera pokoju i dobrobytu, wyzbyta wszelkich oznak niezgody. Odtąd wszystkie rodzaje konserw, serów, skóry i wełny napływały nieustannie na rynek zamieniając się tam w nieograniczone ilości złota, srebra i innych dóbr, których owce nie oglądały nigdy.

7.

Według schematu biegu dziejów, odkrytego przez uczonych i ekspertów, świat obecny wynurzył się z mrocznej ery krytycyzmu i wszedł w świetlaną epokę pochwał.

Uduchowiony i niepowstrzymany pochwalny śpiew każe zapomnieć i śpiewającym, i słuchaczom o niedolach, przenosząc ich w deliryczny trans radości i fantazji. Jest on z tego powodu głównym elementem każdej metody utrzymywania porządku publicznego i indoktrynacji. Nawet wielcy tyranii historii, głusi na jęki swoich niewolników, popierali pochwały. O ileż bardziej dziś, kiedy objęła nas właśnie era panegirycznej obfitości! Stanowiąc odbicie naszych czasów i wyrażając powszechne pragnienia, dziękczynne zawodzenia musiały wcześniej czy później rozleć się wśród łagodnych i posłusznych owiec w tym kwitjącym gospodarstwie.

Mając na uwadze ów postęp, zarządcy gospodarstwa wprowadzili szereg środków wychowawczych i propagandowych /metodą "odgórną"/, oraz ustanowili dekret o dziękczynnych śpiewach. Jeszcze nie wysechł atrament, którym go zapisano, a już grupa produjących owiec rozpoczęła dyskusję z psami. Wyrażały one wobec nich pragnienie skomponowania pieśni stawiających politykę gospodarzy i dziękujących psom za to, że strzegą jedności i czystości stada. Błagały usilnie psy, aby użyły swych wielkich wpływów dla wyjednania aprobaty gospodarzy. Jakkolwiek życie ich było szczęśliwe, psy - pomimo, iż całkowicie zadowolone ze swoich ostatnich osiągnięć - czuły, jakby nie miały już nic do roboty, czuły się nawet trochę opuszczone i osamotnione. Ponadto zdawały sobie dobrze sprawę z tego, że mogą kiedyś jeszcze potrzebować tych owiec-przewodniczek, chętnie zatem zgodziły się spełnić ich prośbę.

Oficjalna zgoda przyszła nieomal natychmiast. Obwarowana była ona jednym zastrzeżeniem: aby przed dopuszczeniem do śpiewania, każda pieśń została sprawdzona przez władze, ale na ten warunek można się było zgodzić z łatwością i najstarsze, najważniejsze owce prędko wzięły się do roboty. Ponieważ zaś były zdolne i oblatane, pieśni

prędko były gotowe; więcej - zaaprobowano je bez najmniejszego wahania. Następnie młodsze owce zostały zobowiązane do przyłączenia się do starszych i przyjęcia serdecznej i żywej postawy oraz śpiewania silnym głosem, a także do wymyślania nowych kroków tanecznych...

Śpiewanie było jednak całkowicie zabronione podczas dojzenia i strzyżenia, ponieważ obawiano się, iż może to źle oddziaływać na wielkość produkcji. Wyjątek uczyniono jedynie - było to specjalnym przywilejem, nadanym dla ulżenia cierpieniom owiec - w przypadku zakładów produkujących konserwy mięsne, gdzie śpiew rozbrzmiewał nieprzerwanie i donośnie aż do ostatniej chwili. Stanowiło to uderzającą manifestację dwudziestowiecznego humanizmu, liberalizmu i demokracji, i wszystkie owce, za wyjątkiem nielicznych niepoprawnych, mętnych, upartych rebeliantów, były do źez poruszone z wdzięczności. W ten oto sposób, rozpuszczone w ich serdecznych żyzach, panegiryczne melodie wnikały w ciała owiec i - w miarę rozwoju sprzedaży puszek - rozprzestrzeniały się na cały świat; tak to dzięki żaskawości i dobroci gospodarzy mogły trafić do rąk każdego nabywcy. Całe gospodarstwo napełniło się od tej pory śpiewem i tańcem, dodając ostatnie blaski do ogólnego obrazu spokoju, dobrobytu i szczęścia. Żatrute radością, owce dumnie i skwapliwie wypełniały obowiązek swego życia - tworzenie niewyczerpanego bogactwa swoich gospodarzy.

8.

Prosperujące rynki, kwitające gospodarstwa i silne stada, dodawały do kolorowej latarni świata światło, które rozchodziło się delikatnie w atmosferze prostoty i uczciwości, panującej naokół. Jakaż wolność albo równość mogłaby promieniować z równą mocą, by współzawodniczyć z owym niebiańskim blaskiem.

Cóż za znaczenie miały nędzne prywatne troski i nieliczne owce w porównaniu z podniosłym dziełem ich gospodarzy? Szczęście rodzaju owczego musiało być zbudowane na zniesieniu samolubnych myśli i działań. Najświętszym ideałem owiec, ich najwyższym celem i obowiązkiem było budowanie największego z możliwych szczęścia gospodarzy, czynienie co tylko w ich mocy dla przyszłego dobrobytu i unowocześnienia gospodarstwa.

9.

Wszystko się rozwija. Pod władzą gospodarzy, dzięki przewodnictwu owiec-przewodniczek i budującemu wpływowi starszych owiec, ta atmosfera prostoty i szczerości osiągnęła obecnie apogeum swego rodzaju. Ale kiedy coś osiąga poziom skrajny, zamienia się w swoje własne przeciwieństwo i w nieunikniony sposób pojawia się pytanie, czy istotnie może to trwać wiecznie.

Co mają dziś czuć młode owce, jeśli przez kilka lat zastanawiały się nad faktem, że ich zanoszace dziękiuczynne śpiewy poprzedniczki skończyły wszystkie jako konserwy albo kotlety baranie na stołach bankietowych gospodarzy? Czy porzucą zatem swe delikatne i grzeczne beczenie i odezwą się ostrym i prostackim rykiem? Czy pozostaną jak juczne zwierzęta, czy też przedzieieżną się w lwy i tygrysy? Wszystko zależy od rozwoju ich "samolubnego" i własnego sposobu myślenia.

10.

Wszystkie żywe istoty rozwijają się. Czy potulne i posłuszne owce mogą zamienić się w dzikie lwy i tygrysy, a jeżeli tak, to ile czasu może to zająć? Biolodzy, zamknięci w swoich specjalistycznych badaniach nad teorią ewolucji, nie mogą rozjaśnić tej materii najmniejszym promykiem światła. Ale historia ewolucji ukazuje, że to musi być możliwe. W istocie, przetrwanie i rozwój owczego rodzaju wymaga tego, inaczej pozostanie on w niewoli, dopóki wszystkie owce nie zostaną zjedzone. Główna zasada "przetrwania adaptacyjnego" stwierdza, że owca nieuniknienie musi posunąć się w tym kierunku i - co więcej - musi to nastąpić niedługo. Korzystając z nadejścia burzy lub silnego wiatru stado przedrze się przez ogrodzenie, które otacza gospodarstwo; wydając śmiałe okrzyki zbiegnie na wolność, na otwartą przestrzeń, osiedlając się pomiędzy gęstymi lasami a urwistymi górami.

Kiedy nadejdzie ta burza? Nie można wierzyć specjalistom od pogody. Stado w każdym razie nie ma na co czekać. Jego złość wzrasta i przemienia się w nienawiść; niezliczone głosy gniewu narastają i zlewają się w jeden, mogący przerodzić się w silny i gwałtowny wybuch.

Cóż oznacza taka burza w świecie natury? Stanowi doprawdy niewielki powód do niepokoju. Zniszczy przynajmniej wszystkie ogrodzenia, łańcuchy i rodzaj owczy będzie mógł wtedy odkryć prawdziwą wolność, radość, szczęście.

Li Czeng*
tłum. a.r.

DORA STURMAN

SZEŚCIU PRZYWÓDCÓW W POSZUKIWANIU OSOBOWOŚCI
SOWIECKI DOWCIP POLITYCZNY

Survey 1984: 3/122/

Zbiór dowcipów, którego część wykorzystano przy pisaniu niniejszego tekstu, gromadzony jest od roku 1956. Zawiera on jednak także nieco dawniejszych żartów, które dały dowód swej żywotności. Właściciel kolekcji, dr S.A. Tiktin, zapisywał bowiem wszystkie dowcipy będące w obiegu, a więc zachowujące aktualność. Poza kolekcją Tiktina wykorzystano w artykule inne źródła, zwłaszcza zbiory, których twórcami są J. Telesin z Jeruzolimy i N. Olin, zatytułowane *Tu Radio Erewan*.

Można zaobserwować, że im starszy dowcip, tym celniciej oddaje

istotę rzeczywistych wydarzeń historycznych. Co prawda, dzisiejsze żarty przebyły daleką drogę od wydarzenia, o którym opowiadają i jeśli znajdujemy w nich odbicie konkretnego faktu historycznego /jak choćby mowy Lenina z samochodu pancernego w kwietniu 1917 roku lub jego uczestnictwa w pierwszym subotniku/, to zostaje on przedstawiony w sposób tak prześmiewczy, że historycznej dokładności nie należy tam szukać.

- *Napijmy się, Włodzimierzu Iljczu.*

- *O nie, stary, do ust nie wezmę alkoholu. Dotąd pamiętam, jak zalałem pałę w kwietniu siedemnastego - zawlekli mnie na Dworzec Piński, wylazłem na samochód pancerny i naplotłem takich bzdur, że jeszcze dziś wstydę się o tym pomyśleć.*

Jednak bez względu na barwność szczegółów sowieckie żarty polityczne, zwłaszcza zaś bardzo popularne dowcipy o przywódcach /"woźdżach" - stąd prawdziwa "woźdżada"/, dobrze oddają historyczną rzeczywistość. Najbardziej nawet wymyślne tematy i sytuacje służą przekazaniu typowych i uniwersalnych znaczeń.

Urodzony grubo przed powstaniem samizdatu, żart polityczny poprzedza wydawane poza zasięgiem cenzury opowiadania o życiu w ZSSR. W czasach Stalina można było dostać 10 lat obozu pracy za opowiadanie dowcipów, ale i w ostatnich latach można było za to trafić do więzienia. Pochodząca z Leningradu Irina Curkowa dostała za Andropowa 3 lata z powodu żartów politycznych. Nawet jednak w okresie Wielkiego Terroru nie zdołano zahamować ich spontanicznego i obfitego obiegu we wszystkich środowiskach - od zebrań partyjnych po obozy pracy. Dziś syją się jak lawina.

Aby wyczerpująco przedstawić dowcip poświęcony sześciu kolejnym najwyższym szefom na Kremlu należało by opracować opasłą antologię, a nie artykuł prasowy. Przedstawimy tu więc nieco obserwacji ogólnych wraz z przykładami, ilustrującymi cechy charakterystyczne owych "cykli dowcipów", mających za temat poszczególnych przywódców.

Stalin był postacią groźną i budzącą lęk, która raczej nie wywołuje komicznych skojarzeń. Ale sowiecki żart polityczny ma zdumiewającą zdolność ośmieszania najstraszniejszych zjawisk codzienności. Nie jest to szczery śmiech, raczej nieprzyjazny grymas, który odsłania złowrogą istotę wydarzeń. Taki ponury sarkazm cechuje praktycznie wszystkie żarty na temat Stalina. Dowcipy o nim z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych, nieco tylko z biegiem czasu zmodyfikowane, krążyły jeszcze w najlepsze, kiedy zbierane były materiały do naszego zbioru. Ten rodzaj surowej miniatury satyrycznej niestety źle znosi przeniesienie na papier i trudno coś na to poradzic. Bo jak, dla przykładu, oddać ironię żydowskiego akcentu w telegramie, który miał wysłać Trocki do Komitetu Centralnego w odpowiedzi na żądania, aby uznał słuszność postępowania Stalina? Telegram brzmi:

Stalin jest przywódcą, ja nie jestem przywódcą. Stalin ma słuszność, ja nie mam racji. Ja wam złożę samokrytykę.

Oświadczając to czytać należy w tonie pytająco-ironicznym, zaś końcowe "ja wam złożę samokrytykę" znaczy oczywiście "niedoczekanie", ale jak wyrazić w druku sens niepowtarzalnej odeskiej intonacji? Jak oddać piśmem niezachwianie gruziński akcent Stalina i chrząkliwy sposób mówienia Lenina, z których acieszny użytek czyniło tyle popularnych anegdot? A niewyraźną mowę Chruszczowa i Breżniewa?

Złowrogie charaktery Stalina wyczuwany był wśród ludu już w latach dwudziestych. W tym okresie krążyła następująca historyjka:

Stalin przemawia do robotników:

- *Za sprawę klasy robotniczej gotów jestem oddać całą swoją krew, kropla po kropli...*

Głos z sali:

- *Kochany Josifie Wissarionowiczu! Dlaczego sobie żałować, dlaczego po kropelce? Dawajcie całą od razu!*

A w latach trzydziestych:

Rabinowicz idzie w pochodzie na rocznicę Rewolucji Październikowej z transparentem: "Dzięki wam, towarzyszu Stalin, za szczęśliwe dzieciństwo". Podbiega do niego funkcjonariusz partyjny:

- *A wy co? Żarty sobie stroicicie? Starzy jesteście, za waszego dzieciństwa Stalina nie było na świecie!*

- *I za to właśnie jestem mu wdzięczny!*

Do tej samej serii zaliczyć można dowcip o człowieku, który nazywał Stalina swoim ojcem, a władzę sowiecką swoją matką. Na pytanie, jakie jest jego największe marzenie, odrzekł: *"chciałbym być całkowitym sierotą"*. A także opowieść o diabłach, które zwiały z piekła w dniu, kiedy miał tam przybyć Stalin.

Anonimowi twórcy tych żartów nie ulegli hipnotycznemu wpływowi wszechobecnego wówczas kultu Stalina - koncypując takie i podobne zjadliwe anegdotki, zgryźliwym śmiechem dodawali sił ludziom.

W okrutnych latach trzydziestych imię Stalina eksponowano dosłownie przy każdej okazji, pod pretekstem jakiegokolwiek akcji czy wydarzenia, we wszelkich publicznych wystąpieniach. Przychylny stosunek Stalina do tego niesmacznego postępowania nie uszedł uwagi autorów anegdot. Zorientowali się oni w zakulisowym poparciu wodza dla twórczenia kultu wokół własnej osoby. W roku 1937 w całym kraju organizowano obchody stulecia śmierci Puszkina. Pojawił się wówczas następujący dowcip:

Stalinowi przedstawiono kilka projektów pomnika Puszkina do ostatecznej oceny. Pierwszy projekt przedstawiał Puszkina czytającego Byrona.

- *Historycznie jest to prawdziwe, ale politycznie niesłuszne - gdzie tu jest nieomylna linia naszej Partii? - pyta Stalin swym twardym gruzińskim akcentem.*

Drugi projekt przedstawiał Puszkina czytającego Stalina.

- *Ten znów jest słuszny politycznie, lecz historycznie nieprawdziwy - orzekł Stalin. - Przecież wtedy nie było jeszcze dzieł towarzysza Stalina.*

Politycznie i historycznie słuszny okazał się projekt trzeci - Stalin czytający Puszkina.

Absurdalne przyznawanie się oskarżonych w stalinowskich procesach do wszelkich możliwych win, to zjawisko, w którym z pozoru trudno doszukać się choćby cienia komizmu, lecz i ono znalazło odbicie w serii anegdot:

Stalinowi zginęła fajka. Zgłasza pretensje do Berii:

- *Jak to się dzieje, Lawrentij, że wszystko tu ucięż ginie? - pyta z podejrzliwym spojrzeniem.*

Beria błędnie, a po dwóch godzinach telefonuje:

- *Zaareztowano 47 osób, mój pierwszy zastępca prowadzi dochodzenie.*

Ale po godzinie Stalin stwierdza, że zginął mu też pomocnik do czyszczenia fajki. Więc już przed wieczorem Beria melduje.

- Zaareztowałem 75 osób, osobiście kieruję śledztwem.

Następnego ranka sprzątaczką znalazła zagubione rzeczy: spadły za kanapę. Stalin dzwoni do Berii:

- Nie musisz już szukać, wszystko się znalazło.

- Ach, jaka szkoda - wdycha z żalem Beria. - Już prawie wszyscy się przyznali, został nam jeszcze jeden.

Na długo przedtem, nim objawiona została światu subtelna figlarność charakteru Stalina /co prawda, tylko w książkach jego córki/, ta jego szczególna cecha znalazła odbicie w dowcipach. Oto jeden z nich:

Stalin udziela audiencji Puszkiniowi, wysłuchuje jego skarg i natychmiast zobowiązuje swego osobistego sekretarza do bezwzględного spełnienia wszystkich prośb poetę. Gdy uszczęśliwiony Puszkini wychodzi, Stalin podnosi słuchawkę aparatu telefonicznego:

- Towarzysz d'Anthes? Towarzysz Puszkini właśnie wyszedł.

W dawniejszych dowcipach o Stalinie spotykamy delikatnie zaznaczającą się tendencję do obwiniania za masowe represje raczej organów ścigania niż samego *Woźdźdź*. Tak więc, gdy Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych Litwinow skarży się Stalinowi na prześladowanie żony, ten odpowiada:

- Towarzysz Jeżow musi mieć jakieś dowody przeciwko niej

Na co Litwinow:

- Dowody to on ma także przeciwko Wam, towarzyszu Stalin.

Ale ta tendencja rozpięła się wkrótce w powodzi anegdot, które przedstawiają Stalina zarówno jako inicjatora, jak i głównego wykonawcę zbrodniczych posunięć prowadzących do wielkiego głodu wczesnych lat trzydziestych, a następnie do kolejnej fali masowych prześladowań. Charakterystyczne, że te dowcipy nie przeciwstawiają Stalina Leninowi i nie prezentują wcale Lenina, jako dobrego przywódcy z dawnych, szczęśliwych czasów.

Po rewelacjach roku 1956 nazwisko Stalina coraz częściej pojawia się w anegdotach jako punkt odniesienia dla postępowania jego następców. Żarty chętnie wykorzystują machinacje nowych przywódców wokół zwłok Stalina /"Gdziekolwiek Partia rozkaże - tam będę leżał"/. Wykpiwana jest rzucająca się w oczy niechęć postalinowskiego Komitetu Centralnego do rzetelnego wyjaśnienia zbrodniczych czynów Stalina, ich źródeł, zasięgu i skutków:

Krytyka i samokrytyka stanowią naszą wielką siłę. Skrytykowaliśmy towarzysza Stalina na XX Zjeździe i on się zmienił. I dziś, daj Bóg, by każdy był tak dobrym marksistą, jak Stalin.

To parafraza głównej wypowiedzi Chruszczowa.

Dowcipy z okresu po śmierci Stalina często podkreślają ciągłość między nim a jego następcami.

Stalin pozostawił trzy testamenty w trzech zapieczętowanych kopertach. Na pierwszej był napis: "Otwórzcie natychmiast". W środku polecenie: "Umieścić moje ciało w Mauzoleum". Tak też zrobiono. Na drugiej napisano: "Otwórzcie, jak będzie śle". Wobec Kłeski w rolnictwie w roku 1954 otwarto i tę kopertę, by przeczytać: "Całą odpowiedzialność zwałcie na mnie". Toteż podczas XX Zjazdu obciążono go winą za wszystko. Napis na trzeciej kopercie brzmiał: "Otwórzcie, gdy będzie bardzo źle", więc otwarto ją podczas powstania węgierskiego w 1956

roku i przeczytano: "Róbcie tak, jak ja bym postąpił".

A oto inna anegdota na temat niezmienności postaw, tym razem zestawiająca Stalina z Breżniewem:

W roku 1965 Breżniew wywołuje ducha Stalina i pyta:

- Towarzyszu Stalin, co powinienem zrobić z tym Siniawskim?
- Cóż to znów za Siniawski? Ten spiker radiowy?
- Nie, towarzyszu Stalin, to taki pisarz, który...
- A po coż ci u licha aż dwóch Siniawskich? - przerywa Stalin.

Na ogół żarty na temat Stalina są raczej przyciężkie, mało subtelne i niezbyt śmieszne. Tak jakby na ich jakości odbijała się zło-wroga, niszczylińska natura samego Stalina, nie mająca w sobie nic żartobliwego. Wyjątkiem są dowcipy z gatunku czarnego humoru:

Starszy człowiek przychodzi co dzień do kiosku z gazetami, prosi o "Prawdę", rzuca okiem na pierwszą stronę i oddaje, nigdy nie kupując. W końcu znieczepłiwiony sprzedawca pyta:

- Czego wy tu właściwie szukacie?
- Szukam pewnego nekrologu - odpowiada starszy pan.
- Na pierwszej stronie nie ma nekrologów.
- Ten, którego ja szukam, będzie na pierwszej - brzmi odpowiedź.

W przeciwieństwie do swojego poprzednika Chruszczow miał w sobie więcej komicznych cech, choć przecięt i on ponosił część odpowiedzialności za zbrodnie Stalina i uczestniczył w budowie systemu władzy absolutnej. Chruszczow najwyraźniej szczerze wierzył w zdolność ZSSR do stosunkowo szybkiego prześcignięcia Zachodu pod względem rozwoju gospodarczego, do osiągnięcia dobrobytu i zbudowania w ciągu kilku dziesięcioleci materialnej bazy komunizmu. Jego euforyczny optymizm i niczym nie hamowana pewność siebie oparte były w znacznej mierze o gruntowną niezajomość rzeczy. Inicjowane przezeń reformy nie dotykały istotnych zasad systemu sowieckiego. Sedno problemu uchwyciła znakomicie anegdotyczna *Radiostacja Erewań* w krótkim dialogu:

- Jak można zdefiniować reformy Chruszczowa?
- Są jak uzdrawiającej zastrzyk robiony w drewnianą nogę.

Wszelkiego rodzaju dowcipy robiły ciągły użytek z chruszczowowskich pomysłów oraz jego niekompetencji:

Chruszczow i Bułganin lecą samolotem. Bułganin mówi:

- Wyrzucę przez iluminator banknot sturublowy - ktoś go znajdzie i będzie uszczęśliwiony.
- A ja wyrzucę tysiąc rubli w dziesięciurublowkach i w ten sposób uszczęśliwię wielu ludzi - przebija Chruszczow.
- Ej, chłopcy - odzywa się pilot. - Jak wyrzucę was obu, uszczęśliwiony będzie cały naród. /1956 r./

Pijamy kombatant wymachuje na ulicy gazetą i woła na całe gardło:

- Niech żyje towarzysz Chruszczow! Niech żyje towarzysz Chruszczow!
- No, proszę, znów zaczyna się kult jednostki - komentują przechodnie.
- Niech żyje towarzysze Chruszczow z mojej emerytury - kończy myśl kombatant. /1956 r./

Pytanie do Radia Erewań:

- Dlaczego usunięto z Moskwy Ninę Chruszczow?
- Bo trzymała dziką świnię w centrum miasta. /1957 r./

Rozmowa:

- Czy zrobiłeś już zapasy mydła i proszku do prania?
- Nie, a co się znów kroi?
- Chruszczow wziął się za reorganizację przemysłu chemicznego.

Oto jak wielkie zmiany dokonały się w okresie jednego planu pięcioletniego: w roku 1952 pewien człowiek nazwał Stalina idiotą i został rozstrzelany jeszcze tego samego dnia; teraz ktoś nazwał idiotą Chruszczowa i dostał 8 lat za zdradę tajemnicy państwowej! /1957 r./

Chruszczow ogląda głośną wystawę malarstwa w moskiewskiej Ujeżdżalni:

- Co to ma być, ten idiotyczny kwadrat z czerwonymi kropkami?
- To jest, Nikito Siergiejewiczu, radziecka fabryka i robotnicy.
- A ta stara samota zachłapaną na zielono i żółto?
- To jest pole kukurydzy.
- A ten świński tyłek z uszami?
- To jest... eee..., towarzyszu Nikito Siergiejewiczu, to jest lustro!

Do Chruszczowa doprowadzono człowieka, aresztowanego za opowiadanie dowcipów:

- Ach, co za meble, co za dywany - zachwyca się aresztant.
- Wróćcie każdy mieszkaniec naszego kraju będzie miał takie same - tłumaczy Chruszczow.

- Lepiej niech każdy robi swoje - obrusza się przestępca. - Czy to wy tu jesteście za opowiadanie dowcipów, czy ja? /1959 r./

Tego rodzaju anegdoty rodziły się tuziny. Wyżej przytoczono tylko kilka najbardziej typowych. Nie znikły one nawet wtedy, gdy "Chruszczow wskoczył do Morza Czarnego jako premier, a wyłynął jako emeryt" /1964 r./. Otc kilka historyjek powstałych po usunięciu Chruszczowa.

Pytanie do Radia Erewań.

- Dlaczego Chruszczow nie otrzymuje paszportu i nie może się swobodnie poruszać?

- Bo wziął do Mawoleum dwie osoby, a wrócił tylko jedną. /1964 r./

Natychmiast pojawiły się liczne dowcipy o Breżniewie i mnożyły się aż do jego śmierci. Kolejny z serii Radiostacja Erewań może posłużyć jako epitafium:

- Czy mamy teraz kult jednostki?
- Mamy kult, ale nie mamy jednostki. /1971 r./

Bezpośrednio po upadku Chruszczowa zaczęły krążyć dowcipy porównujące Breżniewa do Stalina:

Pytanie do Radia Erewań.

- Co wyrażają geste brwi Breżniewa?
- To wąsy Stalina podniesione na wyższy poziom.

Albo:

- No, tom sobie pożartował, ale teraz dosyć już tego dobrego - mówi Breżniew odklejając sobie brwi i przyklejając je na powrót pod nosem. /1965 r./

To stałe przyrównywanie go do Stalina spowodowane było zupełnym zaprzestaniem krytyki czasów stalinowskich po objęciu rządów przez Breżniewa.

Prymitywizm Breżniewa był stałym źródłem zdumienia. Jakim cudem ten ograniczony i zadufany w sobie "pomniejszy działacz polityczny z epoki Sacharowa i Sołżenicyna" /tak miałyby podawać Encyklopedia XXI wieku/ zdobył w państwie tak ogromną władzę Co do głębi ignoracji Breżniew oceniany był jako bliski Chruszczowowi. Oto po wylądowaniu Amerykanów na księżycu rozkazuje sowieckim kosmonautom wylądować w najbliższym terminie na słońcu:

- Ale tam panuje tak wysoka temperatura, że nie sposób się nawet zbliżyć - nieśmiało protestują uczeni.

- To niech lądują w nocy - rozstrzyga Iljicz nr 2.

Niewyraźny sposób mówienia Breżniewa, nie wiadomo czy bardziej spowodowany przez wadę wymowy, czy przez niedostatki edukacji, był ustawicznie ośmieszany.

Pytanie do Radia Erewań.

- Czy Breżniew otrzyma tytuł generalissimusa?

- Otrzyma. A jeśli zdoła wymówić słowo 'generalissimus', dostanie ponadto tytuł Narodowego Artysty ZSSR.

Jeśli wierzyć dowcipom, ignorancja kandydata na generalissimusa szła w parze z beznamiętnym upośledzeniem umysłowym.

Pytanie do Radia Erewań.

- Jak to możliwe, że porucznik Iljın dokonał na Kremlu w Bramie Borowieckiej zamachu na Breżniewa, a trafił w jego kierowcę?

- Tak, trafił rykoszetem, bo kula odbiła się Breżniewowi od czoła.

W latach siedemdziesiątych zaopatrzenie ludności pogorszyło się. Niemordowana Radiostacja Erewań podaje gospodyniom przepis na nowe ciastko - "breżniewkę": "Robi się ją zupełnie tak samo, jak napoleonkę, tyle że bez jaj".

Stałym tematem dowcipów był breżniewowski sybarytyzm, jego zamiłowanie do luksusowych samochodów, przedmiotów zbytku, cennych drobiazków.

W trakcie spotkania na szczycie następuje krótka przerwa na papierosa. Generał de Gaulle wyciąga srebrną papierośnicę z ozdobnym napisem "generałowi de Gaulle - wdzięczna Francja". Prezydent Johnson otwiera swoją złotą papierośnicę, na której wygrawerowana jest dedykacja "Drogiemu Lyndonowi od kochającej żony". Na to Breżniew wyjmując papierośnicę platynową, zdobną licznymi diamentami - na niej ledwie czytelny ze starości napis: "Jego Imperatorskiej Wysokości Cesarzowi Aleksandrowi II od rosyjskiej szlachty".

Albo anegdotka kursująca po Moskwie w sierpniu 1968 roku, po powrocie do Pragi uprowadzonych przywódców Czechosłowacji:

Właśnie wyjechali. Breżniew zwraca się do Kosygina:

- Ten Dubczek miał piękny zegarek, pierwsza klasa!

- Naprawdę? Pokaż! - zainteresował się Kosygin.

Temat ten wraca zresztą w wielu innych dykteryjkach. Oto Breżniewa odwiedza w Moskwie matka. Z zachwytem ogląda wspaniałe apartamenty umeblovane bezcennymi dziełami sztuki, liczną i karną służbę, wielkie garaże pełne luksusowych aut, aż nagle wybucha płaczem: "Ale Łorka, syneczku kochany, co będzie z nami, jeśli czerwoni powrócą?".

Inny dowcip opowiada o tym, jak Breżniew zdecydował się poddać operacji powiększenia klatki piersiowej ; zabrakło mu już miejsca na ordery.

Nieustrudzona *Radiostacja Erewań* ma również gotową odpowiedź dla ciekawych, pragnących wiedzieć, gdzie było epicentrum ostatniego trzęsienia ziemi: *"Pod wieszakiem, z którego urwała się bluza Breżniewa"*.

Dreńczony marami nocnymi Breżniew ma kolejny straszny sen: Czesi i Słowacy zebrałi się na Placu Czerwonym i jedzą macę chińskimi pałeczkami. Inny koszmarny sen: Chińczycy nauczyli się walczyć, jak Izraelici, zaś Izraelici rozmnażać jak Chińczycy.

Fryzjer wyprowadził Breżniewa z równowagi ciągłym sprowadzeniem rozmowy na sprawy polskie. W końcu zirytowany Breżniew wybuchł:

- *Co wy ciągle z tym gadaniem o Polsce?*
 - *To mi pomaga w strzyżeniu; jak tylko jest mowa o Polsce włosy stają nam dęba* - odpowiada speszony fryzjer. /1981 r./

Od połowy lat siedemdziesiątych przedmiotem licznych żartów było rosnące starcze dziesięcinnie Breżniewa. *"Pamiętam wszystko, co działo się tam, gdzie mnie nie było"* - zapewnia Breżniew podpisując do druku wspomnienia *"Mała ziemia"*. Na dzwonek telefonu odpowiada - *"Tu mówi Kochany Leonid Iljicz"*. Gdy ktoś puka do drzwi, Breżniew zaczyna gorączkowo szukać czegoś wśród papierów na biurku. W końcu znajduje, podchodzi do drzwi z odszukaną karteczką i odczytuje z niej: *"Kto tam?"*. W roku 1980, otwierając igrzyska olimpijskie w Moskwie, wygłasza: *"0 - 0 - 0 - 0 - 0"*.

- *Ależ, Leonidzie Iljiczu, to jest emblemat olimpijski, przemówienie powitalne jest napisane poniżej* - odpowiada szef protokołu.

Breżniew wita Margaret Thatcher i zaczyna czytać z kartki:

- *Droga i szanowna Pani Indiro Gandhi...*
 - *Towarzyszu Leonidzie Iljiczu, to jest Margaret Thatcher* - podpowiadają mu z boku.
 - *Droga i szanowna pani Indiro Gandhi... - zaczyna znowu Breżniew i znowu przerywają mu gorączkowe szepty.*
 - *Widzę, że to pani Thatcher, ale sami zobaczcie, jak tu jest napisane - złóćci się Breżniew i zaczyna jeszcze raz.* - *Droga i szanowna pani Indiro Gandhi.*

Oto jeden z ostatnich dowcipów przed śmiercią Breżniewa - jego komentarz po pogrzebie Susłowa:

Towarzyszowi Pelsze należy się odznaczenie, jako najbardziej rycerskiemu z członków Politbura. Kiedy orkiestra zagrała na pogrzebie towarzysza Susłowa, on jeden umiał się znaleźć i poprosił wdowę do tańca. /1982 r./

Tuż przed śmiercią Breżniewa pojawiły się anegdoty przepowiadające osobę następcy. Na posiedzeniu przywództwa partyjnego Breżniew zaczyna przemówienie, jak zawsze czytane z kartki:

- *Zebrałiśmy się tutaj, aby towarzyszyć w ostatniej drodze wiernemu synowi naszej Partii, pierwszemu sekretarzowi /czyta coraz wolniej/ Komitetu Centralnego KPZS /jeszcze wolniej, z rosnącym zastanowieniem/, Marszałkowi Związku Sowieckiego, Przewodniczącemu Rady Najwyższej ZSSR, Leonidowi /pausa/ Iljiczowi /pausa/ Breżniewowi! - tu przerywa, przez chwilę wpatruje się z uwagą w papier, następnie w swoje ubranie, i wyjątnia.* - *Przepraszam towarzysze, znowu przez pominięcie włożyłem marynarkę towarzysza Andropowa.* /lato 1982/

Inny dowcip nawiązuje do mechanizmu przekazywania władzy:

Pytanie do Radia Erewań.

- Jakie były ostatnie słowa Breżniewa?

- *Jurij, nie ruszaj mojego rozrusznika! /1982/*

Kpiny nie oszczędzały go i po śmierci.

- *Słyszałeś, że Breżniew umarł?*

- *Nieosiągalne. Sam sobie poradził?*

Trudno nie zauważyć, że dowcipy o Breżniewie nie dotyczą spraw zasadniczych. Większość nie ma żadnego związku ze sprawami o znaczeniu politycznym czy historycznym. Żarty wykpiwają cechy osobiste po-gardzanego przywódcy, pod którego kierownictwem kraj wolno lecz sta-le staczał się ku neostalinizmowi. Najbardziej widoczne jego cechy osobiste to brak wykształcenia, przyziemne zapatrzenie w siebie, mialka próżność. Toteż po krótkotrwałej fali kpin szybko odszedł w cień zapomnienia, pożegnany żartobliwym epitafium: "*Breżniew umarł. Tak naprawdę, to zmarł już dawno, tylko Czernienko nie chciał mu o tym powiedzieć*" /listopad 1982/.

Zaledwie Breżniew spoczął w grobie, rozpuściła się istna nawała dowcipów o jego następcy. W odróżnieniu od zachodnich sowietologów, którzy ochocho wzięli się do koncipowania nowej dziedziny wiedzy zwanej "*andropologią*", twórcy dowcipów o Andropowie najwyraźniej od samego początku nie żywili żadnych złudzeń co do intelektualizmu i liberalizmu nowego pierwszego sekretarza. Odżyła jedna ze starych anegdot, dopasowana do aktualnej sytuacji, o zagranicznym korespondencie, który chciał wiedzieć, czy aby na pewno naród pójdzie za Andropowem.

- *Kto nie pójdzie za mną, pójdzie w ślady Breżniewa - zapewnił go Andropow.*

Taka sama wymiana zdań miała miejsce w odniesieniu do Lenina i Stalina w znacznie starszym dowcipie, z początkowego okresu władzy Stalina.

Żarty o Andropowie nieustannie nawiązywały do jego przeszłości w KGB. Jego wyniesienie odczytywane było jako umocnienie roli organów bezpieczeństwa: "*W Związku Sowieckim doszło do rewolucji seksualnej - organy przejęły władzę*".

Podczas plenum Komitetu Centralnego Andropow oświadcza:

- *Skoro już wybraliście mnie jednomyślnie, możecie opuścić ręce i odwrócić się od ściany.*

Krażyła też opowieść o telewizyjnym wystąpieniu nowowybranego pierwszego sekretarza w Sylwestra 1982 z orędziem noworocznym, w którym życzył: "*Drogim towarzyszon pomysłnego nowego 1937 roku*". Był też dialog:

- *Słyszałeś, że Andropow złamał rękę?*

- *Komu? /1983 r./*

Przypisywano też nowemu przywódcy szereg pomysłów reformatorskich jak zmiana nazwy CK KPZS - na Czeka KPZS, Moskwy na Czekago, Kremla na Andropol.

Pytanie do Radia Erewań:

- *Na jakie grupy podzieliło się sowieckie społeczeństwo po objęciu władzy*

przez Andropowa?

- Na Pithekanthropowców, Andropoidów i Mizandropów.

Dwa nowe tańce miały zdobyć wielką popularność w Polsce i w ZSSR: jaruzelka i andropolka. W jaruzelce nie wolno odrywać rąk od boków, w andropolce ręce są unieruchomione za plecami.

Od 1983 roku wprowadzono w Związku Sowieckim nową jednostkę miary - jeden androp, odpowiednik dziesięciu lat.

- *Towarzyszu Andropow, polski ambasador chce wam słożyć wizytę.*
- *Doprowadzić!*

Kiedy Andropow przestał pojawiać się publicznie, coraz więcej dowcipów nawiązywało do jego zdrowia.

Pytania do Radia Erewań:

- *Dlaczego Breżniew podróżował za granicę, a Andropow nie?*
- *Breżniew miał zasilanie z baterii, a Andropow jest podłączony do sieci./1983/*
- *Czy Andropow dożyje roku 1984?*
- *Tak, we fragmentach.*

Wobec rosnącej niepewności co do stanu zdrowia przywódcy, do Radia Erewań napływały dalsze pytania:

- *Co się stanie w razie śmierci Andropowa?*
- *Diabeł poprosi o azyl polityczny w niebie.*

A gdy w końcu Andropow zmarł, Radiostacja musiała wyjaśnić:

- *Co było najcenniejsze w rządach Andropowa?*
- *Były krótkotrwałe.*

Twórcy serii dowcipów o kruchym zdrowiu Andropowa nie musieli zmieniać stylu pod rządami jego następcy. Nowe anegdoty oparte o ten motyw posypały się natychmiast po śmierci 69-letniego Andropowa i objęciu rządów przez 72-letniego Czernienkę. Oto na nadzwyczajnym plenum KC KPZS podjęto dwie uchwały: 1. o wybraniu towarzysza Czernienki, Konstantyna Ustinowicza, na stanowisko pierwszego sekretarza; 2. o pochowaniu go na Placu Czerwonym. Poniżej zaś kilka kolejnych pytań do Radia Erewań:

- *Co odpowiedział Czernienko po Breżniewie?*
- *Stareze zniedołężnienie.*
- *Kto z młodych przewidujemy jest na następcę Czernienki na stanowisku pierwszego sekretarza?*
- *Tichonow, Ustinow lub Gromyko.*
- *Dlaczego Czernienke dwa razy opadła ręka podczas pogrzebu Andropowa?*
- *On dawał sygnały: 'Głębiej, głębiej!'*

Oczywiście po dojściu do władzy Czernienki nazwa Kremla znów ulega zmianie - z Andropola na Konstantynopol.

Niejaki Minczewicz zostaje weszony do zakładowej organizacji partyjnej w przedniach pochodni pierwszozajmowej.

- *Wam, jako najstarszemu członkowi naszego robotniczego kolektywu powierzamy honorowy obowiązek niesienia na pochocie portretu Towarzysza Czernienki.*

- Nie róbcie mi tego! Niosłem portret Lenina - i zaraz umarł. Niosłem portret Stalina - też umarł. Niosłem Chruszczowa - natychmiast wyleciał. Niosłem Breżniewa - umarł. A dopiero co niosłem portret towarzysza Andropowa - i też umarł.

- Macie złote ręce! Kolektyw usnał, że to wy musicie nieść portret towarzysza Czermienki.

Jeden z robotników dorzuca:

- Dajcie mu jeszcze czerwoną flagę! /1984 r./

Szereg dowcipów nawiązywało do częstotliwości pogrzebów na najwyższym szczeblu, zwłaszcza wobec bliskiej perspektywy następnego:

Dwóch aparatczyków spotyka się na pogrzebie Andropowa.

- A wy jak się tu znaleźliście?

- Załatwili mi wejściówkę. A wy?

- O, ja to już mam miesięczny.

Breżniew spotyka w zaśnieżonych Andropowa:

- O, cześć stary! Napijemy się?

- Poczekaj momentik, będzie nas trójeczka. /1984 r./

Jakkolwiek na pierwszy rzut oka może się to wydawać dziwne, najbardziej zjadliwie z dowcipów o wodzach nie dotyczą Stalina, lecz Lenina. Nowy impuls do opowiadania licznych o nim anegdot dały lata pięćdziesiąte, ale apogeum nastąpiło w siedemdziesiątych, z racji obchodów setnej rocznicy urodzin. Nicją przewodnią tych żartów było ośmieszanie i kompromitowanie oficjalnej legendy pierwszego przywódcy, która do pewnego czasu przyjęła się w opinii społecznej - obrazu idealnego Wodza Rewolucji i wzoru wszystkich ludzkich przymiotów.

Najstarsze z kursujących wciąż dowcipów, według dobrze już wiekowych świadków, pochodzące z początku lat dwudziestych, wyrażają jednoką wrogość wobec Lenina i Trockiego, a także wobec ich sławionych czynów /w tych czasach Trocki również cieszył się w anegdotach pozycją równą leninowskiej/:

Robotnik otrzymał przydać na pokój. Ogląda gołe ściany, tylko w jedną wbitą jest samotny gwóźdź. Za całe umeblowanie otrzymał portret Lenina i Trockiego, jako dar od partyjnej jacejki.

- I teraz nie wiem, którego powiesić, a którego postawić pod ścianę - deli-beruje robotnik. /1921 r./

Wieżadwołony Rabinowicz ogląda plakat z napisem: "Lenin umarł, ale jego dzieło żyje" i wzdycha:

- Wolałbym żebyś żył, a twoje dzieło zdschło! /po 1924 r./

Całkowitą obojętność wobec dzieł wielkich przywódców, w tym także Lenina, oraz brak zainteresowania dla ich rewolucyjnej spuścizny celnie zanotowały anegdoty z lat trzydziestych:

W czasie kołchozowej uroczystości wręczane są nagrody za wzorową pracę:

- Za bardzo dobre wyniki w zbiorach towarzysza Iwanowa otrzymuje worek zboża - owacje.

- Za doskonałą dbałość o inwentarz towarzysza Pietrowa otrzymuje worek ziemniaków - głośne owacje.

- Za staranne prowadzenie administracji towarzysza Sidorowa otrzymuje

Dzieła Zebrane Lenina - śmiech, oklaski i głos z sali:

- W sam raz dla starej dziwki! /po 1930 r./

Pod koniec XX i XXII Zjazdu Partii, nowe przywództwo rozpoczęło intensywną kampanię gloryfikacji Lenina, aby zatrzeć w świadomości społecznej pozostałości kultu Stalina i zapewnić powstałą próżnię ideologiczną. Aktualni przywódcy chcieli przedstawić się nie jako kontynuatorzy władzy sprawowanej przez Stalina, z jego wypaczeniami i jednostkowymi błędami, lecz jako spadkobiercy linii Lenina, którego wielkość nakazano głosić wszędzie - od ślubka po wydział propagandy KC KPZR. Sławienie postaci tak dawno zmarłej było nad wyraz dogodnym, ponieważ nie mogła już zrobić niczego, co by mogło wprować w zakłopotanie obecnych przywódców.

Od czasów Chruszczowa przyjęła się w sowieckiej propagandzie metoda łącznego wychwalania Lenina i aktualnego pierwszego sekretarza. Kiedy przywódca umierał lub odchodził, nowy sekretarz wchodził automatycznie w opuszczone miejsce. Nazwisko Breżniewa zniknęło całkowicie z prasy w dzień po ogłoszeniu dekretu o uwiecznieniu jego pamięci. Natomiast w artykule wstępnym następnego wydania pisma *Wychowawca* Breżniew nazwisko Andropowa wraz z pełną tytułaturą wymieniono siedmiokrotnie, z tego trzy razy w bezpośrednim związku z nazwiskiem Lenina. Od czasu usunięcia Chruszczowa takie zabiegi propagandowe wytworzyły w społeczeństwie ironiczno-obojętny stosunek do zmienności losu różnych uczestników walki o władzę na Kremlu. Powszechność dowcipów o Leninie dowodzi, że liczne grupy społeczne nie przyjęły lansowanej przez kierownictwo wersji, w której Lenin miał pełnić rolę nieśmiertelnego i dobroczynnego bohatera.

Tematem niezliczonych dowcipów jest *Subotnik* - przymusowa, choć przedstawiana jako dobrowolna praca w soboty, którą wprowadzono za Lenina. Na pięćdziesięciolecie śmierci Lenina kursował dowcip wykpiwający opowieści o "Iljii mi, świątującym na barkach ni swoje kłody drewna" podczas *subotnika*. Kłoda mianowicie okazała się gumową nadmuchiwą atrapą, a po Leninie odziedziczył ją Breżniew ("Kłoda jest ta sama, tylko Iljina inny").

Popularny zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zwyczaj organizowania w szkołach, fabrykach i instytucjach spotkań z ludźmi, którzy widzieli Lenina i przedstawiani byli jako opromienieni przez zetknięcie się z jego chwałą, dało asumpt do całej serii prześmiewczych dowcipów:

Wracając do Radia Erewań.

- *Spad bierze się dzisiejsza moda na małżeństwa ze starszymi kobietami?*
 - *W Anglii z powodu braku społecznego statusu; w Stanach Zjednoczonych - bo mają pieniądze; we Francji - bo są bardzo doświadczone w miłości; w ZSSR - bo mogły widzieć Lenina.*

Obóz pionierów. Uczestnik pierwszego leninowskiego subotnika snuje wspomnienia, opowiadając jak zgarnięto ludzi sprzed domów i dowieziono na subotnik.

W pewnym momencie podchodzi do mnie taki mały kurdupel z bródką, w cyklistówce, i bierze: "Pierzcie się za te kłody, towarzyszu, nie stójcie z zалоżonymi rękami!". No, to mu powiem: "Gdzieś tam sobie pijsz. Akurat przechodziś obok wycedki, a chudzi facet i wuje wuję szęka, też z bródką. "Zajmijcie się nim, Feliksie Edmonowiczu" - powiedział do mnie, co miał taką burkliwą wymowę, i sam sobie przeszedł. No to ten chudy, mój pan Dulariowski: "Nie, chęć ci mieć drewna, to teraz chęć ci mieć kłody".

Niestrudzony upór, z jakim propaganda zanudzała ludzi przypomina-
niem leninowskich cnót, wywołał reakcję ośmieszania tej ogłupiającej
chwalby:

W szpitalu psychiatrycznym przesłuchują półgłówa:

- Nazwisko?
- Eeeee....
- Imię?
- Eeeee...
- Chcicie czegoś?
- Meeee...
- Jaki mamy rok?
- Rok Wielkiego Jubileuszu!

Przed autobusem wiozącym szkolną wycieczkę przebiega zajęczek. Pani woła
do dzieci:

- Patrzcie, dzieci, patrzcie! No, co to było?
- Żadne z dzieci nie wie.
- No, a o kim śpiewaliśmy niedawno piosenkę? - podpowiada pani.
- Dziadzio Lenin! - wołają chórem dzieci.

Radio Erewań wyczerpująco odpowiada na kolejne pytanie:

- Dlaczego tyłu dyrektorów zostało zdjętych w okresie poprzedzającym
Leninowski Jubileusz?

- Poprzęginali pały: wytwórnia pomników zaprojektowała monument nazwany
"Wytrysek Lenina", fabryka mydła rzuciła na rynek "Leninowskie toaletowe do pieleg-
nacji intymnych części ciała", nakłady perfumeryjne wodę toaletową "Leninowski
Aromat", i talk "Prochy Lenina", wytwórnia zabawek małe mauzoleum z guziczkami -
- naciskasz guziczek i wylatuje trumienka ze Stalinem, producent zegarków wypuścił
nowy model w kształcie wozu opancerzonego z Leninem zamiast kukułki - przechodzi
pora bicia godzin, Lenin wyskakuje na dach, zaciera ręce i woła: "Towarzysze!
Revolucja proletariacka, o której marzyli bolszewicy, dokonana się... ku - ku!".
Fabryka mebli oferuje trzyosobowe łóżo nazwane "Lenin zawsze z nami", dostawca
drobni rozprawdza "Jaja Lenina" /kurze jajka z pieczątką przedstawiającą Lenina/,
w sklepach z materiałami piśmiennymi zwykle wieczne pióro nazwane "Piórkim Lenina",
a w wesołym miasteczku otwarto strzelnicę imienia Fanny Kaptan.

Oficjalna propaganda tworzy wokół Lenina mit o nieskazitelnym
życiu osobistym, który ma opromieniać również jego najbliższych przy-
jaciół i towarzyszy walki, zwłaszcza Krupską i Dzierżyńskiego. Lenin
w urzędowej legendzie jest ascetyczny i wstrzemięźliwy. Szeptany dow-
cip, odwrotnie, przypisuje mu różne dewiacje seksualne.

- Powiedzieć no, Jakowie Michajłowiczu, czy to prawda, że Feliks Edmundowicz
oddawał się podczas zstania grzechom onanizmu?

- Ależ skąd, Włodzimierzu Iljiczu, studiował tam "Kapitał"!

- A to głupio robił, stary, bardzo głupio. To najstarszy sposób na miłe
spędzenie czasu. I zapewniam was, że to wcale nie odciąża człowieka od działalności
rewolucyjnej. Tylko na miłość Boską nie mówcie nic Nadziedzie Konstantinownej,
to kobieta o tak czystej duszy.

Wykorzystywany jest każdy sposób, by w anegdocie ściągnąć Lenina
z piedestału, na którym umieszczą go oficjalna propaganda:

Zastużony działacz partyjny śnił się swoimi wspomnieniami o Leninie:

- Było to podczas II Zjazdu Partii. Idę sobie, na przeproszenie, do toalety,
aż tu nasz Wielki Przywódca staje tuż obok mnie. I nie prosi za toaletą swoją matę
potrzebną, i spogląda na mój trykot, a ja mówię: "Jak było, to w łazience!
Taki jest nasz wielki przywódca".

Wiele dowcipów nakreśla bezlitosny charakter Lenina, cechę niezbyt szeroko znaną, ale widoczną bardzo wyraźnie w jego listach, mowach i depešach z okresu wprowadzania władzy sowieckiej.

- *Josipie Wissarionowiczu, czy dla dobra rewolucji rozstrzelalibyście 10 ludzi?*

- *Ależ oczywiście, Włodzimierz Iljiczu!*
- *A potrafiłbyś tak, stary, rozstrzelać 10 tysięcy ... au..?*
- *Naturalnie, że tak, Włodzimierzu Iljiczu!*
- *A powiedz mi, stary przyjacielu, gdyby dobro sprawy wymagało rozstrzelania 10 milionów ludzi? Byłbyś w stanie? - tu Lenin chytrze mruga oczu.*
- *Z całą pewnością, Włodzimierzu Iljiczu!*
- *O nie, przyjacielu, nie byłbyś w stanie, bo wtedy już my sami zajęlibyśmy się tobą!*

Teoretyczny "klasowy humanitaryzm" Lenina, który w praktyce stał się przyczyną przelania rzeki krwi, znalazł odbicie w cynicznym dialogu, dającym ponadto dowód głębokiej wiedzy o wrogim stosunku Lenina do chłopstwa:

Do Lenina przybywa przedstawiciel rolników.

- *Dzień dobry, towarzyszu delegacie, siadajcie! Jesteście oczywiście biedniakiem?*

- *No, chyba nie, Włodzimierzu Iljiczu, mam przecież konia.*
- *Aha, konia. To zapewne jesteście, towarzyszu, średniakiem?*
- *Chyba tak można powiedzieć, Włodzimierzu Iljiczu, bo mam co jeść, i ja, i dzieci, mamy buty, więc chyba tak... Właściwie to mamy dwa konie.*
- *Ach, tak... Wobec tego jesteście, towarzyszu, kułakiem?*
- *No, można by i tak powiedzieć. Kapuśniak jemy codziennie i dzieci mają się w co ubrać, więc czasem wiejskie parobki pokrzykują do mnie: "Hej, ty, Afanasjew, z ciebie to jest kułak!"*

- *Aha, no więc kułak. Pomyślmy. Dwa konie, dzieci chodzą w butach. Kułak! Feliksie Edmundowiczu, proszę rozstrzelać tego towarzysza!*

- *Oczywiście, Włodzimierzu Iljiczu, ale jest już pora obiadu. Rozstrzelamy go po obiedzie.*

- *O, nie! Rozstrzelał natychmiast! A obiad, co miał być dla niego, oddajcie biednym, głodnym dzieciom!*

Może najokrutniejszym i przepojonym największą pogardą dowcipem na temat Lenina jest poniższy, popularny monolog, zaczerpnięty rzekomo z pamiętników Nadieždy Konstantinowny Krupskiej / w opracowaniu dla dzieci/:

Kochane dzieci! Wszyscy znamy wielką dobroć Lenina. Opowiem wam o nim historijkę. Pewnego razu Włodzimierz Iljicz miał się właśnie golić, gdy tuż obok niego znalazł się mały chłopczyk. Lenin właśnie ostrzył brzytwę i przyglądał się chłopcu. Potem Lenin ogolił się, umył pędzel, znowu naostrzył brzytwę, i przez cały czas przyglądał się chłopcu. Następnie wytarł brzytwę i... schował ją do futerału! A pomyślcie, przecież mógł chłopczykowi poderznąć gardło i nie poderznąć!

Pozorna absurdalność owego "mógł przecież chłopczykowi poderznąć gardło" w opowiadaniu dla dzieci przestaje zadziwiać człowieka, który zada sobie fatygę uważnego przeczytania telegramów Lenina, rozkazujących skonfiskować całe zboże chłopom przeciwnym władzy bolszewickiej, a więc skazujących dzieci tych chłopów na śmierć głodową.

Nasza krótka wycieczka po światku sowieckich dowcipów o przywódcach zażenocowała stałe dążenie do odbrązowienia tych "wybitnych

jednostek" wbrew oficjalnemu kultowi. Peźna analiza *Woźdźady* w ramach artykułu nie jest możliwa, wydaje się jednak, że stanowi ona coś więcej niż kląpę bezpieczeństwa dla bezsilnego gniewu, który nie może znaleźć ujścia w rzeczywistym działaniu. Jest to także próba zachowania, nawet w najbardziej przerażających okolicznościach, zdolności do trzeźwej obserwacji i oceny tego, co przynoszą wydarzenia. W tym sensie żart polityczny nie odnosi się tylko do rzeczy przeszłych i obecnych, ma także znaczenie dla przyszłości.

Dora Sturman

JOSEF ŠKVORECKÝ

SPRAWA Z NOVAKIEM

*Fragment powieści "Przypadki inżyniera ludzkich dusz".
Tytuł pochodzi od redakcji.*

Moja znajomość z Milanem zaczęła się od afery i nie jest wykluczone, że na aferze się skończy. Po siedmiu latach pobytu na Zachodzie człowiek odzwyczajają się od przydatnej właściwości, którą towarzysz prezydent Gottwald wbił w podświadomość narodu pod nazwą czujności bądź bacności. Kiedy tego dnia późnym popołudniem wróciłem z uczelni do domu, telefoniczny lokaj przekazał mi czeską wiadomość. Mężczyzna, który podyktował wiadomość, był najwyraźniej speszony tym osiągnięciem techniki. Powinienem był zwrócić uwagę na wahanie w jego głosie, całkowity brak słówek z repertuaru Debilinki, nawet cień wschodnioczeskiego akcentu. Nie byłem już jednak ani czujny, ani bacny i wszystko to zaobserwowałem, kiedy cała afera była już w toku i kiedy zmuszałem lokaja, by wciąż na nowo powtarzał mi: *"Mówi Novak. Ja... ja bym bardzo chciał... czy mógłbym z panem porozmawiać. Jestem... tu na kilka dni i mieszkam w hotelu Hilton... Przepraszam, że... czy byłby pan tak uprzejmy i zadzwonił do mnie... jak... to.. do widzenia"*.

Nie zostawił numeru pokoju. Mogło by to nie być potrzebne, gdyby dzwonił z oberży "Pod lwem" w Zdicach, ale ponieważ chciał się ze mną połączyć z jednego z czterystu siedemdziesięciu pokoi hotelu Hilton, więc powinno mi to coś powiedzieć. Nie powiedział, a najpopularniejsze w Pradze nazwisko naturalnie też nie. Lekkomyślnie uznałem, że pewnie to jakiś czytelnik książek z wydawnictwa pani Santherovej, która - jak to się czasem zdarzało - przyjechała służbowo do Toronto i zaprasza mnie do hotelu na drinka. Free drink zawsze był nie do pogardzenia. Nakrećkiem wobec tego numer Hiltona i spytałem recepcjonistę, w którym pokoju mieszka Mr. Novack. Trwało to chwilę, ale w końcu odpowiedział:

- Room 3316, sir.

Słyszałem, jak na trzydziestym trzecim piętrze dzwoni telefon, ale nikt nie podnosił słuchawki. Po chwili recepcjonista zameldował:

- I'm sorry, there's no answer, sir.

A ja zamiast podziękować, odłożyłem słuchawkę i dzwonić w odstępach godzinnych - za darmowego drinka to by się opłacało, zwłaszcza, że prawie nigdy nie kończy się na jednym, a czytelnicy nie żałują grosza - zostawiłem w recepcji swoje nazwisko i numer telefonu i poszedłem popływać w basenie bejzntu naszego hajrajzu /jak mawiała Debilinka/ przy Wallesley Street 100.

Kiedy wróciłem, zadzwonił telefon.

- Halo?

- No... Tu Novak.

- Dzień dobry.

Czekałem, co Novak ma na sercu. On najwyraźniej też. Stale się jeszcze nie połapałem. Po dłuższej przerwie powiedział zmieszany:

- Pan... pan do mnie dzwonił? Miałem wiadomość w recepcji...

- Tak. A ja miałem tu wiadomość od pana.

- Ode mnie?

- Szur. Pan Novak. Hotel Hilton.

- Ale ja... ja do pana nie dzwoniłem - a potem szybko, z absurdalnym wyrazem szacunku. - Ja oczywiście znam pana, panie Smitziky. Czytałem wszystkie pańskie książki... te, co pan wydał na emigracji też. U nas to idzie z rąk do rąk. Ludzie to sobie przepisują...

Wreszcie zrozumiałem, tak nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie w czasie wojny wyleciał w powietrze magazyn Velcla. Zrozumiałem też, że może to mieć podobne konsekwencje, choć może nie tak drastyczne, bo jednak nie ma wojny. Zrobiło mi się słabo. Pochlebnie wysłki pana Novaka z Pragi nie sprawiły mi radości. Prawie krzyknąłem:

- Chwileczkę! Pan jest z Pragi?

- Nie... ja jestem z Litomierzyc. Jestem tu z wycieczką.

Bardzo pilnie, lecz za późno starałem się złapać byka za rogi. Myśli latały mi po głowie z ponaddźwiękową szybkością, ale wszystkie nic nie warte. Nie wpadłem na nic innego, niż na głupie:

- Więc pan do mnie nie dzwonił?

- Skądże. Ja bym się nie ośmielił... Ja tu znalazłem wiadomość, na dole, przy kluczach...

Pan Novak zawahał się i doszedł do równie logicznego wniosku, co ja:

- Zaraz, zaraz, mistrzu... to jest pomyłka! Tu z nami przyjechał jeszcze jeden Novak i tamten chyba jest z Pragi. Ja go nie znam, ale mogę go ostrożnie wybać...

- To... to bardzo miłe z pańskiej strony - powiedziałem mdło, a beczki z benzyną przylatywały do mnie na drugą stronę Atlantyku z dawnych czasów, z czasów, które w starym kraju nigdy właściwie nie minęły. - Dziękuję panu.

- Nie ma za co - i Novak rozgadał się ochoczo i usłużnie, a moja zapomniana czujność obudziła się wreszcie z podwójną czy potrójną siłą. Prawił mi stale komplementy, z niewlarygodnym respektem dla ludzi pióra. - Było mi bardzo przyjemnie, Mistrzu, że dane mi było z panem rozmawiać. I bardzo proszę... - zrobił małą pauzę, po czym powiedział tak patetycznym tonem, że oblał mnie zimny pot - ... bardzo proszę, niech pan tak dalej pracuje. Bardzo tego w kraju potrzebujemy!

Odłożyłem słuchawkę. Ręce mi się trzęsły. Wróciłem do starych czasów, do klasycznego dylematu ludowych demokracji.

x

Czy szpiclem jest Novak numer jeden /ten, który mi zostawił wiadomość/, czy Novak numer dwa /ten, który przez pomyłkę dostał moją kontr-wiadomość/? Nie zastanawiałem się natomiast nad powodami, dla których ten pierwszy /jeśli jest szpiclem/ ma mnie szpiclować. Dawno już doszedłem do wniosku, że informatorzy służby bezpieczeństwa uprawiają jakiś wariant sztuki dla sztuki. W dodatku mocno sformalizowany, więc powoli zmienia się to w sztukę schematyczną. Formuła art.

Siedziałem w fotelu z podwójną albo potrójną ostrą Szkotką /jak by powiedziała Debilinka/, ręce mi się tak trzęsły, że pochłapałem sobie koszulę i zapewne śmierdziałem jak wajnos na skidrov /Debilinka/. W ostatnich dwóch latach odwiedziło mnie ich siedmiu, a technika wykazywała wyraźną paternę /znów Debilinka, ale ona używała tego słowa tylko w odniesieniu do materiałów na suknie damskie/. Więc odbywa się to tak: telefon dzwoni, odzywa się głos: "Dzień dobry, tu Iksie-rek. Mistrzu, ja jestem emeryt, przyjechałem do córki do Toronto. Czy mógłby pana odwiedzić, Mistrzu? Nie zajmę dużo czasu. Mam dla pana wiadomość od pana Vaculika". W tym miejscu paternna trochę się różni: raz jest to Vaculik, innym razem Havel, czasem Suchy, rzadko Hrabal, nigdy Kohout. To pierwszy ślad, bo oni wiedzą, że akurat Kohout nie miałby mi do przekazania żadnych wiadomości. /Występuje, jak mawiają tutejsi profesorowie thinly disguised, w zbyt wielu moich książeczkach. Nie dlatego, że bym go nienawidził; raczej go lubię. Ale co zrobić, on ma taką przeszłość, że difficile est. A ja na także rzeczy jestem łasy; wolałbym chyba zabić własną matkę, niż oprzeć się pokusie./ Więc ponieważ już wiem, albo przynajmniej wydaje mi się, że wiem, o co chodzi, mówię: "Proszę, niech pan przyjdzie". Przychodzi emeryt, rozgląda się, nalewam mu wiskacha /Debilinka, która jest lekko zwiskachowana/. "Więc co mi chce przekazać pan Vaculik?" Oczywiście z góry już to dokładnie wiem. Emeryt pije dla kurażu: "Pan Vaculik prosił, żeby pana pozdrowić". - "Bardzo dziękuję. A czego ode mnie chce?" - "No...", emeryt się waha, to znaczy: albo toczy wewnętrzną walkę, czy ma powiedzieć, co mu kazali - że na przykład Vaculik proponuje mi przesłanie tajną pocztą rękopisów z Pragi, albo że mnie prosi o pomoc finansową za pośrednictwem pewexu - albo nie wie, co ma wymyśleć. W tym drugim przypadku kapitułuje; znów sobie łyknie, często do samego dna, bo w domu jest przyzwyczajony do słiwowicy. "No...", mówi z wahaniem, "on po prostu chce pana pozdrowić". - "Pan zna Vaculika?" - "No, właściwie to nie. Ja go tylko przypadkiem spotkałem..." Tu następują trzy warianty: na meczu, w knajpie "U Pinkasów" albo w saunie /Nie wiem, czemu akurat w saunie. Wydaje się, że zakazani pisarze są tam częstymi gośćmi. Może mikrofony są tak zawilgocone, że nie można zrozumieć nagrań?/. Gość ciągnie dalej: "I zgadał się, że jedą do córki do Toronto, no to wtedy pan Vaculik /Havel, Suchy, Hrabal - ten ostatni jednak nigdy w saunie, tylko "U Pinkasów" -

- są dobrze poinformowani/ poprosił mnie, żebym pana pozdrowił". - "bardzo dziękuję".

Dolewam whisky. Albo ten wiskacz, do którego facet nie jest przyzwyczajony /zwłaszcza strejt/, albo zakamuflowana i powstrzymywana ochota wulgarnego wyklinania tzw. "sztosunków w kraju", albo też próba captatio benevolentiae - rozwiązuje język emerytowi, który przez następne pół godziny w straszliwy sposób obgaduje i oczernia reżim. Słuchając go można by odnieść wrażenie, że towarzysz Štrougal ma długą czerwony język, towarzysz Bilak ukryty w spodniach ogon, towarzysz Husak śmierdzi siarką, a ludzie żyją w warunkach podobnych do przedmiotu kazań ojca Arnalla. Emeryt strasznie cierpi z powodu braku swobód intelektualnych, a zwłaszcza literackich. Po pół godzinie strumień żalów wysechł, albo też mówca stwierdza, że nie pozyska mojego zaufania i zwiskaczowany wytacza się na wesołą torontską ulicę.

Czy mówił prawdę? Czy istotnie odtłuszczał się w saunie z dość potężnie zbudowanym Vaculikiem? Czy tylko chciał się pochwalić kompanom spod ciemnej gwiazdy, że zdobył się na tak niebezpieczną wizytę u emigranta? A może okupił swój wyjazd do Kanady obietnicą, którą w ten oto niezaangażowany sposób pro forma spełnił?

Nie wiem. Wiele bym za to dał, żeby wiedzieć. I mężczy mnie to.

Tylko, że teraz - zastanawiałem się tego dnia pogrążony w fotelu, tępo wpatrując się w lśniące morze dauntaunu - teraz nie chodzi o to, czy jakiegos rencistę opieprzą w ubeckiej centrali. Z tego może być poważna afera. A ja będę miał na swoim sumieniu jednego z tych dwóch Novaków. Jeśli szpiclem jest Novak nr 2, to Novak nr 1 jest w niebezpieczeństwie. Jeśli natomiast szpiclem jest Novak nr 1, a Novak nr 2 spełni obietnicę, że go wybada, to on właśnie może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jedyna nadzieja, że ani jeden, ani drugi nie są szpiclami, albo - co jeszcze bardziej prawdopodobne - że szpiclami są obaj.

W tym momencie znów zadzwonił telefon.

- Halo?

- Dobry wieczór. Mówi Novak. Ja już raz do pana dzwoniłem, ale pan miał włączony taki... magnetofon...

Czyli Novak nr 2 nie zdążył go jeszcze wybadać. Szybko umawiam się z nim w knajpie Bill's Place, niedaleko hotelu Hilton. Twierdzi, że mnie pozna. Ale nie powiedział do mnie Mistrzu. Szpicel? Czy nie?

W Bill's Place czekam nerwowo ze dwadzieścia minut. Amerykańskim zwyczajem panował tam półmrok, a ja usiadłem przy stoliku w rogu. Niczym w Pradze natychmiast się przestraszyłem. Dokładnie na wprost mnie przy kilku stolikach siedziało z piętnastu młodych ludzi, jednako długowłosych i odżinsowanych; pili piwo i uporczywie wpatrywali się prosto we mnie. Poczułem się niczym w teatrze absurdu, jak w sztuce, którą chyba znów musiał napisać Havel w trutnowskim browarze. Znów zaczęły mi dygodać ręce. Siedziałem jak królik pod obstrzałem piętnastu niezdefiniowanych, lecz nieruchomych spojrzeń. Coś za mną trzasnęło - znany dźwięk uderzenia twardej pięści w twardego podbródek - więc odwróciłem się i natychmiast absurd zmienił się w amerykański realizm. W rogu sali na stoliczku, tuż nad moją głową, stał telewizor. Ta kanadyjska brygada kulturalna zabijała czas gapiąc się na seryjną przemoc.

Kamień spadł mi z serca i następne dwadzieścia minut zabawiałem się obserwacją gapiących się młodzieńców, z których część okazała się jednak zakamuflowanymi panienkami. Po chwili pojawili się bezbłędnie rozpoznawalni, trochę ostrzyżony pan Novak, niosąc pod pachą papierową torbę z napisem Supraphone. Nie był jednak sam. Za nim wszedł inny ostrzyżeniec. W pierwszej chwili pomyślałem, że obaj Novakowie się porozumieli, ale ten drugi nazywał się Fikejz.

Usiedli, zamówiłem drinki i przez chwilę milczeliśmy. Ponad naszymi głowami skamieniali młodzi ludzie obserwowali jak rewolwerowcy z mafii z odległości pięciu kroków nie mogą trafić stopięćdziesięciokilogramowego Cannona. Potem pan Novak wziął z kolan torbę Supraphonu i podał mi ją:

- Ja panu przyniosłem taki drobiazg... może się panu przyda...

- Jezus Maria, dziękuję! - spojrzałem na nowiutką, pewnie wystaną w kolejkach /o ile nie był to szpicel/ płytę Suchego *bukiet*. - Strasznie dziękuję, to wspaniałe! - cieszyłem się, nie wspominając, że w domu mam już trzy egzemplarze. Stale są jeszcze w Pradze dobrzy przyjaciele, którzy znają moją słabość do teatryku Semafor, a zwłaszcza do jednej, obecnie już rzadko tam śpiewającej, piosenkarki.

- Bo to jest w zamian za tę płytę - powiedział pan Novak - którą pan wtedy... którą pan wtedy z mojej winy stracił.

Straciłem płytę? Z jego winy? Spojrzałem na niego uważnie, ale pięćdziesięcioletnia twarz szeregowego obywatela niczego mi nie powiedziała.

- Pan już pewnie nie pamięta - ciągnął dalej, a jego akcent przypominał mi rodzinne strony. - My właściwie tylko raz się widzieliśmy. Ja miałem tę płytę pożyczoną od Haryka, który pożyczył ją od pana... I've Got a Guy... puszczałem ją na lodowisku i Cech wpadł do kabiny, i mi ją zabrał, i...

/.../

- ... i pan musiał go potem z Limem przekupić koniakami. Zaraz potem wzięli mnie na roboty do Rajchu, więc chyba mnie pan nie pamięta...

Miałem intensywne odczucie Boskiej obecności, a Pan Bóg lubi żarty. Pamięć Novaka była zrozumiała: ja przez ten czas stałem się znany, więc przypomniał sobie o stracie płyty na zawsze, gdy tylko natknął się na moje dość często drukowane nazwisko. Z mojej pamięci historia ta wyłaniała się tylko wtedy, gdy wspominałem Kostelec. Ale w Kostelcu było przecież tyle różnych wspomnień. I teraz właśnie odczułem dotyk żartobliwej i złośliwej Boskiej interwencji. Surrealistyczne wrażenie, a więc poczucie Prawdy. Wzruszyłem się.

- Panie Novak - powiedziałem. - Mnie jest strasznie przykro, ale możliwe, że na odmianę ja teraz przysporzyłem panu kłopotów.

I opowiedziałem mu całą historię z telefonicznym lokajem.

Trochę zbladł, ale się opanował. Ja jednak z doświadczenia wiedziałem, ile kosztuje taki udawany spokój i całą moją duszę wypełnił ogromny, bezsilny żal.

- Zaraz, zaraz... - mówił lekko drżącym głosem. - Który to może być?...

- To chyba ten łysy - wtrącił się do rozmowy Fikejz. - Co stale opowiada, że prowadzi trening dziewczyn na Spartakiadę. Ten co wczoraj kupił *Playboy'a*.

Kupno *Playboy'a* mogło łatwo tłumaczyć obsesyjne gadanie o treningu na Spartakiadę. Ale Novak jeszcze bardziej się zdenerwował. Szef wykszolenia na Spartakiadzie... z drugiej jednak strony fultajmowi szpicie /Debilinka/ nie byłiby chyba tak sprytni.

- Acha, ten... - mruknął. - Ty, zaczekaj, ale on w Toronto też miał do kogoś dzwonić... do jakiejś siostrzenicy, która ma syna w *Głosie Ameryki*. Opowiadał o tym Matatce...

- To może być kamuflaż. Matatko go zna?

- No, nie. Dopiero z wycieczki.

- Tak... cholera...

W Colonial Tavern grał akurat Karl Hines. Zaproponowałem, byśmy poszli go posłuchać w nadziei, że spojrzenie na żyjącą legendę swingu pomoże im choć na chwilę się rozgrzać i zapomnieć o czechosłowackim problemie, sprowadzonym przez Čedok do Kanady.

Ale Novak nie zapomniał. Napompałem go ogromną ilością sody i whisky, lecz mimo to zachwycając się w słowach powerhouse Hinesa, myślami był zupełnie gdzie indziej. Wiedziałem gdzie. We wspomniałym czeskim kraju okrytym ciemnością.

Milan Fikejz też pewnie tam tkwił myślami. Nie wypowiadał się na temat Hinesa, milczał i pił szkocki gelbgespritz. Kiedy około północy zbieraliśmy się do wyjścia, ni stąd ni zowąd powiedział:

- Jarek - zwrócił się do Novaka. - Ja tu zostanę!

Oczywiście nie chodziło mu o to, że chce zostać w Colonial Tavern aż do rana. Jeszcze tej nocy wyniósł z hotelu walizkę i dał mi ją na przechowanie. Następnego dnia przyszedł po nią z informacją, że nie udało im się niestety sprawdzić, czy drugi Novak jest szpiclem. Znowu opanowały mnie smutek, rozpacz i bezradność. Wziąłem Milana na manpaur i pomogłem mu wydebić pozwolenie na pracę na jeden rok. Potem wróciłem na uczelnię i przez długi czas w nocy budziło mnie smutne wspomnienie człowieka, który przez ocean wody i czasu przyniósł mi rekompensatę za dawno zapomnianą płytę, i któremu nie byłem w stanie pomóc.

tłum. B.K.

B. CH.

PAMIĘTNIKI O PIECZONYCH GĘSIACH

Strona i mir, nr 1-2, 1985

Ubogie kazachskie wydawnictwo *Chazuszy* wypuściło zadziwiająco w swoim rodzaju książkę. Miejscowy dziennikarz, Piotr Piotrowicz Gawrilenko, opowiada w niej o swoich spotkaniach z Michaiłem Szołochowem. *"Niejeden dzień - powiedziano w nocy wydawniczej - spędzili oni razem w sezonie łowieckim nad brzegami jezior, czy też siadali z wędkami nad odmętami głębokich wód Uralu. Niejeden raz Michaił Aleksandrowicz gościł Gawrilenkę w stacji Wieszczenskiej"*. Trzeba wziąć pod uwagę szczególną rolę i stanowisko Szołochowa, żeby ocenić wartość tych zapisków. Szołochow nie był po prostu wybitnym pisarzem. Był kariatydą podpierającą majestatyczny fronton pompacyjnej budowli, która nosi nazwę kultury sowieckiej. Służył jako dowód, że kultura ta osiągnęła standardy światowe, był jej dumą i symbolem. Ale jaki człowiek skrywał się pod tym imieniem, wiedzieli tylko nieliczni.

Wydawało by się, że po jego śmierci powinna być zostać opublikowana cała spuścizna twórcza: utwory niedokończone, warianty, brudnopisy. Powinny ukazać się wspomnienia współczesnych i osób mu bliskich. Tak zwykle bywa, kiedy odchodzi pisarz wielki: każda linijka napisana jego ręką i każdy szczegół jego ludzkiego oblicza stanowią droгоценną wartość dla potomnych. Nic takiego nie miało miejsca. Szołochow pozostał po śmierci osobistością tak samo zakonspirowaną, jaką był za życia.

Nie chodzi o to, żebyśmy odczuwali niedostatek artykułów i książek na temat Szołochowa. Cała ta literatura nosi jednak charakter nadzwyczaj oficjalny. Michaił Szołochow został już dawno zrównany z takimi osobami jak członkowie Politbiura, marszałkowie czy fizycy jądrowi - naród musi ich znać z portretów, które zupełnie jak portrety sędziów u Kafki, są całkowicie różne od rzeczywistości. Nawet samo prawo malowania takich portretów jest przywilejem osobnej kasty malarzy dworskich.

I oto nagle w dalekiej Ałma-Acie ukazuje się ta książeczka. Nawet nie warto mówić o tym, że jej autor był daleki od chęci poniżenia Szołochowa jako pisarza i człowieka; wręcz odwrotnie. Jego książka dyszy już nie szacunkiem nawet, ale jakąś niewolniczą czcią i psim przywiązaniem, co widocznie odzwierciedla rolę, którą *"skromny agronom z Połtawszczyzny"* - jak przedstawia się Piotr Gawrilenko - grał na książęćmych dworze w Wieszczenskiej. Książka wyszła za życia Szołochowa i z pewnością była przezeń przejrzana; na pewno ją zaaprobował. Wreszcie, nie należy wątpić, że przeszła przez ręce paru redaktorów i przedczono ją przez kilka sit. A jednak zaznajomienie się ze wspo-

mnieniami Gawrilenki przekonuje, że mamy do czynienia z widocznym niedopatrzaniem zwierzchności. W stolicy taki numer nigdy by nie przeszedł.

Książeczka składa się z dwóch części. Pierwsza opowiada o twórczej i społecznej biografii Szołochowa. Wybitny pisarz, członek KC KPZS, deputowany do Rady Najwyższej, dwukrotny Bohater Pracy Socjalistycznej, trzykrotny laureat, pięciokrotny kawaler Orderu Lenina i tak dalej. Cała ta część nosząca patetyczny tytuł *Jak kwiatek stepowy...* została przepisana z podręczników i jako taka nie wywiera żadnego wrażenia. Jest w niej jednak element niezwykły, wspomina o czymś, o czym nie wolno było przypominać od momentu kanonizacji Szołochowa. Oryginalność i odwaga autora sięga tak daleko, że decyduje się on na opowiedzenie historii oszczerstwa, które oczerniło młodego romanistę jeszcze w końcu lat dwudziestych - był podejrzany o plagiat. Pochodzenie tego oszczerstwa jest zupełnie jasne: powielali je wrogowie władzy sowieckiej, ludzie pełni zawiści, ludzie o podejrzanych nazwiskach, trockiści i rappowcy^x. Za to Gorki, kiedy dowiedział się o ukazaniu pierwszego tomu *Cichego Domu*, powiedział: *"Cholerne utalentowana Ruś"*. Wrogowie nie ustępowali. Oskarżali Szołochowa o to, że z sympatią opisywał kontrrewolucjonistów. Ostatecznie o losie powieści za decydowało spotkanie Michaiła Aleksandrowicza z towarzyszem Stalinem w czerwcu 1931 roku w dacy Gorkiego pod Moskwą. Podumawszy i puściwszy kilka dymków z fajki, wódz powiedział twardo: *"Będzie drukować trzeci tom "Cichego Domu"!"*. Na jakiś czas działacze RAPP-u przycichli. Ale potem znów się zaczęło. Znowu zrobił się bigos, historia zupełnie ciemna, o której Gawrilenko opowiada wyjątkowo niewyraźnie. Już w połowie lat trzydziestych, do sprawy ponownie wniósł się Stalin. W tym miejscu autor stawia wieloznaczne zdanie: *"Inicjatorzy prowokacji otrzymali to, na co zastąpili"* - po czym wszystko ostatecznie się uspokoiło.

Wyłożywszy jakoś z pomocą redaktorów całą tę pogmatwaną historię, w której wyraźnie sam nie jest w stanie się rozeznać, powinien był autor postawić kropkę i przystąpić do głównego tematu swojej książki. Ale nie wytrzymał i widocznie za czyjąś zgodą, o ile nie na czyjeś polecenie, opowiedział czytelnikom o tym, co do tego czasu było ścisłą tajemnicą państwową. Okazuje się, że zabójcze wpływy rappowców nie zostały wykorzystane do końca. Oszczercy ponownie podnieśli głos w latach siedemdziesiątych. Niestety, nie ma już wśród żywych towarzysza Stalina i nikt nie stanie w obronie szkalowanego. Tym razem atak na Szołochowa przypuścili odszczepieńcy z obozu rosyjskiej emigracji. Mało tego: podejrzania rozprzestrzeniały się nie tylko za granicą, lecz także *"wśród niektórych pisarzy ZSSR"*.

W tym miejscu autor wspomnień jakby zapomniawszy o tym, co opowiadał przed chwilą, wyjaśnia: *"Słuchy o plagiacie pojawiły się jeszcze w 1928 roku... W tym czasie oskarżenia zostały obalone przez przedstawicieli RAPP-u jako złośliwa potwarz"*. Czy ma to oznaczać, że potwarz uzyskuje w ten sposób pośrednie potwierdzenie? Przecież, jeśli rappowcy, jak nam do-

^x RAPP [Russkaja Asocjacija Proletarskich Pisatelej] - Rosyjski Związek Pisarzy Proletariackich założony w 1925 roku, m.in. przez Leopolda Awerbacha i Aleksandra Fodiejewa. W latach 1929-1932 sprawował dyktatorską władzę nad literaturą sowiecką. Rozwiązany w 1933 roku, podobnie jak pozostałe organizacje pisarzy w ZSSR w związku z utworzeniem jednolitego, podległego partii Związku Pisarzy. Członkowie RAPP-u znani byli z politycznego fanatyzmu, uważali, że zadaniem literatury jest służba interesom proletariatu. /red./

wodził autor, sami są oszczercami, wrogami i ludźmi przepełnionymi uczuciami zawiści, to jaką wartość posiadają ich zaprzeczenia? Trudno to pojąć. W każdym razie i na tych stronach czytelnik w ZSSR znajdzie wiele nowego - to znaczy tego, o czym już dawno wiadomo na całym świecie. Dowie się na przykład o tym, że za granicą dostatecznie szczegółowo analizowano hipotezę, według której *Cichy Don* został napisany przez zmarłego w 1920 roku Fiodora Kriukowa - "*pisarza białogwardyjskiego*", jak zaznacza Gawrilenko, choć Mała Encyklopedia Literatury w haśle o Kriukowie tego nie stwierdza. Czytelnik dowie się też o książce literaturoznawcy sowieckiego D., który wysunął taką wersję. Co prawda o innym, bardziej znaczącym dziele - monografii Roja Miedwiediewa, który doszedł do wniosku, że autorstwo *Cichego Donu* powinno być przyznane trzem osobom /w tej liczbie także Szołochowowi/ - Gawrilenko nie wspomina; ale dzięki mu i za to, co tak lub inaczej zdołał bąknąć. Pierwsza część książki *Michał Szołochow - nasz współczesny* kończy się ekstatycznym wystawianiem wielkiego pisarza. Teraz nie ma już żadnych wątpliwości, czy jest on rzeczywiście wielki i jedyny w swoim rodzaju. Jest autorem *Cichego Donu*, *Zaoranego ugoru* i opowiadania *Los człowieka*. Nie na próżno dano mu nagrodę Nobla.

Przystępujemy do drugiej części. I tu oczekuje nas wielka niespodzianka. Rzecz w tym, że ta część, która poświęcona jest wspomnieniom we właściwym znaczeniu tego słowa, i która odmalowuje oblicze Szołochowa takiego, jakim był on naprawdę, a nie takim jakim widziano go na trybunach i portretach, otóż ta część - żeby wyrazić się najdelikatniej - jakoś nie koresponduje z częścią pierwszą. Innymi słowy, nie pozostawia ona wrażenia, że mamy do czynienia ze znakomitym pisarzem i wielkim człowiekiem. Raczej odwrotnie. Dziwnym trafem książeczka Gawrilenki zamiast przekonać czytelnika, że plotki rozsiewane przez wrogów nie są oparte na niczym, umacnia go w podejrzeniu, że być może nie powstały one tak bez powodu.

Oczywiście każdy widzi to, co jest w stanie zobaczyć. Jak kicia w znany wierszu Marszaka, tak samo autor wspomnień mógł niedojrzeć w pałacu królowej niczego, oprócz myszy na dywanie. Ale w takim wypadku należałoby przyjąć, że wspomnienia Gawrilenki są od początku do końca zmyślane. Bo na każdej stronie tych dziwnych wspomnień "*wziątek stepowy*" nie tylko nie wywołuje zachwytu, nie odpowiada ideałowi, do którego przygotowywał nas pamiętnikarz, a często po prostu nie wydaje się być czwókiem inteligentnym. I to pomimo tego, że starannie go przeczesywała, podstrzygała i retuszowała brigada redaktorów i cenzorów, a na końcu zaakceptował sam bohater.

Pierwsza wizyta u Michaiła Aleksandrowicza:

"O oznaczonej porze udaję się do Szołochowa. Spotykam Michaiła Aleksandrowicza na ganiku.

- A, towarzyszu Gawrilenko! Wejście. Mam gości - muzykantów z Uralska. /.../ Posłuchajmy ich. A w tym czasie wróci samochód z Diakowa. Postąpię do wsi, bo trzeba gości - muzykantów czymś przyjąć.

W niewielkim pokoju jest tłoczno: Michaił Aleksandrowicz, jego żona Maria Pietrowna, córki Swietłana i Masza, synowie Sasza i Misza, siostry Marii Pietrowny Polina i Anna, mąż Poliny Zajcew - sekretarz Szołochowa, dzieci. Za stołem siedzą obaj muzycy - krepny, starszy mężczyzna ze skrzypcami, w którym rozpoznaję uralskiego regamistrza Sotodomiłowa, a obok niego wysoki blondyn z akordeonem, imienna wojenny. Obecny jest także pracownik rejonowego komitetu partii Iliezew, który przyprowadził gości do pisarza. "Ach, jak bardzo chcieli zobaczyć Szołochowa" - powiada.

Goście, widocznie już trochę podpięci, są bardzo ożywieni...

Zjawia się Maszeńka, czerstwa, postawna Kozaczka o czerwonych policzkach.

- Przywitaj się, Maszeńka! Wiesz kto to jest? To sam Szotochow! Znasz dziadka "Wesołka"?

Powtarza się to kilka razy. Maszeńka jest zamstydzona: "No coś ty!"

- Szotochow to mój ulubiony pisarz. Szotochow, Tołstoj, Puszkina, Zoszczenko - najprawdziwi...

Muzycy odgrywają kilka mało udanych kawałków. Szczególnie fałszywie gra skrzypek, als harmonista wzmacniając uderzenia, stara się tuszować błędy towarzysza. Po wypiciu kieliszka Sotodowników za każdym razem wykrzykuje: "Chrystus smartychwstał!" " /s. 64-65/

Wieczór w gronie rodzinnym:

"Po wieczornej, a właściwie poobiedniej herbacie, która odbywa się jeszcze przy świetle dziennym, Michaił Aleksandrowicz zaproponował spacer po Wieszniejskiej. Poszliśmy do szwagierki pisarza, Poliny Piotrowny, odwiedzić jej matkę, Marię Piodorowną /.../.

Po powrocie do domu pograliśmy trochę w "durnia" - innych gier w karty pan domu nie ma. Nie wiodło mu się. Przegrał trzy razy, co się rzadko zdarza. Potem stuchaliśmy w radio fragmentu pierwszej części "Zaoranego ugoru". Orłow czytał, jak zwykle, bardzo dobrze. /.../ Później nadawano przez radio tańce młodzieżowe.

- I my byliśmy kiedyś młodzi: chodzi, wspomniany dawne czasy - powiedział Michaił Aleksandrowicz zapraszając do walca żonę. Potem sam przeszedł dziarko do kadryla. A na koniec odtęczył żwawą melodyjną polkę. W ogóle dzisiaj pisarz był w doskonałym nastroju.

W pewnym momencie przez otwarte drzwi na wewnątrz postyszeliśmy głos dzikich gęsi... /.../

Wczesnym wieczorem po spacerze oglądaliśmy film o zwierzętach. Pokazywali, jak psy - bernardy - pomagały ratować ludzi ginących pod lawinami śnieżnymi. Kawałek filmu francuskiego: psy znalazły człowieka pogrzebanego pod lawiną. Potem na ekranie pojawił się legendarny bernard Barri, który uratował przed białą śmiercią czterdzieści osób w Alpach Szwajcarskich. Później zobaczyliśmy mężczyznę, który podczas wojny ojczyźnianej utracił wzrok. Wszędzie towarzyszy mu pies...

Potem obejrzelśmy w telewizji "Ognie cyrku". Bardzo ciekawe: gimnastycy, ekwilibryści, tańczące konie...

- Niura, a my tak nie damy rady? - zwrócił się żartobliwie pisarz do siedemdziesięcioletniej Anny Antonowny. Antonowna tylko westchnęła.

Zaczynając po śniadaniu, albo po obiedzie Michaił Aleksandrowicz czyta prasę. Rzeczy najbardziej ciekawe odczytuje na głos. Dzisiaj jego uwagę przyciągnął wydrukowany w "Prawdzie" felieton I. Szatumowskiego "O białego byczka". Jest w nim mowa o przypadkach złodziejstwa i defraudacji dokonanych przez aferzystów różnej rangi. Jeden z nich to nacelnik zarządu spółdzielczości inwalidzkiej w Azerbajdżanie. Posiada dwa /dwa i czteropokojowe/ mieszkania, wspartą dachę z dużym kawałkiem ziemi, na którym obfity plon dają mu setki drzew owocowych. Z 416 samochodów przeznaczonych dla inwalidów "na lewo" puścił ponad połowę - 226. Odkryto u niego dużo złota, platyny i innych kosztowności.

Równo trzydzieści dwa kilogramy 246,74 gramy - z oburzeniem podkreślił Szotochow.

Niedawno dostał 15 lat pozbawienia wolności w kolonii^x o zaostrzonym reżimie - poinformował na końcu felietonista.

- Za mała kara! - zachmurzył się pisarz. - Takich trzeba likwidować. Inaczej nigdy nie pozbedziemy się takich drani! " /s. 138/

x

Chodzi o tagier. /red./

"Wielu czytelników jest zainteresowanych kuchnią Szolochowów, tym co oni jedzą. Temu problemowi poświęcałem mało uwagi. /.../ Zapamiętałem tylko, że na obiad często była barszcz, gotowana wołowina lub baranina, czy też pieczone - kaczka. Niersadko podawana jest ryba: sandacz, leszcz, karaś. W ciągu miesiąca dwa razy była zupa rybna ze sterletu, którą pan domu bardzo lubi.

- Takiej nigdzie nie ma! - oznajmia z żartobliwą dumą.
To prawda - zupa istny cud. Koloru bursztynowo-słociстого, przezroczysta i smaczna.

Często bywały pierogi, zazwyczaj z twarogiem i śmietaną. Mówiło to wiele o uprzejmości pani domu, która wiedziała, że mi bardzo smakują, chociaż nikt z Szolochowów za nimi nie przepadał...

- Wczoraj na obiad był makaron z podrobami gęsimi, dzisiaj pieczone kaczki, a jutro - trzeba kupić baraninę. Nie można przez cały czas nielitościwie rabować natury, trzeba z tym skończyć!" /s. 119, 140/

"Wino - zaznacza pamiętnikarz - Pojawia się na stole Szolochowów rzadko, zwykle wtedy, kiedy odwiedzają ich goście".

Okazuje się, co prawda, że goście bywają często. Jeden rozdział nosi nawet taki tytuł: "Goście, goście, goście". Jeszcze częściej gości sam Michaił Aleksandrowicz: u myśliwych Uralska, u hodowców plemiennych Kazachstanu, u dyrektorów gospodarstw, w komitetach obwodowych i rejonowych partii, u robotników-ugorowców, u pionierów i milicjantów.

"Podezas jednej z wizyt w Uralsku Szolochow spotkał się z pracownikami komitetu partii. Wieczorem, kiedy wychodząc z komitetu zamierzał odjechać do kotłowni, podszedł do niego wysoki męczyzna w średnim wieku o postawie wojskowej.

- Życzę zdrowia, Michaił Aleksandrowiczu!
- A, starszyzna, witajcie! - odpowiedział Szolochow przyjaźnie i podał rękę poznawszy w obcym milicjanta.

- Mam do was wielką prośbę - przyjdźcie do mnie choć na pół godziny.

- Co, jakaś ważna sprawa?
- Właściwie nie szczególnego. Po prostu... Z całego serca proszę... Już minęło parę lat, odkąd przyjeżdżacie do Uralska i przychodzicie do naszych przełożonych, a ja sobie patrzę i myślę, czy przyszlibyście do mnie, takiego małego człowieczka? /.../

W małym, bardzo skromnie urządzonym mieszkaniu Szolochow rozmawiał dwie godziny z domownikami, pytając o obecne życie rodziny, o to gdzie, na jakim froncie i w jakiej armii walczył gospodarz. Okazało się, że byli w tej samej formacji. Pani domu, Nastia, poprosiła pisarza do stołu, postawiła pieróg z rybą i jakąś nalewkę.

- Lecznicza, zrobiona na ziołach... Zmitujcie się, spróbujcie. Trochę za mało, prawda...

- No, jak lecznicza... " /s. 96-97/

Głównym zajęciem Szolochowa, sądząc na podstawie wspomnień Gawrilenki, jest odpoczynek. Pisarz wypoczywa nad brzegiem Donu, w stepach Prikuszumia, w kołchozach i sowchozach Przyuralia, i oczywiście u siebie w Wieszkach. Oto powraca własnym samolotem do swojego majątku z Moskwy.

- "Popatrzcie w dół. Pięknie, prawda? Przelatujemy nad Kaszarami, zaraz będą Bazki, a Kargini zostanie tam, z tyłu - pokazuje ręką.

Pilot wiedząc, że w tym chutorze upłynęły dziecięce i młodzieńcze lata Szolochowa, sprawdza na mapie i "Morawa" przelatuje nisko nad Karginim, który jest otoczony przez malownicze dąbrowy. Samolot robi kilka nawrotów nad placem, gdzie

przed białym budynkiem zarządu sowchozu widać grupę ludzi. Machają czapkami i chustkami domyślając się, że w samolocie znajduje się ich kraj.

Okrążywszy dwa razy Wieszeńską i przeleciawszy nisko nad domem Szołochowa, przed którym machali do nas chustkami członkowie rodziny pisarza, "Morawa" wylądowała na lotnisku w Baskach, gdzie na Michała Aleksandrowicza już czekał siofer Timosza.

- Cześć, Timofiejju Zarkowie! - obejmując go wesoło witał się pisarz. - Czy w domu wszystko w porządku?

Po paru minutach nasza "Wołga" przejechała mostem pontonowym na kręty, lewy brzeg rzeki i zatrzymała się przed piętrowym białym domem, który otaczały drzewa owocowe i kwiaty. Do Domu jest nie więcej niż sto metrów. Pisarz radośnie obejmuje żonę, córkę, wnuka i wszystkich domowników, nikogo nie pomijając. Czyni tak zawsze." /s. 100/

Czasem, co prawda, pisarz /lub autor pamiętników/ jakby spostrzeżąc się, przypominając sobie, że warto by wstawić coś i na temat literatury.

- "Nie pojedę dzisiaj na polowanie - oświadczył Michał Aleksandrowicz następnego ranka. - Muszę przygotować do druku nowe wydanie "Cichego Donu". Trzeba uważnie przejrzeć powieść. A wy z Marią Pietroną jedźcie w step i rozejrzyjcie się, dokąd gęsi udają się na żer.

Kiedy wróciliśmy po południu, zastaliśmy pisarza w namiocie. Przy otwartym bocznym okienku czytał uważnie książkę i robił otówkami jakieś uwagi, coś wykreślał.

- Napisać coś takiego! - Michał Aleksandrowicz roześmiał się i przeczytał na głos jakieś "awieście" zdanie i zaraz je wykreślił.

- Trzeba, żeby nasze córki nie czerwieniły się podczas lektury - mówił pisarz wnosząc jakieś poprawki.

- No, na dzisiaj starczy - odzwał papiery na bok. - Opowiedzcie, coście zaobserwowali.

Powiedzieliśmy mu, że najwięcej gęsi lata na pola sąsiedniej stadniny, gdzie widzieliśmy setki gromad...

Rano, o wschodzie słońca, pojechaliśmy tam, dokąd udawały się gęsi z Czelkara. Jezioro zostało już ze trzydzieści kilometrów za nami, a gęsi wciąż lecą i lecą..." /s. 84-85/

I tak dalej.

Fotografie... Wielki retuszowany portret. W połowie zdjęcie, a w połowie amatorski rysunek, w rodzaju tych portretów, które można zobaczyć w domach rodzinnych gdzieś na prowincji: Szołochow w bluzie wojskowej, z wąsami i trwałą ondulacją. Wzory oficjalnej ikonografii: Szołochow na uroczystości w Domu Związków, Szołochow z postawnym Georgijem Markowem na tle kosza kwiatów. Ale przede wszystkim są tu zdjęcia pokazujące pisarza podczas jego głównych zajęć codziennych: *Udany połów /Szołochow z potężną rybą/, Na polowaniu na dzikie gęsi /Szołochow z żoną trzymając za łby trofea myśliwskie/, Jesienny przelot do Prikuszumta /z cietrzewiem/, Domek myśliwski nad brzegiem Urału /solidny dom z przybudówkami, blaszanym dachem i ogrodzeniem/, Na koncercie samorodnych talentów w sowchozie, itp.*

Wypowiedzi Michała Aleksandrowicza pamiętnikarz zebrał z wielkim pietyzmem. Jedną z nich już zacytowaliśmy /o konieczności kary śmierci dla dyrektora warsztatów inwalidzkich w Azerbajdżanie/. Oto jeszcze kilka:

"Sądzę, że trzeba przede wszystkim pamiętać o czystości komunistycznych ideałów.

Trzeba pamiętać o wiernej i bezinteresownej służbie tej idei. Komunizm - to konsekwentna bezinteresowność nie w słowach, lecz w czynach. Każdy musi o tym wiedzieć."

"Nasi pisarze to krew z krwi i kość z kości narodu. Najważniejszą powinnością pisarską jest pisanie prawdy. Trud pisarski jest sprawą indywidualną. Taka jest właściwość naszego zawodu."

"W ciągu ostatniego ćwierćwiecza nasza literatura poniosła znaczne straty - odeszli od nas tak wspaniali pisarze jak Aleksy Tołstoj, Nowikow-Prıboj, Serafimowicz, Siergiejew-Censki... A i tak można bez przesady powiedzieć, że nasza literatura jest najlepsza na świecie." /s. 125, 148/

Dodajmy do tych zajmujących aforyzmów jeszcze jeden, który należy do autora wspomnień o Szołochowie, do Piotra Piotrowicza Gawrilenci:

"Pieczona gęś z jabłkami, wierzcie mi, to sztuka bardzo smaczna."

B.Ch.

ALLA HERBURT
8 MUNCHEN 54
DIAMANTSTR.16/II

SZWEDZKA AKADEMIA KRÓLEWSKA
STOCKHOLM

DOTYCZY PRYZNANIA PANU M. SZOŁOCHOWOWI
NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE LITERATURY

Poniższy list został w roku 1985 przekazany redakcji "Kontynentu",
która zamieściła go w 44 numerze pisma.

Wielce Szanowni Panowie członkowie jury!

Niedawno przyznaliście nagrodę Nobla sowieckiemu pisarzowi M. Szołochowowi za powieść *Cichy Don*. Dowiedziawszy się o tym uznałam za swój obowiązek podzielić się z wami wspomnieniami, związanymi z latami trzydziestymi, kiedy wyszedł pierwszy tom *Cichego Donu* Szołochowa. Mieszkałam wówczas w ZSSR.

Być może, to co opowiem, pomoże wam głębiej zrozumieć dzieło, a mianowicie tę jego dwoistość - formalną i ideologiczną, o której często wspominają krytycy literatury, rozmaicie ją wyjaśniając; usprawiedliwiając wymogami sowieckiej cenzury. Jeden z nich, J. Ternowski, pisze: "Szołochow to faworyt partyjnej arystokracji. Ale przecież Szołochowa - pisarza uwielbia także wiele tysięcy ludzi, przeciwników tej władzy, której on zawdzięcza swój dobrobyt. Jak do tego mogło dojść? Dlaczego wdzięczni są Szołochowowi i ci, i tamci?" /"Biuletyn Bibliograficzny", Monachium VIII, 1955/.

Najwidoczniej wyjaśnienia należy szukać w dwoistości samego Szołochowa: jego działalność społeczno-polityczna jest w całości podpo-

rządkowana interesom partyjnych wielmożów; co się tyczy twórczości literackiej, to chociaż w wielu sprawach trafia w gusta tych ludzi, jest w nim coś takiego, co w żaden sposób w ogóle nie odpowiada interesom partyjnej propagandy i pozostaje elementem organicznie obcym. Czytelnik zachowuje w pamięci i kocha te szołochowskie postacie, które nie zawierają pierwiastka partyjnego. Skreślone są barwnie i prawdziwie, podczas gdy partyjniacy i aktywiści wyglądają blade i niezbyt ponętnie. Szołochow nawet kilku słowami potrafi chwycić czytelnika za serce, lecz żywe barwy błędna w tych miejscach, gdzie jakby przydepuje gardło swej pieśni."

Być może przedśmiertnie świadectwo pisarza Iwana Dnieprowskiego pomoże wyjaśnić zagadkową pomożość tych utworów Szołochowa, dzięki którym został laureatem Nobla.

Od 1930 do 1937 roku mieszkalam w domu pisarzy "Słowo" w Charkowie. Przez swojego męża M. Johansena znałam wielu literatów. Któregoś dnia rano Iwan Dnieprowski, ciężko chory na gruźlicę, wezwał do siebie swych najlepszych towarzyszy. *"Idź i ty - powiedział mi Johansen - Dnieprowski chce opowiedzieć coś ważnego i ciekawego."*

Uderzyła mnie ogolona do gołej skóry głowa i wycieńczona chorobą twarz na tle ciemnoczerwonej makaty, wiszącej przy łożku. Od dawna już nie wstawał. Mówił powoli, niekiedy robił przerwy dla złapania oddechu. Opowiedział, jak podczas wojny domowej 1919-1920 roku, po przebytych tyfusie plamistym zmobilizowali go do Armii Czerwonej, a ponieważ był słabowity ale "gramotny", zrobili go pisarzem w kamentanturze tego oddziału, który rozprawiał się z resztkami niezdolnej już do oporu Białej Armii. Gdzieś nad Donem, zapomniałam gdzie dokładnie. Ich działania sprowadzały się do tego, że w dzień robili obławę, a w nocy wszystkich rozstrzeliwali kulamiotami. Rzeczy zabitych dowódców zabierali sobie. Pewnego razu o świcie, po kolejnej nocnej rozprawie, do pomieszczenia, w którym dyżurował Dnieprowski /nie mógł spać od huku kanonady i straszliwych krzyków/ wszedł zwierzchnik z dwiema drewnianymi walizeczkami w rękach. Przekazał je Dnieprowskiemu ze słowami: *"Ty, Wanśa, immy literata, rozumiesz się na literaturze, weź, poczytaj i powiedz, czy warta coś ta pisanina"*. Rękopis wywarł na Dnieprowskim silne wrażenie - była to prawdziwa wielka literatura, ale antysowiecka. Zwracając rękopis powiedział o tym dowódcy.

Po ośmiu latach czytając dopiero co wydany i od razu głośny *Cichy Don*, Dnieprowski zdumiał się, poznawszy w nim utwór, który za dni wojny domowej dał mu do oceny dowódca. Był on jednak przerobiony na utwór prosowiecki. Dnieprowski wymieniał nazwisko tego rozstrzelanego oficera, ale zapomniałam je. Po pewnych wahaniach Dnieprowski pojechał do Moskwy. Relacje o Szołochowie, jakie uzyskał w tamtejszych kręgach literackich, nie przeczyły przypuszczeniu, że *Cichy Don* jest plagiatem.

Były uczestnik wojny domowej, malarz pokojowy, ładowacz, biuralista, M. Szołochow od 1922 roku mieszka w Moskwie. Z miernym wykształceniem, ale nie pozabawiony literackich zdolności, niegłupi chłopak, już od 1923 roku próbuje publikować. Prawdziwy sukces odnosi powieść *Cichy Don*, wydana w roku 1928. Niektórym literatom znającym Szołochowa rzucano się w oczy to, że zalety utworu, zwłaszcza pierwszej części, nie były współmierne do poziomu rozwoju autora i jego znajomości życia Kozaków. Nagły wyjazd w stępy dońskie wyjaśniali tym, że musieli uprawdopodobnić swoje autorstwo i w tym celu poznać życie, zwyczaj

i dialekt Kozaków, które są tak dobrze oddane w *Cichym Donie*.

Iwan Dnieprowski zgłosił się na audiencję do M. Gorkiego, który stał na czele Komitetu Gorkiego przy Związku Pisarzy i opowiedział mu o swym odkryciu. Gorki wysłuchał bardzo uważnie, poprosił o złożenie pisemnego sprawozdania, obiecał wyjaśnić sprawę i dać odpowiedź za kilka dni. Daremnie Dnieprowski chodził przez cały tydzień do Związku Pisarzy w nadziei, że spotka Gorkiego. Ale Gorki z powodu choroby nie przyjmował już i wkrótce poszedł na leczenie do kremłowskiego szpitala. Pewien urzędnik z moskiewskiego Wydawnictwa Państwowego, Ukrainiec, znajomy Dnieprowskiego, któremu ten wyjawił przyczynę swojego przyjazdu do Moskwy, powiedział: *"My sami wiemy o tym. Zaraz po wydaniu "Cichego Donu" przychodziła do nas, do buchalterii starsza pani w żałobie i żądała honorarium za to dzieło jej syna, żal mi ciebie, niepotrzebnie tracisz tu czas, bez pieniędzy w obcym mieście; przecież Gorki nie wróci. Radzę ci, Wania, wracaj do domu i nigdy nikomu o tym nie opowiadaj"*.

Przyszła jednak chwila, kiedy to zrobił, a ja jestem świadkiem jego opowiadania. W Charkowie agenci NKWD dwa razy przychodzili aresztować Dnieprowskiego. Ale wtedy już stan jego zdrowia tak się pogorszył, że nie sposób było go przewieźć. Pozwolili mu umrzeć w domu. Za to jego przyjaciela, M. Kulisza, aresztowali, gdy szedł na pogrzeb Dnieprowskiego. Mówiono u nas, że aresztowania wśród pisarzy, które stały się prawie masowe, odbywały się nie bez wskazówek Szołochowa.

Zagadkowa dwoistość utworu Szołochowa, za który przyznaliście mu literacką nagrodę Nobla, można tym samym wyjaśnić w ten sposób, że pisali go dwaj autorzy, różniący się kulturą i talentem. Jak do tego mogło dojść, mieliście okazję dowiedzieć się teraz. Od tej pory wy, tak jak i my, będziecie milczeć - przecież świadków nie ma, jedynymi świadkami dla czytelnika obdarzonego wyczuciem literackim mogą być same stronicie *Cichego Donu*. Podpowiedzą mu one prawdę. Czytelnik zachowuje w pamięci i kocha te szołochowskie postacie, które nie zawierają w sobie śladu partyjnego pierwiastka, ponieważ napisane są przez kozackiego oficera, artystę słowa, dysponującego kulturą i smakiem literackim. Właśnie dlatego skreślone są barwnie i prawdziwie. Postaci partyjników i aktywistów wyglądają blade i niezbyt ponętnie, dlatego że wyszły spod ręki Szołochowa.

Chwytać za serce potrafi ręka zabitego oficera, to jemu udaje się nawet kilku słowami przymusić czytelnika do zapomnienia o ścinkach słownych, które szczerze rozsypuje po stronicach ręka Szołochowa. W gusta partyjnych wielmożów trafia także ręka Szołochowa, ale to coś, co nijak nie współbrzmi z interesami partyjnej propagandy i pozostaje organicznie obcym jej elementem - jest dziełem pióra zabitego autora, to są te żywe barwy, których nie udało się zabić nawet Szołochowowi. Szołochow nie przydeptuje *"gardła swej pieśni"*, przydeptuje gardło pieśni zabitego oficera... To jego, zabitego autora, kocha tysiące prostych ludzi, przeciwników tej władzy, której jeden zawładnąc swą śmierć, drugi - swój dobrobyt. Ale partyjni wielmoże kochają członka KC KPZS Szołochowa. Oto dlaczego autorowi *Cichego Donu* wdzięczni są i ci, i tamci.

Nie mam zamiaru wpływać na Waszą decyzję pochwaleni Szołochowa. Naj świadectwo przedświadczenia słowy nie czas sądzi literackiego twórcy w imię prawdy, i dlatego nie mam zamiaru wyrażać się o nim. Wierzę, że wy sami, czytelnicy, jesteście w stanie ocenić jego twórczość.

niebezpieczeństwem dla tego prestiżu jest szukanie kandydatów do nagrody Nobla wśród członków KC KPZS, to nie pisałam do Was na próżno. Poza tym chciałabym dać Wam możliwość pomodlenia się w milczeniu za prawdziwego laureata w uroczystej chwili wręczenia Szołochowowi nagrody Nobla.

24 listopad 1965

Alla Herburdt-Johansen

P.S. Opowiedziana przeze mnie historia znana jest także mieszkającemu w Monachium prof. Iwanowi Majstrenko /8 Munchen 9, Schonstr. 70 b/.

SOLIDARNOŚĆ



POLSKO-CZECHOSŁOWACKA

WYWIAD

NIE TYLKO HASŁO

**RÓZMOWA Z MIROSLAWEM JASIŃSKIM,
PRZEDSTAWICIELEM
SOLIDARNOŚCI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ**

***Wiesław Szukalski:** Jesteś przedstawicielem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Co kryje się pod tą nazwą?*

Mirosław Jasiński: Jest to grupa działająca na rzecz porozumienia między ruchami opozycyjnymi w Polsce i Czechosłowacji. Nie reprezentujemy żadnego kierunku politycznego, to znaczy nie jesteśmy związani z żadną partią, z żadną orientacją ideologiczną. Generalnie rzecz biorąc, naszym celem jest udzielanie pomocy przy nawiązywaniu kontaktów pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami opozycyjnymi w Polsce i CSRS. Chcemy w ten sposób stworzyć warunki, w których możliwy, a nawet łatwy byłby autentyczny, nieskrępowany kuratelą państwową dialog przedstawicieli naszych społeczeństw. W skład *Solidarności Polsko-Czechosłowackiej* wchodzi osoby z obu krajów - z Pragi, Brna, Wrocławia i Warszawy.

***Wiesław Szukalski:** Czy oznacza to, że ograniczacie się do pełnienia funkcji czysto technicznych? Jesteście czymś na kształt agencji oferującej pośrednictwo?*

Mirosław Jasiński: To też, ale nie tylko. Przede wszystkim zależy nam na przebicciu się z tematyką czechosłowacką do szerszych grup społeczeństwa polskiego, głównie poprzez prasę niezależną. W tym celu zaczęliśmy wydawać *Biuletyn informacyjny*, który ma być rodzajem serwisu prasowego, z którego mogą korzystać redakcje, czerpiąc zeń informacje na temat sytuacji u naszych południowych sąsiadów. Nakład tego wydawnictwa jest stosunkowo niewielki /kilkaset egzemplarzy/.

jednakże w zupełności wystarcza na obsłużenie istniejących czasopism. Część dociera także do znanych przedstawicieli polityki niezależnej, do środowisk opiniotwórczych. Oprócz wiadomości *Biuletyn* zawiera również omówienie czechosłowackich publikacji drugiego obiegu. Zainteresowanym redakcjom i wydawnictwom oferujemy polskie przekłady poszczególnych artykułów czy książek. Sami zaś rozpoczęliśmy druk *Kolekacji Czechosłowackiej Literatury Niezależnej*. Pierwszą opublikowaną już pozycją jest powieść Hrabala *Obsługiwałem angielskiego króla* - bodajże najlepszy utwór tego pisarza. Mówię tu oczywiście jedynie o tym, co robi nasza grupa w Polsce - Czesi i Słowacy prowadzą analogiczną działalność adresowaną do własnego społeczeństwa.

Wstęp Szułski: Skąd w ogóle wziął się pomysł Solidarności Polsko-Czechosłowackiej? Kto rzucił hasło?

Mirosław Jasiński: Cała historia zaczęła się w 1981 roku. Inicjatywa wyszła ze strony czechosłowackiej. Do Polski przyjechali przedstawiciele *Karty 77*, którzy przywieźli ze sobą dokument zawierający propozycje współpracy między *Solidarnością* a ruchem obrony praw człowieka w CSRS. Umowa taka została zawarta; ustalono, że w Polsce sprawę będzie pilotował region Dolny Śląsk, a personalnie - A. Gleigewicht. Warto nadmienić, że wówczas mówiliśmy jeszcze o *Solidarności Polsko-Czeskiej*, wejście Słowaków do naszego grona jest sprawą stosunkowo świeżą.

Do praktycznej realizacji pomysłu niestety nie doszło - wiadomo: 13 grudnia, internownia /zamknięto również Olka, który był równocześnie szefem naszego *Radia Solidarności*, kompletna rozsyпка struktur. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim wszystko to ponownie stanęło na nogi. Tak więc tu kończy się prehistoria *Solidarności Polsko-Czechosłowackiej*.

Historia zaś zaczyna się w marcu 1982 roku. Wtedy to zgłosił się do mnie kurier *Karty 77*. Wiedział, że jestem zaprzyjaźniony z Olkiem, wiedział, że interesuję się niezależną kulturą Czechosłowacji, więc skontaktował się ze mną po przyjeździe do Wrocławia. Ponownie nawiązaliśmy kontakty i wróciliśmy do pomysłu *Solidarności Polsko-Czechosłowackiej*. Początkowo nasza działalność była bardzo skromna. Ludzie w Polsce zajęci byli sprawami z własnego podwórka, w Czechosłowacji *Karta 77* przeżywała kryzys spowodowany niezwykle ostrymi represjami /m.in. proces *VONS-u*/, większość aktywnych jej członków siedziała w więzieniach. Działaliśmy wówczas w pełnej konspiracji, także ze względu na bezpieczeństwo kuriera. W gruncie rzeczy cała nasza aktywność ograniczała się do przekazywania informacji o tym, co dzieje się w Polsce. Czesi rewanżowali się nam bardzo ciekawymi i ważnymi materiałami zawierającymi ich ocenę rozwoju wydarzeń w PRL. Otrzymywaliśmy analizy konfrontujące proces tzw. "normalizacji" w CSRS po 1968 roku z polskim "odrodzeniem narodowym" po 13 grudnia 1981, przy czym - rzecz to niesłychanie cenna - Czesi starannie i fachowo porównywali treść husakowskiego i WRON-owego ustawodawstwa. Sygnalizowali też grożące nam niebezpieczeństwa - na przykład w okresie, kiedy władze rozważały pomysł wywiezienia z kraju części internowanych /chwalić Boga, nie doszło do tego/, Czesi przesłali nam informację o obzbie pracy położonym w CSRS, który mogłyby wchodzić w rachubę. Nazwy miejscowości nie pamiętam, w każdym razie jest on gdzieś w północnych Czechach, na wzgórzach, ponad kopalnią uranu. Popularnie nazywane jest to *czeskim Alcatraz*. Dostaliśmy relację z przebiegu wizyty Jaruzelskiego w Czechosłowacji w roku 1982. Wtedy to - jak donieśli nasi przyjaciele z *Karty 77* - zawarto umowę, iż pisarze czescy i słowacy zakazani

w swej ojczyźnie, nie będą też publikowani w Polsce, a ich książki zostaną stopniowo wycofane z bibliotek. Dostaliśmy nawet pełną listę nazwisk - są wśród nich twórcy tak wybitni, jak Kundera, Klima czy Škvorecký. Wszystko to działo się w roku 1982.

Później pośredniczyliśmy m.in. w zbieraniu podpisów pod wspólnym oświadczeniem sygnatariuszy *Karty 77* i członków dawnego *KOR-u*. Czeski tekst tego dokumentu wydrukowaliśmy w Polsce i cały nakład został przerzucony przez granicę.

Wcześniej już myśleliśmy o regularnych przerzutach bibuły, lecz początkowo sprawa niezbyt się kleiła. Podstawową przeszkodą był brak środków finansowych - w końcu za coś musieliśmy kupować te stosy drogiej na ogół książek i czasopism, nie mówiąc już o kosztach samego transportu. Sytuacja poprawiła się nieco w 1986 roku, kiedy to dostaliśmy od wrocławskiego RKS-u trochę pieniędzy na naszą działalność. Uruchomiliśmy więc sieć przerzutową na dużą skalę. W ciągu tych dwu lat 1986-1987 przekazaliśmy Czechom - bo ja wiem? - pół tony, tonę wydawnictw.

Okres ścisłej konspiracji skończył się na przełomie lat 1986-1987, kiedy w Czechosłowacji aresztowano współpracującego z nami Petra Pospichala. Dalsze konspirowanie nie miało sensu - władze i tak wiedziały, że istniejemy i działamy. Poza tym Petr siedział w więzieniu i należało pokazać, że *Solidarność Polsko-Czechosłowacka* to nie tylko nazwa, że słowo "solidarność" zobowiązuje. Wystąpiliśmy więc w obronie Petra, który początkowo oskarżony był z paragrafu grożącym dziesięcioma latami więzienia. W Podkowie Leśnej odprawiono mszę w jego intencji i podpisano petycję, a 16 kwietnia /w dniu 27 jego urodzin/ we Wrocławiu odbyła się demonstracja i zbieranie podpisów pod taką samą petycją /część podpisów przepadła, bowiem zatrzymano kilka osób z listami/. Tuż potem Pospichalowi złagodzone oskarżenie, a następnie zwolniono go, co - zwłaszcza dla Czechów - było ogromnym zaskoczeniem.

Na szczęście w naszej dotychczasowej działalności stosunkowo niewiele było takich groźnych, czy groźnie się zapowiadających momentów. Znacznie częściej zdarzały się sytuacje wręcz humorystyczne. Na przykład w 1987 roku wydaliśmy znaczek z okazji dziesięciolecia *Karty 77*, stanowiący imitację oficjalnych znaczków pocztowych *Pošta Československo*. Rzecz niby drobna, ale władze CSRS, skutecznie kontynuujące tradycje urzędów CK Monarchii, postarały się o godną oprawę propagandową. Urzędem pocztowym nakazano wyciągać listy opatrzone takim znaczkiem. Rozesłano okólnik ministra łączności zawierający fotokopię naszego produktu, tak więc wszyscy, nawet ludzie zupełnie niezorientowani, mogli się dowiedzieć, że taki druk istnieje, ba, mogli go obejrzeć.

Wiesław Szukalski: *Mówiłeś o przeszłości Solidarności Polsko-Czechosłowackiej i mówisz o tym, co robicie obecnie. A jakie są wasze plany na przyszłość?*

Mirosław Jasiński: Oczywiście, chcemy kontynuować to, co robiliśmy do tej pory. A więc przede wszystkim pragniemy podtrzymywać wymianę informacji i materiałów. Mamy też kilka pomysłów większego kalibru, ale za wcześniej jest, by je ujawniać. /Być może zresztą, część z nich "wypali", zanim ta rozmowa zostanie opublikowana./ Natomiast inicjatywą, którą już teraz mogę zdradzić, jest akcja patronatu nad więznicami sumienia w CSRS. W kolejnym numerze *Biuletynu Informacyjnego* opublikujemy otrzymaną z Pragi pełną listę uwięzionych. Instytucje niezależne, redakcje oraz osoby prywatne będą się mogły do nas zgłaszać z informacją, którego więźnia otaczają swą opieką. Uznaliśmy, że z praktycznych przyczyn potrzebna jest tu jakaś forma koordynacji. Mogło by się bowiem zdarzyć tak, że osoba z początku listy /układ bę-

dzie alfabetyczny/ zajęłoby się po kilku patronów, zaś innymi - nikt. Chcieliśmy, by każdy z czechosłowackich więźniów sumienia znalazł się pod opieką.

Wiesław Szukalski: Na czym ma ona polegać?

Mirosław Jasiński: Przede wszystkim chodzi o wsparcie moralne, o okazanie uwiezionym /a także tym, którzy ich więżą/ naszej solidarności, na przykład poprzez występowanie w ich obronie do władz CSRS i PRL, do polskiej, a nawet światowej opinii publicznej. Natomiast rodzinom represjonowanych należy pomóc materialnie. Pragniemy, by żony, dzieci, czy rodzice więźniów sumienia objętych patronatem otrzymywali z Polski paczki z najpotrzebniejszymi im artykułami. Sądzę, że tego typu przedsięwzięcie udowodni, iż solidarności społeczeństw bloku sowieckiego to nie tylko pięknie brzmiące hasło, pojawiające się w wydawanych "od wielkiego dzwonu" deklaracjach. Możliwa jest konkretna działalność, w której my i nasi sąsiedzi wystąpimy wspólnie pomimo bariery, jaką stanowią granice państwowe.

Wiesław Szukalski: Jak na razie bariera ta okazała się niezwykle skuteczna w jednej przynajmniej dziedzinie - w sferze przepływu informacji. Funkcjonuje o wiele sprawniej, niż zlikwidowane niedawno zagłuszarki. W gruncie rzeczy wiedza o tym, co dzieje się za linią Tatr, Beskidów i Sudetów jest w Polsce minimalna. Stanowicie pod tym względem wyjątek, czy wręcz swego rodzaju elitę: otrzymujecie wiadomości z pierwszej ręki. I choć staracie się wiadomości te upowszechniać, to jednak do opinii publicznej dociera jedynie skromna ich część. Prasa niezależna publikuje "newsy" - tu kogoś zamknęli, tam kogoś pobili, ktoś coś podpisał itp. Brak ogólnego obrazu sytuacji, brak opracowań przeglądowych i analitycznych. Skorzystajmy więc z okazji: powiedz, jak przedstawia się sytuacja w Czechosłowacji w roku 1988.

Mirosław Jasiński: Po dwóch - trzech latach kryzysu Karta 77 nabrała nowej dynamiki. Ludzie odsiedzieli swoje wyroki i w latach 1983-1984 wyszli na wolność. Obecnie widać znaczną aktywizację opozycji oraz wzrost jej sprawności organizacyjnej i technicznej - postępy widać z miesiąca na miesiąc.

Ogólnie rzecz biorąc w Czechosłowacji występują trzy nurty niezależnej aktywności społeczeństwa: opozycja demokratyczna o bardzo różnych orientacjach politycznych, skupiona w *Karte 77* oraz wokół *Karty*. Po drugie wielki nurt undergroundu. Przekładając "na nasze" jest to ruch posthippisowski, który w Czechosłowacji zachował swoją świeżość. W porównaniu z polską kontrkulturą jest on o wiele bardziej upolityczniony; co zresztą jest wynikiem działania władz tępiących wszelkie przejawy odmienności. I wreszcie, po trzecie, niezależny ruch religijny, najsilniejszy oczywiście w Słowacji, lecz znaczący także na Morawach. Tu warto wspomnieć, że jednym z pierwszych inicjatorów *Solidarności Polsko-Czechosłowackiej* po tamtej stronie był przedstawiciel właśnie tego trzeciego nurtu - ks. Vaclav Malý. Oczywiście udział ten jest umowny, trudno o jednoznaczne rozgraniczenie, gdyż w wielu przypadkach przedstawiciele jednego z nurtów są jednocześnie działaczami czy sympatykami innych /np. ks. Malý jest sygnatariuszem *Karty 77/*.

Wiesław Szukalski: Wspomniałeś o "postępach" w niezależnej aktywności społeczeństwa CSRS. Co to oznacza?

Mirosław Jasiński: Namacalnym przejawem tego zjawiska jest gwałtowny rozkwit niezależnego ruchu wydawniczego. W roku 1982 regularnie

wychodziło tylko jedno czasopismo *Infoch /Informace o Charte 77/* przepisywany na maszynie w około dwudziestu egzemplarzach, a następnie spon-tanicznie kopiowany przez czytelników. /Wydawcy szacują, że liczba osób powielających w ten sposób *Infoch* sięgała tysiąca./ Obecnie jest bardzo dużo niezależnych pism w Czechosłowacji - samych literackich około dziesięciu. I nie są to już klasyczne samizdaty, lecz publika-cje drukowane - na offsetach, na sitach, na powielaczach białkowych. Tak więc widać postęp, zarówno ilościowy, jak jakościowy.

Innym - kto wie, czy nie bardziej zmiennym - przejawem przemian jest stopniowe odradzanie się więzi społecznych. Rzecznicy *Karty 77* otrzymują coraz więcej listów i informacji nadsyłanych przez obywate-li. Ludzie niezaangażowani dotychczas w jakąkolwiek działalność opozy-cyjną zaczęli najwyraźniej dostrzegać w *Karcie 77* instancję, która mo-że jakieś sprawy załatwić, może udzielić pomocy, wsparcia. Sam widział-łem listy, w których nie tylko pojedynczy obywatele, ale wręcz całe środowiska zwracają się do *Karty 77* o zajęcie stanowiska w jakiejś sprawie. Rzecznikom *Karty* przekazuje się materiały, opracowania, ana-lizy z prośbą o wykorzystanie ich. Nadawcy zastrzegają sobie anonim-ość, ale ważne jest to, że jakieś kontakty zostały nawiązane.

Czechów z początku roku 1988 różni od tych samych Czechów z 1977 roku brak iluzji co do wpływu *perestrojki* na władze praskie. Począt-kowo, do wizyty Gorbaczowa w Czechosłowacji, Czesi wiązali olbrzymie nadzieje ze zmianami u Wielkiego Brata. Mówiąc po prostu, liczyli, że Gorbaczow wpłynie na kierownictwo Czechosłowackie. Po wizycie sowiec-kiego przywódcy w Pradze nadzieje te runęły i - co ważniejsze - rady-kałnie zmieniły się opinie obywateli CSRS na temat reżimu husakowskie-go. Husak pod koniec swego panowania nie mógł już puszcząć do społeczeństwa oka, że "wicie, rozumiecie, ja to bym chciał dobrze, ale Ros-janie nie pozwolą". Gorbaczow, odcinając się niejako od polityki władz CSRS, zrzucił na nie pełną odpowiedzialność za to, co dzieje się w kraju.

A dzieje się niedobrze. Oczywiście porównując gospodarczą sytua-cję Czechosłowacji z peerelowskim kataklizmem można by odnieść wraże-nie, że jeszcze nie jest najgorzej, że jeszcze jakoś się to kręci. Tyle, że Czesi i Słowacy porównują się nie z Polską, a raczej szukają punktu odniesienia w Czechosłowacji okresu przedwojennego. U nas tego typu konfrontacji z upodobaniem dokonuje oficjalna propaganda - pro-szę, ile to osiągnęliśmy, odbudowaliśmy Warszawę, mamy Nową Hutę, pro-dujemy traktory. W Czechosłowacji jest to temat drażliwy, bo prze-cież kraj ten znajdował się w okresie międzywojennym w czołówce euro-pejskiej. Teraz zaś - no cóż, wiadomo...

Rzecz jasna, owa negatywna legitymacja systemu /oparta na tezie, że nie ma dlań żadnej sensownej alternatywy, że może być tylko go-rzej/ nigdy nie stała się przedmiotem otwartych wystąpień, nigdy nie mówiono tego wprost. Niemniej jednak starano się zaszczyć, zasuge-rować społeczeństwu taki sposób rozumowania. Teraz to się skończyło.

Wiesław Szukalski: Pojawienie się Solidarności Polsko-Czechosłowackiej dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem. Od paru już lat coraz wyraźniej zarysowuje się w polskiej opozycji nurt opowiadający się za współdziałaniem społeczeństwa bloku wschodniego. Pisma poświęcone tematyce "obozowej" mogą się, jak grażyby po deszczu, nie mówiąc już o ilości książek, artykułów i informacji w prasie o profilu "ogól-nym" czy związkowym. Sprawa wisiąta w powietrzu. Dojrzała. Nie pomyśl się chyba, jeśli stwierdzę, iż powstanie waszego ugrupowania było odpowiedzią na swego rodza-ju zapotrzebowanie społeczne i to zapotrzebowanie zgłaszane nie tylko przez działa-czy opozycji i podziemia. Wszak i w obiegu oficjalnym pojawia się ostatnio sporo

książek i artykułów poświęconych na przykład problematyce ukraińskiej czy litewskiej. Różne to były publikacje – od całkiem uczciwych i rzetelnych /niektóre z tego właśnie powodu nie ujrzały światła dziennego i ugrzęzły w biurkach cenzorów/, aż po żenujące brednie w rodzaju rozpraw oświadczonego Edwarda Prusa /np. "Herosi tryzuba"/. Być może nawet te ostatnie są bardziej znamienne – dowodzą bowiem, że władze na serio zaniepokoiły się wzrostem społecznego zainteresowania sąsiadami i postanowiły "dać odpór".

Tu jednak pojawia się pewien istotny, jak sądzę, problem. Nie tylko władze są zaniepokojone tym nurtem, nazwiemy go umownie "środkowoeuropejskim", w polskiej myśli politycznej. Z równym zapałem, choć z całkiem innymi przyczyn i przy użyciu uczciwych metod, przeciwstawiają mu pewne /mówię "pewne", bo nie wiem, jak liczne/ środowiska w samej opozycji. Neoendecka "Polityka Polska", piórem badające Józefa Wiernego, stwierdza wprost: jeśli chcemy uzyskać od Moskwy koncesje polityczne, jeśli chcemy wybić się w ramach imperium na jaką-taką autonomię, to nie możemy považać podstaw panowania Sowietów. W tym ujęciu – sądzę, że charakterystycznym dla całej prawicy narodowo-katolickiej – współpraca z sąsiadami jest po prostu szkodliwa z punktu widzenia interesów narodu polskiego. Podejrzewam, że pogląd ten podzielają przedstawiciele wszystkich orientacji "realistycznych" /rzecz jasna i ten termin jest umowny/, sądzący, iż "konfrontacyjny mesjanizm" zmniejsza szanse na dialog opozycji z władzą.

Ponure brednie oficjalnych propagandzistów i teksty typu "Herosów tryzuba" można zbyc machnięciem ręki. Dyskusji nie wymagają też chyba tezy wypowiadane przez fanatyków nacjonalistycznego ciemnogrodu, w rodzaju ideologów grupy skupionej w wależawskim kościele na Zagórnej. Owszem, tu niebezpieczeństwo wydaje się większe, lecz polemika z autorami wydawanych tam broszur jest o tyle bezcelowa, że i tak nie zmienia oni swych poglądów. Jednakże zarzuty, powiedzmy, "Polityki Polskiej" czy "realistycznie myślących" doradców Wałęsy mają inny ciężar gatunkowy. Trzeba podjąć z nimi merytoryczną dyskusję. Czy próbowałiscie to zrobić zakładając Solidarność Polsko-Czechosłowacką?

Miroslaw Jasiński: Szczerze mówiąc, nie. Powodem braku takiej dyskusji nie był jednak brak argumentów, czy wręcz brak jakiegokolwiek refleksji o charakterze programowym.

Wszyscy uczestnicy *Solidarności Polsko-Czechosłowackiej* reprezentują nurt, jak go nazwałś, "środkowoeuropejski", otwarty na kraje ościenne. To oczywiście wynik naturalnej selekcji, a nie przypadku. Ci, którzy byli przeciwni naszemu koncepcjom, po prostu nie przyłączyli się do nas. W łonie naszej grupy dyskusja na temat podstawowych wartości była zbędna. Różniły się poglądy na temat poszczególnych kwestii technicznych, na temat pomysłów działania, lecz w sferze programowej nie ma żadnych rozbieżności. Wyczuwa się to intuicyjnie. Zresztą nie tylko intuicyjnie – my się po prostu dobrze znamy. Nie ma więc potrzeby mówienia o tym, co dla każdego z nas jest oczywiste. Ale, rzecz jasna, jest to tylko połowa problemu. Druga, istotniejsza połowa, to kwestia dyskusji z tymi, którzy sprzeciwiają się naszemu koncepcjom. Ich rozumowanie jest mniej więcej takie: nie dogadujemy się z sąsiadami, bo to rozżość Moskwę. Przywódcy Kremla poczują się zagrożeni i nie tylko nie zgodzą się na żadne koncesje, ale wręcz "przykręca nam śrubę". Sądzę, że z punktu widzenia logiki wywód ten jest wewnątrznie sprzeczny. Przecież wszystkie dotychczasowe ustępstwa, jakie w tym czy innym kraju bloku sowieckiego udało się wywalczyć, są właśnie wynikiem presji społeczeństw. Społeczeństwa potulne, baczące, by przypadkiem nie naruszyć interesów Moskwy i miejscowych partii komunistycznych, nie potrzebują żadnych ustępstw. Wszak godzą się z własnym losem. Same sobie nakładają knebel i same sobie są strażnikami. Po cóż więc cokolwiek zmieniać, skoro wszystko gra?

Poza tym współpraca i utrzymywanie kontaktów z sąsiadami jest naszym prawem ludzkim, którego nikt nie może nas pozbawić. Właściwie w tym miejscu kończy się wszelka dyskusja. Niewątpliwe prawo każdego człowieka i każdego społeczeństwa do swobodnego wyboru partnerów i sojuszników przeciwstawione jest dość wątpliwemu interesowi politycznemu. Sądę, że przy takiej alternatywie wybór może być tylko jeden i my go dokonaliśmy.

styczeń 1988 r.

HISTORIA

EDUARD BEKKER

DEPORTACJA NIEMCÓW SOWIECKICH W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

*"Forum", nr 16, 1987 r.; tłumaczenie z języka rosyjskiego.
W tekście dokonano niewielkich skrótów.*

Deportacja Niemców sowieckich rozpoczęła się na dobrą sprawę jeszcze przed ogłoszeniem ukazu Przewodniczącego Rady Najwyższej z 28 sierpnia 1941 roku *"O przesiedleniu Niemców zamieszkujących obszary Powołża"*. Mit o szpiegach i dywersantach wśród ludności niemieckiej zaczęto rozpowszechniać dopiero w trakcie przymusowej deportacji. Stalin potrzebował go, żeby mieć całkowicie wolną rękę w realizacji akcji. Teraz, kiedy upłynęło już wiele lat od owych tragicznych wydarzeń, pojawiły się pewne relacje na temat tego, jak został spreparowany incydent z dywersantami i szpiegami, których miała jakoby ukrywać ludność niemiecka. Według tych relacji Malenkow i Beria zaproponowali zorganizowanie prowokacji na terytorium Republiki Niemców Nadwołżańskich w taki sposób, ażeby można było oskarżyć ludność o szpiegostwo i dywersję na korzyść Niemiec hitlerowskich oraz ostro rozprawić się z mieszkańcami - ku przestrodze innych. Obaj - zarówno Beria, jak i Malenkow - w lipcu 1941 r. przebywali w mieście Engels /stolicy republiki/, gdzie na posiedzeniu z udziałem funkcjonariuszy partyjnych i przedstawicieli resortu wojskowego zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo, które stanowili jakoby Niemcy nadwołżańscy dla państwa sowieckiego. Podkreślili konieczność zastosowania przeciwko nim drakońskich środków represyjnych. Nietrudno się domyślać, kto był pomysłodawcą. Elita stalinowska realizowała ten pomysł tak, jak przewidywał scenariusz autorstwa genialnego teoretyka problemów narodowościowych.

W pamiętnikach generała Władysława Andersa /a także w wielu relacjach polskich oficerów z jego armii, która stacjonowała w różnych miejscach na terytorium republiki/ znajdują się dane o tym, że w lipcu 1941 roku duża liczba sowieckich spadochroniarzy, przebranych w niemieckie mundury i dobrze władających językiem niemieckim, została zrzucona na obszarze Republiki Niemców Nadwołżańskich. Ludność miejscowa przyjęła - według autorów relacji - ciepło swoich rzekomych wywolicieli, za co też potem musiała ciężko zapłacić.

Pierwsi zostali deportowani 20 sierpnia 1941 roku Niemcy krymscy - 3,5 tysiąca osób; 5 tysięcy uniknęło przymusowego wysiedlenia, ponieważ w zamęcie, jaki wytworzył się w wyniku odwrotu sowieckiego, władze machnęły na nich ręką /po zajęciu Krymu przez wojska niemieckie, Niemcy krymscy zostali przesiedleni do Niemiec/. Deportowani przez Sowietów Niemcy krymscy zostali odstawieni pod strażą żołnierzy NKWD do brzegów Morza Czarnego i po załadowaniu na statki przetransportowani na północny Kaukaz do Obwodu Stawropolskiego. Skierowano ich tutaj do prac rolniczych. Późną jesienią, kiedy front zaczął zbliżać się do tych obszarów, załadowano Niemców do wagonów towarowych i wywieziono do Azji Środkowej i na Syberię. Transporty te były niejednokrotnie bombardowane, ponieważ lotnictwo niemieckie sądziło, że są to eszelony wojskowe. Całą akcją kierował doświadczony specjalista w dziedzinie deportacji, generał Sierow.

Przed wojną na Ukrainie mieszkało około 420 tysięcy Niemców. Szybkie natarcie wojsk niemieckich na terytorium Ukrainy w pierwszych tygodniach wojny uniemożliwiło władzom sowieckim zajęcie się zawczasu deportacją podejrzanej o zdradę grupy etnicznej. Jedynie na głębokich tyłach zdołano pognać licznymi partiami wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy w wieku od 16 do 60 lat i wykorzystać ich do prac obronnych. Później wyprawiono ich w północne rejony kraju do tak zwanych armii pracy. W sumie deportowano z Ukrainy od lipca do października 1941 r. 100 tysięcy Niemców. W większości przypadków znaleźli się oni w rozmaitych republikach Azji Środkowej.

Na początku września rozpoczęło się wysiedlanie Niemców z Powołża. Powierzchnia tej niemieckiej republiki autonomicznej wynosiła około 10 tysięcy km², a ludność /licząc tylko samych Niemców/ liczyła około 400 tysięcy osób. Mieszkańcom pozostawiono sporo czasu na przygotowanie się do drogi. Pozwalano jednak zabrać ze sobą tylko przedmioty niezbędne - odzież, naczynia kuchenne i żywność. To, co zostało, skonfiskowano bez odszkodowań na rzecz skarbu państwa. Patrole NKWD w gotowości bojowej dozorowały wszystkie miejscowości, które pustoszały jedna za drugą. Najbliżej położone stacje kolejowe były nabite ludźmi. Wagonów nie starczało i ludzie po kilka dni koczowali pod gołym niebem. Miejscowa ludność rosyjska, ukraińska i kazachska nie przejawiała takiego współczucia dla deportowanych, jak Tatarzy krymscy, którzy jeszcze nie wiedzieli, że niedługo sami ruszą na zesłanie. Mur obcości wyrósł pomiędzy wysiedlonymi Niemcami, oskarżanymi o zdradę, i pozostałymi narodami. Ten mur wzniosły w sztuczny sposób same władze.

W październiku 1941 roku dokonano jeszcze jednej masowej deportacji Niemców - z Kaukazu. Około 25 tysięcy osób transportowano do najbliższych stacji kolejowych, a stamtąd przez Baku odstawiono ich do miejsc zesłania - w Kazachstanie.

Jeżeli z rozmaitych obszarów RSFSR od września do października zostało deportowanych około 80 tysięcy osób, to można przyjąć, że łączna liczba Niemców wysiedlonych w pierwszych czterech miesiącach wojny wynosi w przybliżeniu 640 tysięcy osób.

Kiedy osłabło prężenie spowodowane początkowymi klęskami w wojnie z Niemcami Hitlera, władze przystąpiły do akcji oczyszczania terenów przyfrontowych z pozostałej ludności pochodzenia niemieckiego. Nie dawano czasu na przygotowanie. Przed domami, w których mieszkali Niemcy, zatrzymywały się wozy konne lub samochody, a żołnierze

informowali o nakazie wysiedlenia. Starców, dzieci i kobiety /mężczyzn wywieziono już wcześniej/ razem z ich żalosnym dobytkiem ekspedowano na bezterminową zsyłkę. W marcu 1942 roku spod Leningradu deportowano na Syberię około 26 tysięcy osób. W lipcu 1942 roku pojechali za nimi Niemcy, którzy pozostali jeszcze na Kaukazie. W końcu roku 1941 przeprowadzono również czystkę w armii - wydalono wojskowych narodowości niemieckiej. Do tej pory wielu Niemców już poległo, odniosło ciężkie rany lub znalazło się w niewoli po pierwszych miesiącach krwawych starć. Pozostałych przy życiu żołnierzy i oficerów prosto z frontu kierowano na tyły do tak zwanej armii pracy. Znaleźli się oni na prawach osób zesłanych. Deportacja Niemców niewielkimi grupami była kontynuowana aż do 1944 roku, dopóki cała europejska część ZSSR nie została oczyszczona z osób narodowości niemieckiej. Dopiero wtedy zakończono akcję "polowania na czarownice". Tak więc liczba deportowanych od 1941 do 1944 roku Niemców wynosi w sumie 700 tysięcy osób.

Nie mniej tragiczny był los tych Niemców, którym udało się uniknąć deportacji sowieckiej. Z terytoriów okupowanych zostali oni przesiedleni do Niemiec. Takim administracyjnym przesiedleniem objęto ogółem 350 tysięcy osób. Już w styczniu 1942 roku rozpoczęły się pierwsze przesiedlenia Niemców z przyfrontowych obszarów Leningradu. Ta akcja przesiedleńcza do Niemiec miała znaczenie propagandowe i określono ją powrotem Niemców do ojczyzny, do własnego narodu - do "Wielkiej Trzeciej Rzeszy".

Około 44 tysiące osób etapami przesiedlono do Prus Zachodnich. Od lutego do września 1943 roku przesiedlono z Białorusi ponad 10 tysięcy osób pod Łódź. Największa akcja przesiedleńcza Niemców do Trzeciej Rzeszy rozpoczęła się w połowie 1943 roku i była kontynuowana do maja 1944 roku, to znaczy do momentu całkowitego odwrótu wojsk niemieckich. Objęła ona obszary wschodniej części Wołynia, Besarabii, południowej Ukrainy, Krymu i Kaukazu. W tym czasie przesiedlono na teren Poznańskiego około 326 tysięcy osób. W zamieszaniu spowodowanym przez odwrót administracja niemiecka nie była w stanie zapewnić przesiedlonym transportu. Musieli więc oni podróż na zachód odbywać pieszo, na wozach zaprzężonych w konie, byki czy krowy. Po drodze kolumny osadników bombardowało lotnictwo sowieckie i atakowali partyzanci.

W obozach przesiedleńczych, dokąd po męce wędrówki szlakami wojny trafiaли osadnicy, każda rodzina niemiecka przechodziła drobiazgową kontrolę rasową. Wszystkich dzielono na cztery kategorie. Tylko ci otrzymywali obywatelstwo niemieckie, którzy mogli udowodnić swoje czyste, niemieckie pochodzenie dzięki przechowywanym dokumentom lub poprzez świadectwa osób, których aryjska przynależność rasowa nie ulegała wątpliwości. Przesiedleńcy zatrudniani byli z reguły w fabrykach zbrojeniowych lub przy pracach polowych. Mężczyźni, którzy otrzymali obywatelstwo niemieckie, podlegali automatycznie obowiązkowi służby wojskowej. Prawie bez żadnego przeszkolenia wysyłano ich na front zachodni /głównie do formacji SS/.

Przesiedleńcy nie zdążyli nawet pomieszkać w nowych siedzibach, kiedy ponownie musieli porzucić swoje domostwa i majątek, by uciekać przed prąciami naprzód armiami sowieckimi. Większość próbowała przedostać się na terytoria zajęte przez Amerykanów, ponieważ Sowieci traktowali ich jako "drążców ojczyzny". Jednak wojska sowieckie często przecinały szlaki uciekinierów i umieszczali ich w czasowych obo-

zach dla repatriantów. Stąd prowadziła już tylko jedna droga - na zsyłkę, do łagru lub do więzienia. Ci z uciekinierów, którym udało się przedrzeć do strefy amerykańskiej, byli wydawani w ręce sowieckich władz okupacyjnych na podstawie umowy jałtańskiej. Władze niemieckie postępowały identycznie - aż do 1946 roku trwało polowanie policji na uciekinierów. W amerykańskich obozach dla jeńców niemieckich także przeprowadzano ścisłą kontrolę i wszyscy Niemcy sowieccy, którzy w większości walczyli w Waffen-SS, byli kierowani w konwojach do strefy sowieckiej. Pod zastrzoną strażą wysyłano ich do ZSSR i sądzono tam jako przestępców wojennych. Kiedy wreszcie sojusznicy zdecydowali się na wstrzymanie wydawania osób narodowości niemieckiej władzom sowieckim, motywując swą decyzję tym, że po pierwsze - ludzie ci posiadają obywatelstwo niemieckie, a po drugie nie chcą wracać do ZSSR, było już za późno - z 350 tysięcy osób przesiedlonych do Niemiec w latach 1943-1944, tylko stu tysiącom udało się uniknąć przymusowej repatriacji do Związku Sowieckiego. Pozostali - w sumie około 250 tysięcy - zapełnili Syberię, łagry i więzienia. Nastąpiły dla nich długie lata terroru i zagłady.

Tak zwały się pod koniec 1945 roku w jeden - dwa potoki: przesiedleńczy i deportacyjny, chociaż na początku ich kierunki były różne: deportacyjny - na wschód, do pustek syberyjskich i administracyjno-przesiedleńczy - na zachód, do Trzeciej Rzeszy. Wszyscy ci ludzie padli ofiarą dwóch krwawych dyktatur - faszystów i komunizmu. Jeżeli zadać sobie pytanie, ile ofiar kosztowały Niemców przesiedlenia z lat 1941-1946, to na podstawie bardzo ostrożnych i pośrednich szacunków można przypuszczać, że z 970 tysięcy deportowanych /wliczając w ten rachunek pierwszą falę przesiedleńców na początku wojny i deportacje powojenne/ zginęło w rezultacie ludobójstwa, z powodu chorób i głodu około 300 tysięcy osób - przede wszystkim dzieci, starców i młodych mężczyzn.

Eduard Bekker

PRAGA 1953 - NIEZNANY STRAJK

Listy, 1987, nr 2
Wstęp - Karel Bartošek
tłum. Anna Karel

"Od połowy 1952 roku kierownictwo KPCz przygotowywało reformę rynkową. W kraju obok "wolnego rynku" istniał jeszcze system kartkowy i zgodnie z projektem sowieckich doradców Gottwald zdecydował się na wymianę pieniędzy. Zamierzano dać kulejcej i osłabionej gospodarce wzmocniający zastrzyk i za jednym zamachem załatwić kilka spraw naraz: pobudzić śpiące zainteresowanie produkcją, zahamować inflację, radykalnie zredukować ilość środków płatniczych znajdujących się w obiegu, dwukrotnie przestawiając rzeczywiste potrzeby, dostosować dochody i oszczędności obywateli do rynku z ograniczonej oferty towarów konsumpcyjnych. Z powodu śmierci

Gottvalda /14 marca 1953 r./ *przecunięto termin wymiany.*"^x

Decyzja o wymianie pieniędzy była ściśle tajna, co nie zapobiegało szerzeniu się panikarskich pogłosek i gorączce zakupów w drugiej połowie maja. Informacja o wymianie podana została do publicznej wiadomości w sobotę 30 maja, reforma i ujednoczony rynek miał obowiązywać od 1 czerwca. Każdy obywatel miał prawo wymienić 300 nowych koron po kursie 1:5. Nadwyżki można było wymieniać w stosunku jedna nowa korona za 50 starych. Nieco wygodniejszy kurs obowiązywał przy wkładach oszczędnościowych. Płace, emerytury i dodatki na dzieci zostały przeliczone w stosunku 1:5 i umiarkowanie podwyższone niektórym kategoriom pracowników. Nowe ceny na zreformowanym rynku były wyższe, niż w okresie reorganizacji /na początku 1953 roku ludzie kupowali 80 proc. reorganizowanych towarów spożywczych i 75 proc. tekstylnych i obuwniczych/. Ceny podstawowych produktów spożywczych wzrosły w stosunku do cen towarów nabywanych na kartki w przybliżeniu o 29 proc. Ceny innych towarów konsumpcyjnych - o 185 proc.

Oficjalna propaganda przedstawiała wymianę pieniędzy jako "decydujący cios zadany pozostałościom kapitalizmu" i "definitywne zniszczenie władzy gospodarczej byłych kapitalistów". Wymiana pieniędzy dotknęła jednak szerokie warstwy społeczne: robotnicy i pracownicy umysłowi tworzyli 41,15 proc. ludzi oszczędzających, rolnicy 38,5 proc. Najwyższe oszczędności mieli robotnicy zatrudnieni w preferowanych gałęziach gospodarki - w górnictwie i w przemyśle ciężkim. Zgodnie z oficjalnymi obliczeniami realne zarobki robotników spadły wtedy o 12 proc., a wydatki na utrzymanie wzrosły przeciętnie o 29 proc. Najbardziej poszkodowane były rodziny z dwojgiem i większą liczbą dzieci - ich poziom życia spadł o ponad 1/3.

Robotnicy czechosłowaccy natychmiast i spontanicznie zareagowali na "kradzież oszczędności" i odczuwalny spadek stopy życiowej, przede wszystkim w wielkich zakładach przemysłu metalowego, które władze uważały za swoją podporę. Między 1 a 5 czerwca 1953 roku strajkowano co najmniej pół dnia w 129 fabrykach, o wiele liczniejsze były krótkotrwałe przerwy w pracy. W czterech ośrodkach przemysłowych strajk przerodził się w antyrządową demonstrację uliczną. W Pilźnie, gdzie wówczas znajdowały się największe zakłady Czechosłowacji, koncern Škoda, demonstracja 20 tysięcy ludzi przybrała cechy powstania, z okupowaniem ratusza i podobnymi wypadkami. Została stłumiona przy pomocy jednostek policji i wojska wezwanego z zewnątrz.

Wedle oficjalnych informacji, oczywiście "tajnych", które wówczas otrzymało kierownictwo KPCZ, aresztowano 472 strajkujących i demonstrantów. W dyrektywach kierownictwa przekazywanych komitetom okręgowym KPCZ domagano się, żeby natychmiast zostały opracowane spisy uczestników "prowokacji". Ludzie ci mieli być "izolowani i umieszczeni w obozach pracy". Zgodnie z dyrektywami organizacje związkowe wykluczyły ze swoich szeregów kilka tysięcy robotników. Dokładna liczba nie jest znana, ale w samym tylko Pilźnie wykluczono ponad tysiąc osób.

Wykluczenie nie miało jedynie politycznego czy moralnego znaczenia, ale towarzyszyły mu sankcje: skracanie urlopów, zniesienie prawa do skierowania na wczasy, prawa do korzystania z zakładowych stówek, pociągało za sobą obniżenie różnych dodatków i zapomóg.

^x Karel Kaplan, "Československé hospodářství 1945-1957", rękopis. Středněslovenský ústav pro ekonomické dějiny.

Zakłady ČKD Stalingrad, w których autor poniższego świadectwa pracował, należały do kluczowych fabryk dawnej wielkiej firmy czeskiego przemysłu metalowego, jakim była Czeskomorawska Kolben-Daněk. W roku 1953 w macierzystym zakładzie w praskiej Libni pracowało około 800 ludzi. Zgodnie z oficjalnymi danymi, jakie otrzymało kierownictwo KPCz, po strajku i manifestacji zatrzymano 58 osób, z czego 35 pozostało w areszcie.

Pierwszy bunt robotniczy w krajach "demokracji ludowej" po śmierci Stalina miał miejsce na czternaście dni przed innym protestem, o wiele bardziej znanym, w Berlinie Wschodnim. Do dnia dzisiejszego nie zajęto się jednak jego historią. O ile mi wiadomo, nie napisano o nim nawet krótkiego studium. W zachodnich schematach "rewolt robotniczych", powstałych przede wszystkim z aktualnych reakcji prasowych, a nie w oparciu o studia historyczne, czechosłowacki czerwiec 1953 roku zajmuje miejsce marginesowe, podobnie jak społeczno-polityczne strajki i demonstracje w Czechosłowacji w latach 1948-1951. Ciesząca się pewną swobodą wypowiedzi czechosłowacka historiografia lat sześćdziesiątych oraz ograniczenia naszej - i mojej własnej - intelektualnej koncepcji reformatorskiej, ponoszą niemąłą winę za to, że "brak bojowości" klasy robotniczej stał się jednym z czeskich /nie wiem, czy również słowackich/ mitów. Na wielce pouczające porównania z koncepcjami, sposobem pisania i postępowania polskich i węgierskich intelektualistów niestety, nie ma tutaj miejsca. Zachowanie w pamięci prostych ludzi w połowie XX wieku sprawiało nam i nadal sprawia wielkie trudności. Ile znamy ofiar politycznych rządów, ofiar z warstw robotniczych i chłopskich, o ilu wiemy? Ile znamy nazwisk? Poniższy tekst jest więc, niestety, pierwszym opublikowanym świadectwem tego rodzaju - jeśli się mylę, chętnie wydrukuję sprostowanie. Jego francuski przekład wyszedł w historyczno-socjologicznym przeglądzie *Communisme* /nr 9, 1986/. Wspomnienia te zapsisałem w marcu 1982 roku w Kralupach. Miroslav Hnátek, strajkujący robotnik i więzień roku 1953, był wówczas moim kolegą z barakowozu, "czerpaczem wody", podobnie jak ja i wielu moich kolegów. W roku 1982 nadal kochał książki i wiedzę.

Karel Bartošek

Relacja robotnika czechomorawskich zakładów Kolben-Daněk

W roku 1953 miałem dwadzieścia sześć lat. Pracowałem jako monter w ČKD Stalingrad; tak wówczas nazywała się nasza fabryka. Byłem żonaty i miałem dwoje dzieci, chłopców; jeden miał cztery lata, drugi cztery miesiące. Moja żona, także robotnica, była wtedy w domu przy małym.

W sobotę, 30 maja ogłoszono wymianę pieniędzy. W poniedziałek, 1 czerwca, szedłem na pierwszą zmianę. Na początku zmiany komunistki mieli jakąś naradę, fabryka była bez partyjnego dozoru. Dyskutowaliśmy grupkami i zaczęliśmy sobie mówić: "Nie zaczniemy pracować, okradli nas". W ten sposób doszło do strajku, spontanicznie, nigdy nie widziałem żadnych ulotek. Z wydziału Turbiny wyszli na teren pierwsi strajkujący, potem przyłączyli się do nich ludzie z innych wydziałów, z Odlewni. W tłumie pojawiło się hasło: "Idziemy na Zamek", "Na Zamek". Turbina była przy pierwszej bramie, tłum szedł przez całą fabrykę i trzecią bramą wychodził na ulicę. Cała fabryka była w ruchu, ale kiedy na ulicy znalazło się około tysiąca ludzi - byłem między pierwszymi, nasz wydział zaczął - zamknięto żelazną bramę i masa ludzi została

wewnątrz.

Szliśmy w kierunku miasta nie wiedząc, co się dzieje z tyłu. Było około ósmej, pół do dziewiątej rano. Wznosiliśmy okrzyki: "Nie dajcie się ogłupiać", "Idziemy na Zamek". Przed drugą bramą przyłączyli się do nas ludzie z sąsiedniej Pragovki. Kiedy byliśmy na wysokości drugiej bramy, drogę zagrodzili nam partyjni funkcjonariusze z fabryki. Zatrzymano pochód, tłum podzielił się na grupki. Komuniści zaczęli nas strofować, głądzić. W tym momencie uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy na czele tłumu, którego większa część pozostała za zamkniętymi bramami. Na ulicy staliśmy w grupach około dwóch godzin, potem poszliśmy z powrotem do fabryki. Tego dnia nie pracowano już w całej fabryce.

Jeszcze co do początku wydarzeń. Rano atmosfera w fabryce była taka, że nikt nie miał ochoty pracować. Nie przypominam sobie nikogo, kto dałby jakiś znak do strajku, wszystko odbywało się spontanicznie. Ubecy jednak podczas przesłuchań domagali się, żebyśmy powiedzieli, że była to inspiracja z zagranicy. Głupota! Spontaniczność - to była podstawa!

W naszej fabryce byli ludzie w różnym wieku, od osiemnastolatków po sześćdziesięcioletnich. Byli wściekli z powodu wymiany pieniędzy i pod tym względem nie było między nami różnicy; może tylko młodzi, jak zwykle, byli bardziej gwałtowni i aktywni. Z polityką nie miało to nic wspólnego.

Nie należałem do żadnej partii, ani wtedy, w roku 1953, ani przed lutym 1948 nie byłem w żadnym ugrupowaniu. Wyczyłem się na montera maszyn. W ČKD już przed 1 czerwca panowało wielkie niezadowolenie z powodu traktowania ludzi i marnych zarobków. "Postępuję z ludźmi jak niemieccy strażnicy z Werkschutzu" - tak się mówiło o niektórych partyjniakach, mistrzach i aparaczykach. "Nie chce im się pracować, więc wstąpili do Werkschutzu." Z ČKD nie można było odejść, mimo że zarabiano się tam parę korun na godzinę. Kráľyba powiedziałko: "Człowiek łatwiej wydobędzie się z Pankraca niż z ČKD". Robotników specjalnie nie interesowało, kto jest tam na górze, Gottwald czy Zápotocký. Komunistów było wśród nich mało.

Po dwóch godzinach opuściłem fabrykę i poszedłem do domu na Žižkov, Kalinova 6, gdzie na początku wieku mieszkał także Antonín Zápotocký. Znasz tę robotniczą dzielnicę? A potem o pół do drugiej w nocy wtargnęło do mieszkania trzech drani, byli w cywilu, zrazu nie wiedziałem, że to ubecy. Wpadli do środka, drzwi nie były zamknięte, nie zamykaliśmy się. Powiedzieli, że są z policji, nie pozwolili mi nawet pójść do ubikacji, musiałem się natychmiast ubierać. Zaprowadzili mnie do auta, które zawiozło mnie na Bartolomějską.

Jak tylko wszedłem w bramę budynku na Bartolomějskiej, zawiązali mi oczy. Gdzieś mnie prowadzili w taki sposób. W pomieszczeniu, w którym się znalazłem, najwyraźniej było więcej ludzi - wyczułem to po skrzypieniu krzesel. Siedziałem na krześle z zawiązanymi oczami aż do środy, do szóstej rano, potem zaprowadzili nas do cel. Czy była to białina, płata, czy szat, dokładnie nie wiem. Ale jeden strażnik powiedział, że to jest...
 ...

miałem zezwolenia na zakupy. Od żony przez cały czas pobytu w więzieniu dostałem tylko jeden list, nawet nie list, tylko kartę pocztową, którą mi dali przeczytać i znów z powrotem zabrali. Ja nie mogłem pisać, nie miałem zezwolenia.

W listopadzie nagle przyszedli po mnie po kółcacji i puścili do domu. Dokładnej daty nie pamiętam, ale było to na początku miesiąca. Zaprowadzili nas do jakiejś kancelarii, było nas tam czterech strajkujących i powiedzieli, że jesteśmy zwolnieni warunkowo.

Po wyjściu z więzienia nie mogłem znaleźć pracy. W ČKD, gdzie od razu poszedłem, powiedziano mi, że zostałem zwolniony z pracy. Na próżno szukałem innego zajęcia, obszedłem chyba z piętnaście zakładów, wszędzie mi odmawiano. Zawsze pytali, dlaczego opuściłem poprzednie miejsce pracy, w dowodzie osobistym miałem pięć miesięcy przerwy w pracy i personalni o to pytali. Oczywiście mówiłem dlaczego - i zawsze mnie odprowadzono z niczym i to w okresie, kiedy o robotników było trudno. W końcu przyjęto mnie jako kopcza w firmie Baraba, budującej tunele. Zacząłem znów pracować, ale nie na długo.

Trzydziestego pierwszego grudnia, po przyjściu z pracy do domu - robiłem wtedy w Barabie w Kladnie - ponownie zostałem zaarrestowany. Zawieźli mnie najpierw na Lupačova, gdzie był žižkowski komisariat, a potem na Karlák. Tam siedziałem w zbiorowej celi, w bardzo wesołym towarzystwie. Było nas tam sześciu: włamywacz, handlarz węglem, handlarz maszynami, oszust i jeden taki, który zgwałcił jakąś dziewczynę.

Od 9 do 11 stycznia 1954 roku byliśmy sądeni w budynku na Karláku. W naszej grupie było nas trzynastu, ale takich grup było więcej. Sami mężczyźni, kobiet nie było, w wieku od osiemnastu lat /tego chłopaka nazywali Smagin/, aż po sześćdziesięciolatków - był to stary robotnik Markvat i Mikeš, wówczas robotnik, ale przedtem pracownik ministerstwa opieki społecznej, wyrzucony stamtąd po lutym 1948 r. Tego Mikeša w ogóle nie było w naszym pochodzie przed ČKD. Chociaż nie był pochodzenia robotniczego, prokurator nazwał go - pamiętam to dokładnie - *"wstrętnym, obłąkłym skorpionem"*, dostał najwyższy wymiar kary, trzy lata.

Jak przebiegała rozprawa sądowa? Przyznałem się, że byłem w tłumie i krzychałem: *"Chodźcie dalej!"* - ale nie - *"Chodźmy na Zamek!"* i tego mi nie udowodniono. Wśród świadków byli przeważnie funkcjonariusze KPCZ, wielu z tych, którzy wypadli na nas z drugiej bramy. Jak się nazywali, nie wiem. Był między nimi także jeden portier z trzeciej bramy i jacyś żołnierze. Na procesie było wielu widzów, chyba z dwustu albo trzystu, przeważnie ludzie z ČKD. Wstęp był za zezwoleniami. Żona dostała na pierwszy dzień, nie wiem, czy starała się o wstęp na następne.

Kiedy byłem w więzieniu, nie miała żadnych dochodów, żyła z dwójgim dziećmi bez grosza. W ČKD nie zgodzili się wypłacić jej moich zaległych zarobków, do których miałem prawo za odpracowane zmiany przed uwięzieniem. Istniała wtedy oficjalna organizacja państwowa, która udzielała zapomóg rodzinom uwięzionych. Żona poszła tam, ale jakiś drab odprawił ją z niczym: *"Wasz mąż działa na szkodę państwa, a my będziemy wam jeszcze pomagać?"*. I wyrzucił ją za drzwi. Pomagali jej rodzice, a potem musiała iść do pracy i oddać dzieci do żłobka. Nie istniała inna forma solidarności, do żony nigdy nikt z fabryki nie przyszedł, nie zaproponowano jej pomocy. Panował strach. Ludzie bali się nawet spotykać z kimś, kto się wplątał w coś takiego. Ja sam także po powro-

cie z więzienia bałem się kogokolwiek odszukać. Przypadkiem spotkałem znajomego z sąsiedniej fabryki. Opowiedziałem mu, co się ze mną działo. Następnego dnia, rozmawiając z ojcem, powiedziałem: *"Chyba nie powinienem być mu nic mówić"*. Ojciec zwymyślał mnie.

Sąd ogłosił wyrok 11 stycznia 1954 roku. Dostałem cztery miesiące plus pokrycie kosztów części procesu sądowego, co wynosiło około 1.000 koron. Odsiedziałem sześć miesięcy, tego co odsiedziałem ponad karę oczywiście nikt mi nie wynagrodził, a tysiąc koron oczywiście musiałem zapłacić. W naszej grupie były wyroki od trzech miesięcy do trzech lat, ale w niektórych innych grupach byli ludzie skazani nawet na dziewięć lat. Z naszej trzynastki jedenastu było robotnikami, jeden to był doktor, prawnik, niejaki Škudek, zatrudniony u nas, ale nic wspólnego ze strajkiem nie miał. W dniu strajku nie było go w pracy, ale podobno przedtem, kiedy miał nocną zmianę i pracował przy towarce powiedział, że *"będzie głód i niedza"*. Tak zeznał milicjant. Dostał rok więzienia. A potem ten Mikeš, ten *"wstrętny, ośliągly skorpion"*, został skazany na trzy lata.

Jakie były skutki mojego uwięzienia i skazania? W roku 1954 starałem się o przyjęcie do szkoły wieczorowej dla pracujących, chciałem ukończyć szkołę średnią. Pracowałem w firmie Baraba jako konserwator i *"z przyczyn personalnych"* nie otrzymałem z zakładu skierowania do szkoły. W roku 1956 znów starałem się o zezwolenie i otrzymałem je. W roku 1959 zrobiłem maturę i ubiegałem się o przyjęcie na wyższą uczelnię, na wydział ekonomiczny. Nie zostałem przyjęty. W roku 1968 skierowałem do generalnej prokuratury prośbę o rehabilitację, przedkładając wszelkie dokumenty, dotyczące uwięzienia i wyroku. Odpowiedź dostałem dopiero w 1972 roku: *"W pana przypadku prawo nie zostało naruszone, prośbę o rehabilitację oddala się"*. Dokumentów mi nie zwrócono. Obrzydliwe draństwo.

W więzieniu poznałem różnych ludzi. Na Pankracu był ze mną Ivan Sova, za ulotki, wydała go własna żona, z którą się rozwodził. Ile dostał, nie wiem. Kiedy przejeżdżałem przez Brno, miałem ochotę zatrzymać się u niego, pochodził właśnie stamtąd, był nauczycielem muzyki. Chciałem się dowiedzieć, ile dostał. Był także wśród nas pewien przewodniczący spółdzielni produkcyjnej z Blanicka, spod Blanika. Przed wymianą pieniędzy zmokło mu żyto i powstała szkoda na około 1.500 koron. Kiedy go poznałem, był już w więzieniu 11 miesięcy. Stałe się martwił: *"Dadzą mi sabotaż, czy rażące niedopatrzienie?"*. Sabotaż oznaczał siedem lat, a niedopatrzenie 15 miesięcy. Chciał te straty pokryć sam, ale mu na to nie zezwolono. Odwiedził mnie po wyjściu z więzienia. Dostał tylko dziewięć miesięcy i był bardzo szczęśliwy.

W roku 1972 pracował ze mną niejaki Němeček i pewnego razu opowiedział mi o sobie. Był również w więzieniu, siedział trzy lata. Doreczył komuś jakiś list, a podobno powinien domyślać się, że idzie o działalność antypaństwową. Mówił: *"Chcę szybko o tym zapomnieć!"*. Potem w nocy krzyczał we śnie tak, że mnie obudził. Tego wieczoru nic nie piliśmy, nawet piwa. Pytałem go: *"Co się dzieje? Dlaczego tak krzyczysz?"*. - *"Śniło mi się, że się topiłem w wapnie."*

ŚMIEJCIE SIĘ ZE WSZYSTKICH SIŁ WĘGRY PO ROKU 1956

Dwa teksty przedstawione poniżej zaczerpnęliśmy z 19. numeru węgierskiego niezależnego pisma "Bésszelő". Autor pierwszego z nich nie żyje - latem 1957 r. skazano go na karę śmierci za udział w walkach 1956 r. Po ponad rocznym pobycie w celi śmierci wyrok wykonano w grudniu 1958 r. Jego ostatni list przemycono z więzienia - na kawałku papieru toaletowego. Adresat siedział wówczas w innym więzieniu, w którym nauczył się na pamięć ostatnich słów przyjaciela. Dramatyczny dokument opublikowano po raz pierwszy dopiero w 1987 roku.

Autor drugiego tekstu przeżył. Po wyjściu na wolność aktywnie uczestniczył w działaniach węgierskiej opozycji demokratycznej. Obecnie od kilku lat mieszka w Londynie. W drugiej części artykułu dokonaliśmy skrótów.

List pożegnalny Istvána Angyala

Mój Pisto, jeszcze żyję, choć męczy mnie już umyślowe lenistwo spowodowane czteromiesięcznym pobylem tutaj. Chcąc nie chcąc jestem zmuszony do zajmowania się swoją osobą, a dla człowieka praktycznego jest to zajęcie obrzydliwe. Chciałbym działać, być użytecznym - bardzo mi tego brakuje. Gyözö^x pyta, co ma Ci przekazać. Mógłby nic nie przekazywać i tak byłoby najlepiej. Jestem jednak słaby, miłość i przyjaźń za bardzo mnie wiążą ze światem oraz z Tobą, Pisto. Ludzie czekają dziś na te ostatnie słowa, tak jak dawniej czekało się na karta, który przynosił kawałek sznura, oznaczający śmierć. Chcieliby, abyśmy wypowiedzieli się przed światem. A mnie dręczy jedynie to - o ile cokolwiek w ogóle może nas jeszcze dręczyć - że "pełne wdzięczności wnuki" zrobią z nas męczenników albo bohaterów, po to, by dręczyć samych siebie. Gdyby tak się stało, protestuj, protestuj! Nie chcemy tego, niech nie grzebią się we własnych brudach, we własnej przeszłości, którą być może będziemy my. Niech surowy gład stanie się wspomnieniem motłochu, z którego powstałiśmy, z którym byliśmy i z którym odchodzimy. Choć i to jest głupota, jak każde rozwodzenie się nad przeszłością. Zapomnijcie, zapomnijcie o nas, tak będzie najlepiej. Pamięć nakłada więzy na działającą dłoń lub skłania ją do czynów nierozważnych. Wy żyjcie, śmieJCie się ze wszystkich sił, bo i my tak pragnęliśmy żyć. Nie pozwólcie, by pamięć stała się waszym panem.

Każdy z dni dzielących nas od śmierci jest długi, a każdy z tych, które właśnie przeżywamy - krótki. Jest bardzo ciężko, ale nie zmieniłem się i daję się wytrzymać. Mam w sobie więcej człowieczeństwa, być może tyle, że mogę już odejść. Jeśli boli, to tylko dlatego, że boli też tych, którzy mnie kochali. Ściskam Cię, Pisto, Bóg z Tobą.

^x Gyözö Gép - współwięzień adresata, który przekazał mu niniejszy list.

György Krassó

Węgierska alternatywa

5 listopada 1956 r., zatrzymując się co chwila z powodu wybuchających pocisków, siedłem wraz z dwudziestoczteroletnią dziewczyną w stronę domu, niosąc w plecaku powielacz. Dziewczyna żłała i powtarzała w kółko: "Co z nami będzie, co z nami będzie?". Nie potrafiłem jej pocieszyć, otoczył ją nieprzenikalny pancerz rozpaczy. Dziewczyna ta zrobiła później w systemie kadarowskim wielką karierę. Została funkcjonariuszem od kultury i musiała wypełniać wiele brudnych zadań. Żyje w dostatku, lecz jest nieszczęśliwa. Dawni przyjaciele unikają jej, synowie wyzywają ją od komunistycznych kurew. Wiele osób sądzi, że jeszcze przed rewolucją była agentką, informatorką tajnej policji. Powodem jej rozpaczy był nie tyle stan kraju, co raczej świadomość, że znowu będzie musiała pełnić tę funkcję.

Tego samego dnia, 5 listopada 1956 r., osiemnastoletnia ulicznica imieniem Erzsébet Szilágyi, potocznie zwana Blondyną, obwiesiła się granatami ręcznymi i rzuciła się pod rosyjski czołg przed budynkiem Dworca Zachodniego. Wyleciała w powietrze wraz z czołgiem. Przed samobójczym skokiem powiedziała przyjacielom: "Nie chcę być znowu kurwą!".

O ile dobrze pamiętam, László Szenes brzmiało nazwisko mojego towarzysza z celi, który w 1959 roku powiesił się w umieszczonym pod ziemią karcerze więzienia w Vác, pomimo pozornego braku wszelkich środków mogących służyć do popełnienia samobójstwa. Umarł. Był donosicielem i z jakichś powodów utracił nawet zaufanie swych mocodawców. Obchodzono się z nim podle i nikt go nie żałował.

Rok wcześniej inny mój towarzysz, Géza Pécs, który w czasie śledztwa nie obciążał nikogo, w noc poprzedzającą wykonanie wyroku śmierci podciął sobie żyły kawałkiem Bóg wie skąd zdobytego szkła i umarł, zanim zdążyli po niego przyjść kaci.

Miałem znajomego, nazywał się Imre Lakatos. W latach pięćdziesiątych siedział w obozie śmierci w Recsku, zaś po rewolucji był sławnym filozofem w Anglii, gdzie żył długo i szczęśliwie. Gdy Lakatos został zwolniony z obozu, przyjął go do swego mieszkania pedagog-psychiatra Ferenc Mérei. Dał mu pieniądze, ubranie, jedzenie. W grudniu 1956 r., w noc poprzedzającą jego ucieczkę na Zachód, Lakatos odwiedził Méreiego i powiedział mu, że w czasie gdy u niego mieszkał, codziennie przysyłał agentom AVH^x meldunek o tym, co mówił jego gospodarz. W 1958 r. Mereiego skazano na 10 lat więzienia.

József Ábrahám, dwudziestoczteroletni młody człowiek został w 1958 r. skazany za nic - jak mawiano w więzieniu, "za gówno, za szczytny" - na karę śmierci. Już po wykonaniu wyroku jego towarzyszowi Ottó Szirmaiemu, także skazanemu na powieszenie, pokazano meldunki Ábraháma o tym, co Szirmai powiedział mu w celi śmierci. W kilka miesięcy później powieszono także Ottó Szirmaiego, który nigdy nie składał na nikogo donosów.

Nie minął nawet rok od wypuszczenia mnie w 1963, gdy znowu mnie aresztowano. Oficerowie śledczy powiedzieli mi dawnym towarzyszom z więzienia, Alajosowi Ötvösowi, Örsowi Borbélyowi i Istvánowi Kaunitzowi /wszyscy posiadali rodziny/, że zamkną ich ponownie, jeśli nie

x

AVH - policja polityczna z lat pięćdziesiątych. /red./

złożą obciążających mnie zeznań. Endremu Csukasowi zagrożono, że jeśli nie powie tego, co trzeba, jego brat zostanie usunięty z uczelni. Károlyowi Haberlandowi obiecano, że jeśli podpisze obciążające mnie zeznanie, umorzone zostanie toczone przeciw niemu postępowanie o spekulację mieszkaniami.

Węgierska alternatywa. Jedni wybierali tak, inni siak. Trzeciej możliwości nie było.

Ferenc Cselik już 23 października walczył pod budynkiem Radia, później przy kinie Vörösmarthy, na rogu Placu Kalwina, potem organizował lewicowe skrzydło Rewolucyjnej Partii Młodzieży, później walczył na bulwarze Franciszka, później próbował organizować konspirację. W jakiś sposób udało mu się wykręcić dożyciem. W 1963 r. wyszedł na wolność. Pracował jako robotnik, potem jako niski rangą urzędnik. W 1984 roku postanowił oficjalnie podjąć pracę za granicą, by zarobić dla własnej rodziny trochę pieniędzy. W porządku - powiedziano mu - może pan jechać. Ale tylko pod warunkiem, że podpisze zobowiązanie do wysyłania meldunków na temat swych znajomych. 11 czerwca 1984 r. przed południem wyszedł z pracy i pojechał na prowincję. W pustym pokoju zażył olbrzymią ilość środków nasennych. *"Nawet tę mokrą robotę muszę odwalic sam"* - napisał w liście pożegnalnym. Wdowa po nim, za radą policji, zataiła fakt samobójstwa i jego przyczyny, by dzieciak mógł kontynuować naukę.

W styczniu 1982 r. pochowano Sándora Bali, byłego przewodniczącego Rady Robotniczej XI. dzielnicy, jednego z przywódców Centralnej Rady Robotniczej Wielkiego Budapesztu. Był robotnikiem, narzędziowcem jednym z najwspanialszych ludzi, jakich poznałem w swoim życiu. Tekst mowy pożegnalnej znajdował się w kieszeniach czterech z nas. Jeśli zwiną jednego, inny będzie kontynuować. W czasie pogrzebu stałem przy grobie, koło żony Sándora Bali. Łkała. *"Rozmawiałam już z innymi... Gyuri, bardzo pana proszę, niech pan nic nie mówi."* - *"Ale dlaczego?"* - *"Mój syn jest śmiertelnie chory, ma raka kości - wyszeptala. - Być może w jednym z paryskich szpitali potrafią go wyleczyć. MSW poinformowało mnie, że jeśli będą tu przemówienia, syn nie dostanie paszportu. Niech pan zrozumie, chodzi o życie mojego syna."* Nie było mowy pożegnalnej. Chłopak nie wyjechał do Paryża, zmarł w Budapeszcie, wkrótce po ojcu.

Co to za społeczeństwo, co to za świat, który stawia swych obywateli przed takim wyborem? W którym już małe dzieci muszą nauczyć się obłudy i kłamstwa, w którym wszyscy muszą zrozumieć, że *"kto mówi prawdę, sam sobie szkodzi"*, że *"milczenie jest złotem"*, że *"głową muru nie przebijesz"*? Co to za kraj, którego ukochany i szanowany przywódca oszukał, zdradził i pomógł zamordować swych najlepszych przyjaciół i towarzyszy - László Rajka, Imrego Nagya oraz tysiące innych, których jedyną winą było to, że kochali ojczyznę i walczyli o nią.

Owszem, można stąd wyjechać. Są jednak tacy, którym te wyjazdy nie wychodzą. Istvan Zador, mój przyjaciel i kolega z klasy, w 1956 r. współpracownik Attili Szigetiego^x, wytrzymał tylko 2 lata. W 1958 r. popełnił w Londynie samobójstwo.

Niech nikt nie mówi, że wszystko to wynika z charakteru narodu węgierskiego. Niech nikt nie mówi, że już w roku '44 było to znacznie

^x

Attila Szigetey - wiceprzewodniczący Rady Narodowej w mieście Győr w okresie powstania 1956 r. Bliski przyjaciel i sojusznik Imrego Nagya. /red./

więcej donosów do Gestapo, niż we wszystkich innych krajach okupowanych. Niech nikt nie mówi - a zwłaszcza Kadar, jak to uczynił w wywiadzie dla *Time Magazin* - że Węgry nie mają tradycji demokratycznych i dlatego komuniści muszą "wychować lud do demokracji". Niech raczej powie, co zrobili z nami - on i współpracownicy jego zbrodni - po krwawym stłumieniu rewolucji. Jak wdeptali nas w błoto, w upokorzenie, w pogardę dla samych siebie i innych, w zdradę, w nacjonalistyczną nienawiść, w świat rządzony dewizą "ciężaj, a dorobisz się", w bezlitosną bierność, bo przecież "nie da się pod prąd". Niech opowie o zamordowanych, okaleczonych, o ludziach zastraszonej aż po dziś dzień, o zmuszonych do emigracji. Niech powie też, co zamierza zrobić z dzisiejszą młodzieżą, która marzy o innym życiu, tak jak jej poprzednicy sprzed trzydziestu lat.

W czasie rewolucji leje się krew, a nas jest mało? Tak, leje się krew. Tak, mało nas. Ale do jakich skutków prowadzi ta dzisiejsza karykatura pokoju? Kto policzy samobójców, alkoholików, wpędzonych w szaleństwo, ofiary wypadków w rozsypujących się fabrykach, zwłoki ludzi i piodów wypełniające kostnice źle wyposażonych i przepełnionych szpitali? Kto policzy wszystkich tych, którzy mogliby żyć tu z nami, lecz bezsenownie i nędznie umarli? I tych, którzy żyją, którzy jeszcze walczą resztkami sił, coraz głębiej zanurzając się w to bagno?

Przed trzydziestu laty ludzie poczuli, że mają tego dosyć. Poczuli, że są wartości wyższe, niż samo przeżycie. /.../

György Krassó

ISTVÁN HOSSZÚ

RUMUŃSKI SIERPIEŃ

Poniższą relację opublikowano po raz pierwszy w 22. numerze węgierskiego kwartalnika "Beszélő" w 1987 r. Jej autorem jest Węgier żyjący w Rumunii. W tekście tłumacz dokonał obszernych skrótów. Tytuł pochodzi od redakcji.

W 1976 roku bardzo wyraźnie dało się już wyczuć pogorszenie stosunków między władzą a społeczeństwem. Gdziekolwiek człowiek się rozejrzył, wszędzie zauważał bezprawne nadużycia i ucisk robotników. Wtedy to właśnie wprowadzono darmową pracę w niedzielę. Bez żadnej rekompensaty zabrano, po prostu ukradziono robotnikom ich jedyną wolną dzieł.

1 sierpnia 1977 r. wybuchł wielki strajk górników w dolinie rzeki Jiu. Bezpośrednią przyczyną wystąpienia był fakt, iż rząd bez żadnej konsultacji zniósł szereg przywilejów przysługujących dotąd górnikom. Zmieniono na przykład czas pracy - wcześniej pracowaliśmy 6 godzin

dziennie /przywilej ten został nam swego czasu nadany przez samą partię/, teraz dniówkę wydłużono do 8 godzin. Wiek emerytalny górników przesunięto z 50 do 55 lat. Z dnia na dzień zniesiono tzw. rentę trzeciego stopnia przysługującą górnikom-inwalidom - bez żadnych badań lekarskich i bez rozpatrywania poszczególnych przypadków poinformowano zainteresowanych, że odtąd nie będą już otrzymywać dodatku za kalectwo. W odpowiedzi na to wybuchł strajk.

Nagle poruszenie w oka mgnieniu ogarnęło całe niemal zagłębie Jiu. Centrum oporu znajdowało się w miasteczku Lupeni, posiadającym bogate tradycje ruchu robotniczego. Tu właśnie w 1929 r. wybuchł słynny strajk, zdławiony salwami żandarmów.

Nasza kopalnia stanowiła jeden z nielicznych wyjątków - panowała tu cisza. Kiedy 1 sierpnia, w poniedziałek rano, poszedłem do pracy, słyszałem już to i owo i strajku w Lupeni, lecz niezbyt wierzyłem, że to coś poważnego. Dopiero gdy dotarłem do stadionu i zobaczyłem, że panuje niezwykle poruszenie, że jeden helikopter ląduje na boisku, a inny startuje, zacząłem pojmować, że to naprawdę nie przelewki. Normalnie helikopter należy w dolinie Jiu do rzadkości, a już zwłaszcza helikoptery Komitetu Centralnego - bowiem te dwie maszyny należały do KC. No, coś tu się jednak dzieje!

Dotarłem do kopalni. Wszędzie podniecenie, bieżączka, ale nie ma żadnej wiarygodnej informacji. Oczywiście kierownictwo starało się zaprzeczać lub oprzeć tłumaczyć pogłoski, próbując odwrócić uwagę ludzi od wydarzeń w Lupeni.

Nasza kopalnia leżała 20 km od Lupeni, ale droga nie była łatwa, bo cała dolina Jiu ruszyła w tym kierunku. Górnicy zdobyli ciężarówki, zawracali z tras autobusy i pociągi. Ze wszystkich stron napływały do centrum strajku.

Do miasta dotarłem o dziewiątej rano. Olbrzymi tłum i ogromne poruszenie! Zebrało się tu - skromnie licząc - ze 30-35 tysięcy ludzi. Nie chcę przesadzać, więc podaję tylko tę liczbę. Ta masa ludzi płynęła w stronę dziedzica kopalni - tam znajdował się punkt zborny strajkujących i tam odbywało się walne zgromadzenie.

Gdy tylko wysiadłem z autobusu i wtopiwszy się w tłum ruszyłem w stronę kopalni, zauważyłem obecność tajnej policji. Ws z ę d z i e Securitate! Nietrudno było ich rozpoznać: przy pomocy ciemnych okularów i innych pomysłowych środków udało im się tak zamaskować, że natychmiast rzucali się w oczy. Kręcili się w tłumie, jak złbite psy, albo stali oparci o mur z opuszczonymi głowami - oczekiwali na rozwój wydarzeń. Byli absolutnie bezsilni, bowiem strajk wybuchł tak nagle, że nieprzygotowane nań władze były całkowicie zaskoczone. Zaś w robotnikach dokonała się przemiana: wszędzie widziałem podniecenie, szczególnie twarde, wszyscy byli pełni wewnętrznej swobody.

Ogromny dziedziniec kopalni był zatłoczony ludźmi, którzy stali nawet na stosach drewna i dachach, na urządzeniach kopalni, siedzieli na rurach i drzewach. Kierownictwo strajku usadowiło się na betonowym dźwigarze. Wszyscy chcieli stanąć w pobliżu, ale było to raczej niewykonalne, bowiem nie dało się nawet poruszyć. Wrzawa. Skandowano: "Iupeni 29". Można było nawet usłyszeć hasła: "Trzeba ich żywym obdrzeć ze skóry", "Trzeba ich powiesić na językach" ale w rzeczywistości nie skrzywdzono nikogo. Co prawda, tajniacy nie osmielili się wchodzić na dziedziniec. Bali się, że naprawdę dojdzie do linczów. Jeśli jednak rozpoznawano gdzieś kogoś z nich, tłum jedynie go opluwał.

Najbardziejziej zdziwiło mnie powoływanie się na rewolucję węgierską. Wcześniej nigdy się z tym nie spotkałem, teraz natomiast wszędzie można było usłyszeć: "Trzeba zrobić to, co Węgrzy w '56-tych" i to nie tylko po węgiersku, ale i po rumuńsku! Pojąłem wówczas, że przez ponad dwadzieścia lat iskry rewolucji węgierskiej drzemały skryte pod popiołem, stanowiąc dla górników z Jiu czysty ideał i przykład.

Obszedłem kopalnię szukając miejsca, przez które mógłbym się dostać na dziedziniec. Nie znalazłem przywódców strajku, z dużej odległości nie widziałem nawet ich twarzy, jedynie na podstawie zamontowanych magnetofonów mogłem się zorientować, że kierownictwo zajęło miejsce na betonowym dźwigarze. Obszedłem centralną część kopalni otoczoną żelaznym ogrodzeniem i wreszcie znalazłem z tyłu zamkniętą bramę. Wspiąłem się na nią i znalazłem się w pobliżu betonowego dźwigara, w samym środku wydarzeń.

Przez większą część pierwszego dnia kierownictwo przy udziale całego tłumu sformułowało i zawarło w 14 punktach postulaty górników. Troje przywódców, górnik Constantin Dobre, inżynier Jurca i jakaś działaczka organizacji młodzieżowej, na przemian odczytywali do mikrofonu poszczególne punkty, po czym każdy mógł się wypowiedzieć - upłynęło mnóstwo czasu, nim powstał ostateczny tekst. Pierwszym postulatem było ponowne skrócenie dniówki robotników pracujących pod ziemią z 8 do 6 godzin. W drugim punkcie żądano przywrócenia poprzedniego wieku przejścia na emeryturę - to jest 50 lat. Punkt trzeci - przywrócenie dodatku za kaletko. W punkcie czwartym żądano, by prasa, radio i telewizja szczegółowo poinformowały o strajku górników. W punkcie piątym domagano się wypienienia korupcji w służbie zdrowia. Niezbyt dobrze pamiętam kolejność następnych postulatów, lecz mogę odtworzyć niektóre z nich. Domagaliśmy się poprawy zaopatrzenia zagłębia węglowego w żywność, żądaliśmy stworzenia miejsc pracy dla rodzin górników /dla żon i kończących szkołę dzieci/, żądano budowy nowego szpitala, jako że przyrost ludności przekroczył możliwości starego ośrodka zdrowia - zwłaszcza jeśli uwzględnić wysoki odsetek wypadków.

Jeśli mnie pamięć nie myli, jeszcze w poniedziałek przybył do Lupeni Ilie Verdet ze swą żoną. Był on członkiem KC i przewodniczącym Rady Państwa, a ponadto jakimś krewnym Ceausescu. W dodatku jemu to właśnie powierzono w KC sprawy dotyczące zagłębia węglowego Jiu. Krótko mówiąc był naszym oficjalnym zwierzchnikiem. W późniejszych latach utracił swą władzę, zdegradowano go na ministra, ostatecznie zdemisjonowano go nawet z tego stanowiska. Wówczas był jednak wielką szycią. Towarzyszył mu ówczesny minister górnictwa, Constantin Babalu, zaś w Lupeni przyłączyli się do nich sekretarz tutejszego komitetu partii, Klement Negruc i burmistrz miasta, Gina. Po przybyciu na miejsce Verdet dziarsko wkroczył na teren zakładu z zamiarem zrobienia porządku - na co strajkujący górnicy aresztowali go wraz z pozostałą trójką. Najwzajemniej w świecie aresztowali wszystkich czterech! I to na oczach Securitate - tajniacy stali bezradnie.

Verdetowi rzucono w twarz:

- Przyjechałeś tu pertraktować? Z tobą nie będziemy rozmawiać! Oszukałeś całą partię, oszukałeś całe kierownictwo państwowe i nas też ciągle okłamywałeś! Nie mamy o czym z tobą gadać!

Zrozumiałem wtedy, że przywódcy strajku chcą rozmawiać z samym Ceausescu, chcą zmusić sekretarza generalnego, by przybył osobiście na negocjacje.

Na tymczasowy areszt dla czterech zatrzymanych wyznaczono małą budkę strażniczą. Złożona z górników straż odprowadziła ich tam, przedzierając się przez gęsty tłum. Strażnicy zrobili wszystko, by uchronić aresztantów przed gniewem robotników, lecz oczywiście starania te były nie do końca skuteczne: po drodze podarto na Verdecie ubranie, pojedyncze osoby wyskakowały z tłumu i jeśli miały okazję, biły go i poszturchiwały. Tak więc cała czwórka dostała się do aresztu w dość opłakany stan.

Drewniana budka była tak mała, że ledwo mogli się w niej zmieścić. Górnicy wybili siekierą szyby, by więźniowie mieli dość powietrza /było gorące lato/. Przez wybite okna mogli też słyszeć lawinę przekleństw. W czasie pobytu w areszcie dostawali jedynie wodę i ciemny chleb, taki sam, jaki jedliśmy my: - no, skosztujcie tego, czym nas karmicie! - był to gliniasty, niewyrośnięty zakalec, który nie nadawał się do jedzenia.

Później wypuszczono Constantina Babalu - ministrem górnictwa mianowano go niewiele wcześniej, nie miał okazji, by poznać położenie górników, a więc nie obciążała go osobista odpowiedzialność. Pozostali trzej siedzieli dalej, dniem i nocą kuląc się na podłodze drewnianego budyneczku, żując karmę dla psów zwaną chlebem i z przerażeniem słuchając groźnej wrzawy potężnego tłumu.

W tych dniach Ceausescu przebywał akurat w uzdrowisku nad morzem, gdzie gościł ważną delegację z Ameryki. Tam otrzymał wiadomość, że górnicy z Jiu czekają na niego, zaś Securitate poinformowała go o szczegółach i wytłumaczyła, że jego niezwłoczne przybycie do Lupeni jest konieczne. Ceausescu nie chciał jednak uwierzyć, że rzecz jest poważna. Sądził, że Jiu może sobie poczekać i odwlekał sprawę.

Natomiast cierpliwość strajkujących była już na wyczerpaniu. Gdy nieobecność Ceausescu zaczęła się przedłużać, postanowiono, że osmiosoobowa grupa strażników zaprowadzi uwięzionego Verdetę do miejskiego Domu Kultury, skąd można specjalną linią zadzwonić do nadmorskiego uzdrowiska. Niech Verdet porozmawia z Ceausescu. Strażników poinformowano, że nie ma mowy o pogaduszkach, Verdet ma przekazać w jednym zdaniu, że Ceausescu musi przyjechać i na tym koniec.

Tak się też stało.

- Towarzyszu Ceausescu, proszę natychmiast tu przybyć, bo mamy duży kłopot! - powiedział Ilie Verdet głosem zmienionym od strachu.

Oczywiście sekretarz generalny nie zadowolił się tym i żądał dokładniejszych wyjaśnień, ale dowódca straży wyrwał Verdetowi słuchawkę z ręki. Słuchać było jeszcze krzyki Ceausescu: "*Verdet! Verdet! Verdet!!*". Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo górnik odłożył słuchawkę.

Wreszcie Ceausescu pojął, że Verdet jest uwięziony i że natychmiast trzeba jechać. Porzucił amerykańską delegację, wsiadł w helikopter i nie zatrzymując się po drodze doleciał do Petroşeni. Tu przesiadł się do czarnych limuzyn ze swą naprędcę skrzykniętą świtą i przyjechał do Lupeni. Byli z nim Ion Pacea, który później uciekł na Zachód, i trzej jeszcze dygnitarze, którzy akurat znajdowali się pod ręką. Do kopalni przybył czteciego dnia strajku, w środę wczesnym popołudniem.

Później rumuńska prasa pisała o tym wydarzeniu jako o "*przysiężelskiej wizycie robotczej*", zgodnie ze zwyczajem fałszując rzeczywisty obraz.

Muszę jednak powiedzieć, że powitanie rzeczywiście było przyjazne. Za radą przywódców strajkujący umówili się, że w chwili przyjazdu sekretarza wniosą okrzyk: "*Ceausescu i górniczy! Ceausescu i lud!*", a gdy tylko sekretarz dotrze do betonowego dźwigara, tłum mianuje go "*honorowym górnikiem*".

Tym gestem strajkujący już w pierwszym momencie strzelili sobie bramkę samobójczą, która z góry przekreśliła ich szanse. W tej, do skrajności napiętej, sytuacji Ceausescu mógł liczyć jedynie na resztki swojego autorytetu osobistego, na nich jedynie mógł opierać swoją taktykę. I my daliśmy mu taką możliwość. Stosunek sił sprawiał, że nasze szanse były początkowo duże - ale wszystko popsuliśmy. Byliśmy naiwni. Muszę niestety powiedzieć, że nawet nasi przywódcy, ci naprawdę mądrzy i dziarscy, odważni ludzie, byli także żałośnie naiwni.

Kierowcy czarnych limuzyn chcieli przedrzeć się samochodami przez tłum, by podejść do samego dźwigara. Było to jednak niemożliwe - ludzie, gdyby nawet chcieli, nie byli w stanie ustać z drogi w tym ścisisku. Dygnitarze musieli więc wysiąść z samochodów już przy bramie kopalni i musieli przejść w szpalerze strajkujących, mijając na wyciągnięcie ręki zbuntowanych robotników. Odległość, jaką mieli przebyć nie była duża, lecz droga z pewnością niemiłosiernie dłużyła się sekretarzowi. Widok jego twarzy w tym momencie pozostał dla mnie niezapomnianym przeżyciem: był zdumiony, a nawet przestraszony. Rzucił spojrzenia na lewo i prawo, i widać było, że nie wierzy własnym oczom. Tak, na jego twarzy widniał strach, przerażenie, czuł, że wpadł w potrzask. Słyszał, że tłum stojący dookoła wiwatuje na jego cześć, w całej dolinie rozbrzmiewało: "*Ceausescu i górniczy! Ceausescu i lud!*" - wiedział jednak dokładnie, co jest grane. Z pewnością czuł się tak, jak człowiek stojący naprzeciw psa, który merda ogonem, a jednocześnie szczerzy zęby.

Przywódcy strajku nie wyszli mu naprzeciw, czekali na niego przy mikrofonach na betonowym dźwigarze. Wreszcie Ceausescu dotarł tam, przywódcy uściśli mu rękę, rozległy się oklaski i wiwaty. Wtedy tłum z miejsca okrzyknął go honorowym górnikiem - sekretarz był bardzo zmieszany.

Do górników przemówił Constantin Dobre - mówił dobrze, wręcz znakomicie, zdecydowanym głosem, doskonale wyczuwając nastrój tłumu. Czuło się wyraźnie, że każde zdanie wywiera na ludziach wielkie wrażenie. Po uroczystym wystąpieniu zapytał górników, co proponują: czy ma teraz oddać głos towarzyszewi Ceausescu, czy też najpierw mają zostać odczytane postulaty? Tłum odpowiedział jednogłośnie:

- Najpierw postulaty! Najpierws postulaty!

Przeczytano więc 14 punktów. Nie komentując ich, odczytano je powtórnie. Ceausescu wysłuchał ich w milczeniu. Następnie odezwał się Dobre:

- A teraz, kiedy już powiedzieliśmy swoje, oddaję głos ukochanemu synowi narodu rumuńskiego, towarzyszewi Ceausescu!

Ukochany syn narodu rumuńskiego wziął mikrofon do ręki i zaczął mówić zupełnie ochrypłym głosem. Ledwo dało się zrozumieć pierwsze zdanie. Zaczął od tego, że "*towarzysze, tego nie należy robić*", "*nie należało tego robić w takiej formie, bo to hańba dla narodu*" - i tak dalej. Był zupełnie skonfundowany - raz mówił nam per "*towarzysze*", raz per "*panowie*", w innym miejscu per "*wy*".

Musiał wyczuć, że jego wymówki zostały przyjęte dość nieprzyjaźnie, bo przerwał, nieco się wziął w garść i przeszedł do omawiania naszych postulatów. Nie komentował po kolei wszystkich czterestu punktów, bardziej drażliwe kwestie pominął i skoncentrował się głównie na punkcie pierwszym, na kwestii sześciogodzinnego dnia pracy. Sądził bowiem, że tu może okazać pewną wyższość:

- Towarzysze, nie pojmuję całej tej sprawy! Wszak to właśnie najwyższe organa partyjne opracowały projekt sześciogodzinnego dnia pracy, musicie przecież pamiętać, że niedawno właśnie Komitet Centralny partii zaproponował, by biorąc pod uwagę złe warunki pracy skrócić do sześciu godzin dniówkę górników dołowych. I zostało to przyjęte. I kto później prosił o przywrócenie ośmiogodzinnego dnia pracy? Wy sami! Więc dlaczego się teraz skarżycie?!

Z miejsca otrzymał odpowiedź:

- Nie my prosiliśmy! Złodzieje prosili, bandyci! - dudnił cały dziedziniec. - Nie my, tylko złodzieje i bandyci! Złodzieje i bandyci!!! - Dopiero Dobre zdołał jakoś uciszyć ludzi, tak że sekretarz generalny mógł mówić dalej.

- No dobrze, więc przedyskutujmy tę kwestię - powiedział. - Ale dyskutujmy jak ludzie rozsądni, bo jeśli panowie będziecie tylko krzyczeć, to nie posuniemy się do przodu!

I zaczął tłumaczyć, że jednoczesne przejście całej doliny Jiu na sześciogodzinny dzień pracy jest chwilowo niemożliwe. Spowodowałoby to trudności organizacyjne nie do rozwiązania, a obecna liczebność załóg nie wystarcza dla wprowadzenia sześciogodzinnego dnia. Właśnie teraz, kiedy gospodarka narodowa odczuwa tak palącą potrzebę węgla, postulat ten jest nierealistyczny i nie można go spełnić. Dlatego też on sam proponuje, by na sześciogodzinny system pracy przeszło na razie tylko Lupeni. Później zaś stopniowo, krok po kroczku, dołączą inne kopalnie zagłębia Jiu.

Wszyscy zrozumieli, że jest to nędzne kręactwo, że celem Ceausescu jest podzielenie robotników. Chce zdemobilizować robotników z Lupeni - z pozostawioną własnemu losowi resztą, jakoś sobie poradzi. Górnicy pojęli to i nie dali się nabrać:

- Sześć godzin od jutra dla całej doliny Jiu! Inaczej nie podejmujemy pracy! Sześć godzin, od jutra wszędzie sześć godzin!!

W tym momencie Ceausescu okropnie się rozżłościł. Rzeczą niepojętą był dla niego fakt, że ktoś ośmielił mu się sprzeciwić, i to w jego obecności. I w dodatku robotnicy! Powodowany wściekłością popełnił duży błąd. Zachował się tak, jakby był na posiedzeniu KC albo w swoim pałacu.

- Taak? Nie podejmiecie pracy?? - powtórzył to jeszcze dwukrotnie: - Nie podejmiecie pracy?! Nie chcecie podjąć pracy?!! Dobrze - powiedział. - To w takim razie porozmawiamy sobie inaczej!!

Sądzę, że wszyscy byli w pełni świadomi, że okoliczne góry naszpikowane są uzbrojonymi żołnierzami i oddziałami Securitate. Ale co z tego! Nawet jeżeli jesteśmy otoczonymi niewolnikami, w których mieżąc lufy karabinów, to on sam, Ceausescu, jest w środku, otoczony przez nas! Nie baliśmy się wówczas. Wówczas nie można było przemawiać do nas takim tonem.

Po ostatnich słowach sekretarza generalnego atmosfera wybuchła.

Strajkujący górnicy w oka mgnienia przekształcili się w rewolucyjny tłum. Tłum ten krzyczał dzikow:

- Precz z nim!!! Won stąd!!! Precz z tym gnojem!!! - trwało to ze trzy minuty.

W tym krytycznym momencie Constantin Dobre znowu wziął sprawy w swoje ręce. Zmierzył ponurym spojrzeniem sekretarza, wyjął mu z dłoni mikrofon i powiedział mu: "*Teraz ja będę mówić*", po czym zwrócił się do tłumu. I po raz drugi udało mu się przywrócić spokój. /Powtarzam, że znakomicie potrafił porozumieć się z robotnikami./

- Nie byliście dość cierpliwi, by wysłuchać do końca, co chcę nam powiedzieć sekretarz generalny.

W tym czasie sekretarz generalny ochłonął już z wściekłości i zaczął się przeraźliwie bać. Zrozumiał, że popełnił ogromny błąd i znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ci, którzy stali blisko niego, mogli zauważyć, że twarz ma bladą jak płótno.

- A teraz ponownie oddaję głos sekretarzowi generalnemu - powiedział Dobre. - Ukochanemu synowi narodu rumuńskiego! - znowu w ten sposób! I wręczył mu mikrofon.

- Nie byliście dość cierpliwi - półżywy z przerażenia Ceausescu uchwycił się tego, jak tonący brzytwy. - Tak, widzę, że nie jesteście dość cierpliwi. Niektórzy towarzysze nie mają dość cierpliwości, by wysłuchać do końca, co właściwie mam na myśli. A ten, kto nie ma dość cierpliwości, uczyni najlepiej, jeśli włoży sobie do ust kamyk i zamilknie. - Czort wie, skąd wytrzasnął to nie istniejące porzekadło. Chciał mówić swojskim stylem. Nikt jednak nie rozumiał, o co mu chodzi. Rzecz jasna, chodziło mu o jedno: chciał zyskać choć odrobinę czasu, by nieco się pozbierać.

Później natomiast pojął, że to nie przelewki, że stoi twarzą w twarz z twardymi, zdecydowanymi na wszystko górnikiem, że groźbami daleko nie zajdzie - i ustąpił. Ustąpił we wszystkim! Zgodził się na wszystko! Na natychmiastowe wprowadzenie wszędzie sześciogodzinnego dnia pracy, na zmianę wieku emerytalnego, na dodatek do emerytury dla inwalidów - zaakceptował wszystkie 14 postulatów! Osobno obiecał - to był bardzo ważny punkt na naszej liście - że nikogo nie spotka kryzys: ani strajkujących, ani organizatorów akcji, ani przywódców - on za to osobiście ręczy!

- I uroczyście daję słowo, jako głowa państwa i jako sekretarz generalny partii, że wszyscy przywódcy państwowi i partyjni, którzy odpowiedzialni są za powstanie obecnej sytuacji, za stosunki panujące w dolinie Jiu, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Staną wszyscy przed wami i wy ich osądzicie!

Było to coś w rodzaju nawiązki, zaproponowanej przez niego z własnej inicjatywy, bo nikt o to nie prosił. Żebyśmy my sądzili przestępców? Nie, to już była przesada. Od razu wyczułem, że odpowiedział mu to jego strach.

Zgodził się na wszystko, obiecał spełnienie wszystkich naszych żądań i przypieczętował porozumienie słowem honoru głowy państwa. Później zaś powiedział z ulgą:

- Obiecałem, że wszystkie wasze żądania zostaną spełnione. Teraz więc zostaje tylko jedna rzecz: wy obiecacie, że nadrobiecie zaległości na froncie pracy! Wiecie, jak kluczową rolę odgrywa węgiel w naszej

gospodarce narodowej, jak bardzo naród potrzebuje waszej pracy, obiecacie więc!

I górnicy zgodzili się - obiecali, że zakończą strajk, następnego dnia przystąpią do pracy i odrobnią zaległości.

Jakże naiwni byliśmy, Boże, jak naiwni! Być może rolę odegrało także to, że ludzie byli już bardzo zmęczeni po trzech dniach ślęczenia w miejscu bez jedzenia i picia. Zresztą sam nie wiem.

Ceausescu pożegnał się uśmiechnięty, z promienną twarzą, niemal w nastroju zwycięzcy - wyobrażam sobie zresztą, jaką ulgę musiał poczuć - pomachał nam, wsiadł do helikoptera i odleciał w bezpieczne miejsce, do Craiovy. Zabrał ze sobą Verdetą.

Tłum się rozproszył, strajk był zakończony, ludzie poszli do domów. I ja ruszyłem do domu. Miałem nad czym zastanawiać się po drodze. Już wtedy dobrze wiedziałem, że byliśmy naiwni i w gruncie rzeczy przegraliśmy.

Już w dwa czy trzy dni po strajku Securitate zatrzymała Constantina Dobre. Według jednych doniesień wzięto go z mieszkańia, według innych - z kopalni, gdzie był brygadzystą. Przewieziono go do komitetu partii w Petroșeni i poddano przesłuchaniu.

Akcja ta okazała się jednak przedwczesna. Górnicy byli jeszcze dość czujni i natychmiast dowiedzieli się o wszystkim. Spory tłum zgromadził się przed budynkiem komitetu i hałaśliwie zaczęła żądać zwolnienia Dobre. W obliczu zdecydowanego wystąpienia Securitate znów okazała się bezsilna: chcąc nie chcąc musieli wypuścić więźnia.

Tłum odwiózł uwolnionego przywódcę do jego miasta i zajął gospodę Złoty Rogut. Dobre stanął na stole i zdał relację z przesłuchania. Z naciśniętym wypytywano go, czy był bity - niech powie, jeśli go bili! Dobre powiedział: nie, nie stosowali przemocy fizycznej. Wygłosił do górników krótkie przemówienie, a później improwizowane zgromadzenie przekształciło się w festyn radości. Uwolniliśmy naszego przywódcę, to wspaniałe zwycięstwo! - radośnie to uczcili i rozeszli się do domów.

Tyle, że to niestety nie wystarczyło. Ponowne uwięzienie Constantina Dobre nie było trudne do przeprowadzenia. Uzbrojone oddziały Securitate otoczyły jego dom, włamały się do środka, wszystkich członków rodziny związano, tak że nie mogli nawet drgnąć, wpakowano ich do wojskowej ciężarówki i wywieziono do Craiovy.

Niedługo potem z Craiovy nadeszła wiadomość, że Dobre został "przypadkowo" przejechany przez samochód.

Wiele wysiłków uczyniłem w celu zdobycia jakichś informacji o losie Constantina Dobre, wielokrotnie podróżowałem w tej sprawie - a Dobre najprawdopodobniej wciąż jeszcze był w Craiovej. Bowiem wiadomość o jego śmierci nie była prawdziwa. Dotarcie do wiarygodnych informacji jest w Rumunii niesłychanie trudne, a poruszać się trzeba z niezwykłą ostrożnością, jako że dosłownie co drugi człowiek to agent - tak więc często po długiej pracy poszukiwawczej wraca się z pustymi rękami. Dopiero znacznie później udało mi się trafić na kogoś, kto rzeczywiście wiele wiedział o przywódcy strajku w dolinie Jiu i dysponował danymi sprawającymi w ówczesnych warunkach. Pomimo to jednak nawet dziś nie mogę stwierdzić niczego pewnego, bowiem nigdy już nie spotkałem się osobiście z Dobre, tatem Dobre.

Wygląda na to, że pierwsza pogłoska o jego śmierci nie była prawdziwa, choć nie da się całkowicie wykluczyć tego wariantu. Prawdopodobniejsze jest jednak, że scena przejechania go przez samochód była jedynie zaaranżowana, tak by wieść o jego śmierci rozeszła się w społeczeństwie. W tym czasie wywieziono go z Craiovy.

Pewne doniesienia wskazują na to, że Dobrze pojawił się w Ploeszti. Zgodnie z tą wersją miano mu wyznaczyć w Ploeszti przymusowe miejsce osiedlenia. Wywieziono tam za nim jego rodzinę - w ten sposób najłatwiej było uniknąć hałasu, jaki mogli podnieść jego krewni. Codziennie wożono go do Bukaresztu /a wieczorem z powrotem do Ploeszti/ jako górnika-specjalistę. On właśnie miał rzekomo kierować budową bukaresztańskiego metra. Jest jednak i taka wersja jego historii, wedle której równocześnie z budowaniem metra miał chodzić wieczorami na wykłady w uczelni partyjnej, w Wyższej Szkole im. Stephana Gheorghiu. Rozmawiając z osobą, która twierdziła, że osobiście zna Constantina Dobrze ze szkoły partyjnej, z którym była w jednej grupie.

Słyszałem i takie plotki, że w wiele lat później - może już po ukończeniu szkoły? - Dobrze był widziany w Craiovej. Całkowicie zapomniany żył tam rzekomo na nowym osiedlu, gdzie nikt go nie znał.

Jeśli chodzi o inżyniera Jurcę, przez długi czas sądziliśmy, że Securitate zamordowała go w tunelu pomiędzy Petroseni a Petrillą. Taki był właśnie oryginalny plan - agenci przebrani za nocnych stróżów mieli go zlikwidować w tunelu - późniejsze "śledztwo" wykazało, że "strażnicy" upili się, zaczęli strzelać i w ten sposób właśnie zdarzył się "wypadek". Zaszła jednak pomyłka i w rezultacie zastrzelono nie Jurcę, a jego przyjaciela, stolarza. Przyjaźń pomiędzy nimi była powszechnie znana. Jurca bardzo lubił tego stolarza, pracownika Akademii Górniczej w Petroseni. Wszędzie chodzili razem i byli do siebie podobni. Stąd mogła wyniknąć pomyłka.

Gdy tylko Securitate zorientowała się, że zatrzymała Jurcę, wywoziła go w deltę Dunaju i tam go zastrzeliła pod pretekstem próby ucieczki do ZSSR. Była to przejrzysta aluzja, jakoby Jurca miał być sowieckim szpiegiem - co oczywiście nie ma żadnego pokrycia w faktach.

Także rodzina Jurcy zniknęła bez śladu z doliny Jiu. Prawdopodobnie i oni już nie żyją. Z mojego punktu widzenia przypuszczenie to jest o tyle prawdopodobne, że gdyby władzom udało się zmusić żonę lub syna Jurcy do złożenia obciążających mnie zeznań, jest niemal pewne, iż stanąby przed sądem i zamknięto by mnie na długie lata. Fakt, że tak się nie stało, mogę wytłumaczyć jedynie tym, iż krewnych Jurcy nie było już wtedy wśród żywych.

Wśród przywódców strajku była jeszcze jedna osoba, działaczka UTC, rumuńskiej młodzieżowej organizacji komunistycznej. Niestety, nie znam jej nazwiska. Wiem o niej jedynie tyle, że niedawno wyszła z więzienia na mocy ostatniej amnestii.^x

Tak potraktowała Securitate przywódców strajku. Sekretarz generalny Ceausescu publicznie dał słowo, że nie stanie się im krzywda - tyle jest warte słowo ukochanego syna narodu rumuńskiego.

Zniknęli jednak nie tylko przywódcy. Po strajku wysiedlono z doliny Jiu wiele tysięcy osób. Nikt oczywiście nie zna dokładnej liczby, lecz pewne jest, że było ich wiele tysięcy. Ja także znalazłem się wśród nich. Niemal żaden z postulatów strajku nie został spełniony.

RELACJONY I KOMENTARZE

KAZIMIERZ BIELSKI

CEAUDESCU JEST NAGI

Przed Braszowem

Socjalizm a la Ceausescu jest czymś kuriozalnym, nawet jak na warunki panujące w bloku sowieckim. Nigdzie, nawet w ZSSR, nie trzeba uzyskiwać zgody policji na posiadanie maszyny do pisania. Nigdzie, nawet w Wietnamie, nie poddaje się wszystkich kobiet przymusowym badaniom ginekologicznym - na ogół w gabinetach, lecz gdy zachodzi "konieczność dziejowa", lekarze w asyście policji potrafią dopaść nieszczęsne ofiary przy warsztatach pracy. Owszem, w Leningradzie zburzono sławny hotel Angleter, w którym zakończył życie Sergiusz Jesienin, lecz w Bukareszcie Wódz nakazał wyburzyć nie jeden hotel, lecz całe zabytkowe śródmieście, by w tym miejscu postawić swój pałac - symbol "świecianej epoki Ceausescu" /termin oficjalny/. Nigdzie chyba terror oficjalny i ogłupiająca propaganda nie osiągnęły takiej intensywności, jak pod miłościwym panowaniem Ukochanego Syna Narodu /także oficjalny termin/. I wreszcie w żadnym z europejskich państw Przewodzącego Ustroju permanentny niedowład gospodarczy nie przybrał rozmiarów aż tak skrajnej katastrofy. Ciepłe miasta, nie ogrzewane mieszkania, zakaz używania odkurzaczy, lodówek, żarówek o mocy większej niż 40W, wydawane każdej zimy dekrety zabraniające korzystania z prywatnych samochodów, brak podstawowych artykułów spożywczych, wymrożone inkubatory w szpitalach - wszystko to składa się na obraz życia Rumunii.

Pierwsza fala sprzeciwu wobec polityki Ceausescu ogarnęła kraj w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, po konferencji w Helsinkach. Tak jak w wielu innych państwach bloku sowieckiego powstały tu wówczas silne nastroje ruchu obrony praw człowieka. Konstytuował się niezależny ruch opozycyjny (RPM), wybierający metody /najbardziej znany był strajk głodowy w 1977 r./, wyrażający sprzeciw wobec polityki Ceausescu. W 1978 r. w Bukareszcie odbyła się konferencja, która przyniosła pierwsze sukcesy w walce z tyranizacją Ceausescu. W 1979 r. w Bukareszcie odbyła się konferencja, która przyniosła pierwsze sukcesy w walce z tyranizacją Ceausescu.

kornych inteligentów z Pauliem Goma na czele zmuszono do emigracji.

W początku lat osiemdziesiątych opór tlił się jedynie w środowiskach ponad dwumilionowej mniejszości węgierskiej mieszkającej w Siedmiogrodzie. Nic w tym dziwnego - polityka terroru stosowana przez władze uderza w siedmiogrodzkich Węgrów z podwójną intensywnością. Prócz politycznego i gospodarczego ucisku doznawanego przez całe społeczeństwo Rumunii padają oni również ofiarą dakoromańskiego szowinizmu, stanowiącego jeden z filarów legitymizacji władzy Ukochanego Syna Narodu. Spora część restrykcji dotyczy wszystkich obywateli kraju, lecz rzeczywiste ich ostrze wymierzone jest w mniejszości narodowe /w Rumunii żyje też liczna mniejszość niemiecka/. Przykładem może być choćby osławiony przepis zabraniający cudzoziemcom nocować w prywatnych mieszkaniach. Dla etnicznych Rumunów jest to problem marginalny. Prawdziwego znaczenia nabiera w chwili, gdy uświadomimy sobie, iż większość siedmiogrodzkich Węgrów i Niemców posiada za granicą krewnych. Przyjeżdżając z wizytą muszą oni nocować w hotelach i na campingach. Pół biedy, jeśli dana miejscowość dysponuje takim obiektem. W jaki jednak sposób mogą się kontaktować rodziny, których członkowie mieszkają w małych wioskach, położonych z dala od ośrodków turystycznych /a w takich właśnie miejscach żyje większość społeczności mniejszościowych/? Rzecz jasna, jest to jedynie przykład. Ani najważniejszy, ani nawet szczególnie drastyczny. W swej asymilacyjnej polityce władze uciekają się do znacznie brutalniejszych metod: od likwidowania węgierskojęzycznych wydawnictw, poprzez oficjalne /i półoficjalne, "szeptane"/ kampanie nienawiści, aż do fizycznego terroru, zniknięć, rzekomych samobójstw. W tej sytuacji żyjący w Rumunii Węgrzy stanowili w początku lat osiemdziesiątych jedynie /a w każdym razie jedyne znane za granicą/ ognisko oporu. W wykrytym w tym czasie węgierskiej opozycji w Rumunii pomocny okazał się fakt, iż środowiska te miały dostęp do węgierskiego radia, w niektórych rejonach - do węgierskiej telewizji, do przemycanych /!/ z Węgier oficjalnych gazet i książek. Cokolwiek nie powiedzielibyśmy o "gulaszowym komunizmie" Kadara /w którym zresztą coraz wyraźniej odczuwa się brak gulaszu/, to jednak porównanie go z rumuńskim horrorem musi prowadzić do następującego wniosku: być może system sowiecki jest niereformowalny, lecz to, co wyprawia rodzina Ceausescu, przekracza nawet niezbyt rygorystycznie wytyczone granice komunistycznej przyzwoitości. Nieśmiało /a z czasem coraz śmielsze/ protesty rządu budapesztańskiego, próbującego odebrać własnej opozycji inicjatywę w obronie praw mniejszości, musiały utwierdzić Węgrów siedmiogrodzkich w przekonaniu, że opór jest możliwy. W początku lat osiemdziesiątych grupa młodych inteligentów zaczęła wydawać niezależne pismo *Ellenpontok /Kontrapunkt/*, powstała też Węgierska Agencja Prasowa Siedmiogrodu, której informacje publikowały ukazujące się w Budapeszcie czasopisma drugiego obiegu. Atak władz nastąpił bardzo szybko - *Kontrapunkt* zlikwidowano, a czołowych działaczy zmuszono do emigracji na Węgry /!/. W przeciwieństwie do całkowitego rozbitcia opozycji z lat siedemdziesiątych, tym razem sukces reżimu wydaje się być połowiczny. Doniesienia Węgierskiej Agencji Prasowej Siedmiogrodu nadal pojawiają się w węgierskich pismach drugiego obiegu, okresowo napływają też informacje świadczące o tym, że opór, choć w formach mniej spektakularnych, trwa nadal.

Niemniej jednak można by odnieść wrażenie, iż w okresie bezpośredniego poprzedzającym 15 listopada 1987 r. Rumunia była krajem niemal całkowicie spacyfikowanym. Obrazu tego nie zmienia fakt, że tu i ówdzie dochodziło do spontanicznych wystąpień i protestów /np. w marcu 1984 r. mieszkańcy gminy Remec zaatakowali siekierami miejscowy pos-

terunek policji, sprzeciwiając się dostawom obowiązkowym/. Wystąpienia te miały jednak charakter krótkotrwałych, spontanicznych buntów, po których sytuacja pozornie wracała do normy. Później, pod powierzchnią narastało napięcie, które ostatecznie ujawniło się 15 listopada 1987 r. w Braszowie. Ważną obserwacją rumuńskiej sceny politycznej z pewnością pozwoliłaby na przewidzenie takiego biegu wydarzeń. Założona przez władze blokada informacyjna okazała się jednak skuteczna - należy przypuszczać, że w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat Zachód dowiedział się jedynie o niewielkiej części wystąpień protestacyjnych, jakie miały miejsce w Rumunii. Negatywny wpływ wywarło także nastawienie polityków zachodnich, za wszelką cenę pragnących widzieć w Ceausescu przywódcę niezależnego, przeciwstawiającego się Moskwie, a tym samym godnego poparcia. Nie pomógł nawet desperacki krok ambasadora USA w Bukareszcie Funderburka, który w 1985 r. zrzekł się swych funkcji protestując w ten sposób przeciw tej zмовie milczenia. Wydaje się, że szczególnie duża odpowiedzialność spada na polityków zachodniemieckich - musieli oni znać prawdę na temat rumuńskiej rzeczywistości, skoro otrzymywali relacje z pierwszej ręki: od emigrujących z Rumunii Niemców. Ważniejszy okazał się jednak doraźny /dość wątpliwy/ interes polityczny i geosfery. Ceausescu puścił swych sportowców na olimpiadę do Los Angeles. Przemilczano zatem jego "niewinne dziwactwa", tak jak uprzednio przemilczano łagry, wielki głód na Ukrainie i zbrodnie wietnamskich komunistów /nie mówiąc już o pupilach zachodniej lewicy - sandinistach/.

Mimo to baczny obserwator już w 1986 r. mógł dostrzec zmiany zachodzące w postawie społeczeństwa rumuńskiego. Jesienią tego roku opozycjoniści czterech krajów - Węgier, Czechosłowacji, NRD i Polski - podpisali z okazji 30. rocznicy Powstania Węgierskiego wspólną deklarację ideową. Już po ogłoszeniu tego dokumentu swój akces zgłosiło trzech Rumunów. Fakt ten miał doniosłe znaczenie - oto po latach milczenia społeczeństwo rumuńskie przemówiło ustami trójki przedstawicieli, którzy podjęli niewyobrażalne dla nas ryzyko sygnowania tego głosu własnymi nazwiskami.^x Co ich do tego skłoniło? Desperacja? Być może, ale taka desperacja jest znaczącym sygnałem i informacją o stanie nastrojów społecznych. Niestety, informacja ta nie tylko nie została właściwie odczytana, ale wręcz nie zauważono jej: cała niemal prasa niezależna opublikowała dokument bez podpisów rumuńskich /chlubnymi wyjątkami były *Nowa Koalicja* i *Obóz*. Potrzebny był dopiero Braszów, by polska i światowa opinia publiczna dostrzegła, że w Rumunii coś się dzieje.

Braszów, 15 listopada 1987

Jaki był przebieg wydarzeń w Braszowie? Jedną z najpełniejszych relacji przekazało, opierając się na doniesieniach dziennikarzy francuskich, Radio Wolna Europa. Oto skrócony i nieco przereklamowany zapis tej audycji:

Rumuńscy robotnicy na ulicę wyszli w niedzielę, 15 listopada, ale już od trzech dni w obu największych zakładach Braszowa ogłaszano były sporadyczne strajki. Wreszcie niedziela. Rumunia staje się ośrodkiem manifestacji nie znanej jej od 1947 roku. Około ósmej robotnicy opuszczają bramy fabryk. Policja dwukrotnie próbuje ich zatrzymać, ale w obu wypadkach liczba funkcjonariuszy zmobilizowanych

^x Apel podpisali Cornelio Caposu, Nicolae Cardine, Ion Puiu.

do obsługi punktów wyborczych, była niewystarczająca.^x Manifestanci zbliżali się do siedziby partii niosąc flagi w kolorze czerwonym i w barwach narodowych Rumunii. W pierwszym rzędzie szły kobiety i dzieci w pionierskich ubrankach - chodzili bożem o pokazanie, że jest to marsz, a nie chuligańskie wybruki. Skandowano hasła: "Chcemy nie tylko chleba", "Wolność", "Sprawiedliwość", "Precz z Ceausescu", "Precz z tymi, którzy sprządzają nasz kraj", śpiewano także stary hymn narodowy: "Obudź się, Rumuni!.../ Lepiej umrzeć w szczęściu, niż w niedoli żyć". Równoległe do manifestantów jechały dwa samochody z polską rejestracją, których pasażerowie wołali "Solidarność" i pokazywali palcami symbol zwycięstwa. O 10.30 pochód był już w centrum miasta, koło siedziby partii i urzędu miejskiego. Zrodziła się nadzieja na negocjacje - cztery osoby z tłumu weszły do budynku komitetu partii. Jednakże parę minut później jeden z mężczyzn wypadł stamtąd z zakrwawioną twarzą. Tłum uderzył się do środka i zaczął wszystko niszczyć. Meble, portrety - wszystko wylatywało przez okna. Mały chłopczyk w mundurze pioniera wyniósł portret Ceausescu i wrzucił go do rozpalonego ogniska. Ludzie zamalowywali partyjne szyldy, mazał je znalezionym w magazynie masłem, obklejali chlebem. W walkach wielu policjantów raniono rozbitymi butelkami.

Jeszcze przed południem tłum udał się do urzędu miejskiego, gdzie odbywały się wybory. Urny i protokoły wyborcze wyrzucono i spalono. Jednakże budynek zdążyli wcześniej zająć funkcjonariusze w cywilu, którzy spokojnie wytapywali chodzące po pomieszczeniach pojedyncze osoby. Jednocześnie na plac weszło kilka setek policjantów, wjechały też cztery samochody z karabinami maszynowymi.^{xx}

Wie wtorek wieczorem nastąpił ciąg dalszy - na ulicę wyszli studenci, skandując: "Robotnicy bronią waszych praw, a wy co dla nich robicie?". Trzech zatrzymano, wyrzucono z uczelni i nakazano im natychmiast przystąpić do pracy.

W dzień po pierwszej manifestacji lokalna gazeta napisała, że w Braszowie odbyły się wybory, w których wzięło udział ponad 99 proc. uprawnionych.

Tyle samej relacji z przebiegu wydarzeń. Zdawać by się mogło, że analizując przyczyny zajść nie napotkamy na żadne sensacje - ot, znany schemat: obywatele doprowadzeni do rozpaczki nędzą i terrorem głośno krzyknęli "dosyć". Po tej części istotnie tak było - nie przypadkiem eksplozja nastąpiła bezpośrednio po wprowadzeniu nowego dekretu, dodatkowo ograniczającego i tak już skąpe przydziały energii elektrycznej i gazu. I nie przypadkiem też mieszkańcy Braszowa zbuntowali się w roku, kiedy prognozy gospodarcze zdają się być jeszcze czarniejsze, niż zwykle - na przykład plony ziemniaków były o połowę niższe, niż w latach ubiegłych. I wreszcie, iskrą wywołującą protest był akt niewiarygodnej wręcz pogardy panujących dla ludzkiej godności obywateli: robotnikom fabryki traktorów Czerwony Sztandar nakazano pozostać w pracy do następnego dnia, a następnie przemaszzerować w zwartym szyku do lokalu wyborczego i oddać głos na miłościwie panującą przewodnią siłę Rumunii. Przemaszzerowali więc.

A jednak przyglądając się uważniej wypadkom w Braszowie odnajdziemy w nich elementy wzbożające ten prosty, odwieczny schemat buntu ucisnionych. W okresie poprzedzającym protest, w tym samym Czerwonym Sztandarze nastąpiły masowe, obejmujące kilka tysięcy osób zwolnienia. Ich ofiarą padli przede wszystkim robotnicy węgierscy i niemieccy /Braszów, po węgiersku Brassó, leży w Siedmiogrodzie i jest jednym z

^x Tego dnia odbywały się w Rumunii wybory do rad narodowych. /red./

^{xx} Według doniesień zachodnich korespondentów zatrzymano wówczas 400 osób. /aut./

liczących się ośrodków zamieszkałych przez mniejszości narodowe/. Zwolnieni z pracy Węgrzy i Niemcy /a także "nieprawomyślni" Rumuni/ mają być przydzielani do pracy w innych regionach kraju, zgodnie ze stosowaną przez Ceausescu taktyką rozbijania zwartych skupisk narodo-wościowych i "roztapiania" ich w obcym etnicznie otoczeniu. I tak - jak donieśli korespondenci zachodni - manifestujący robotnicy wystąpili między innymi w obronie pozbawionych pracy kolegów. Społeczna solidarność okazała się silniejsza niż zadawnione i sztucznie podsy-ane resentymenty między Węgrami, Niemcami a Rumunami. Nikt nie in-formował o składzie narodowościowym manifestujących tłumów, można się jednak domyślać, że znaleźli się w nich członkowie wszystkich grup.^x Żadna z informacji nie wskazuje też, by w czasie zajść do głosu doszły uczucia nacjonalistyczne. Wszystko to razem napawa opty-mizmem - stosowana przez reżim dewiza "*divide et impera*" zawiódła, w chwili krytecznej górę wzięło poczucie wspólnoty losu. Roztaczane przez pesymistów ponure wizje pogromów i krwawych walk pomiędzy poszczególnymi grupami narodowymi nie ziściły się. Dobry to znak. Jedno-cześnie zaś runęła ostatnia fasada systemu - Ceausescu nie mogąc za-pewnić swym poddanym chleba i nie chcąc przyznać im prawa do elemen-tarnej nawet wolności, zaoferował im satysfakcje bazujące na najprzy-mitywniejszych instynktach - szowinizmie i uwielbieniu dla Wodza. Braszów pokazał, że Rumuni odrzucają ten ochłap.

Co po Braszowie?

Wielu obserwatorów sceny rumuńskiej wyraża przekonanie, iż Bra-szów był znaczącą cezurą w historii powojennej Rumunii, otwierającą nowy jej rozdział. Przekonanie to opiera się nie tylko na przypuszcze-niach i przewidywaniach - potwierdzają je nieliczne wiadomości, jak-że docierają na Zachód pomimo blokady informacyjnej. Dowiadujemy się więc o wielu mniejszych zajściach, jakie miały miejsce w okresie póź-niejszym, między innymi w Timisoarze /węg. Temesvár/ i w Cluj /węg. Kolozsvár/. Pomnik Lenina w Bukareszcie jest uszkodzony - rzekomo pod-palono go. W samym Braszowie miał powstać tajny komitet pomagający aresztowanym robotnikom i ich rodzinom. Kilka osób znanych wcześniej z niezależnej postawy "zniknęło" - być może zostali aresztowani, lecz nie da się tego sprawdzić, ponieważ policja nie dopuszcza zachodnich dziennikarzy do ich mieszkań. Napływają niepotwierdzone pogłoski o próbach założenia partii opozycyjnej. Wszystko to razem świadczy o tym, że ferment trwa.

Robotnicy Braszowa krzyknęli po raz pierwszy: król jest nagi. Historia nie zna przypadku monarchy, który po takim okrzyku odzyskał-by swój dawny prestiż. Najczęściej zaś hasło to było równoznaczne z końcem panowania.

Uważnie obserwujmy Rumunię. Dużo będzie się tam działo.

marzec 1988 r.

Kazimierz Bielski

^x

Węgierska Agencja Prasowa Sieđmiogrodu donosiła, że udział Węgrów był stosun-kowo mały, liczenie natomiast demonstrowali Niemcy. /red./

ALEKSANDER ROMERT

EUROPA ŚRODKOWA W EUROPIE ŚRODKOWEJ DZIŚ
- MIT I POSTULAT

Czym jest ona dla nas obecnie - nazwijmy się umownie: intelektualistami z małych krajów europejskich znajdujących się pod komunistyczną dyktaturą? Dodajmy, że wszystkie, lub prawie wszystkie te małe kraje przyznają się do pewnego /krótkiego/ okresu niepodległości przed II wojną światową i czują się silniej lub słabiej związane z kulturą Zachodu, zagrożone natomiast przez kulturę Wschodu, a raczej przez idący stamtąd sowiecki sposób życia. Społeczeństwa tych krajów zostały przez ostatnich czterdzieści lat poddane sowieckiej /częściowo także rusefikacji/ i można - choć ze smutkiem, ale uczciwie - stwierdzić, że w dużym stopniu naciskowi temu uległy. Dotyczy to także inteligencji, choć my, którzy mówimy o Europie Środkowej, wydajemy się sobie całkownie wolni zarówno od ukąszenia heglowskiego /co obecnie jest w ogromnej większości prawdą/, jak też od sowieckiego sposobu myślenia i życia /czy jest to prawdą także?..../.

To niewątpliwie nas łączy: wspólne przeżycie - wspólny los, jak napisał Kundera. Niewątpliwie łatwo nam się ze sobą z tego powodu dogadać i gdy spotykamy Nie-Nie-Rozumiejących-Europejczyków-Zachodnich /a może po prostu - Europejczyków/, z ich wiecznym zdumieniem wobec spraw dla nas najprostszych i oczywistych, natychmiast zaczynamy odczuwać wspólnotę, właśnie wspólnotę wynikającą z podobieństwa doświadczeń. Co ciekawe - podobnie dzieje się w zetknięciu z Rosjanami, choć z innego powodu - czyżbyśmy istotnie stanowili odrębną, przynajmniej uczuciowo, grupę narodów?

Może jednak te wspólne uczucia dadzą się wytłumaczyć w sposób prostszy? Prostszy i brutalniejszy. Zastanówmy się, czym jest dla nas pojęcie Europy Środkowej? Jaką spełnia funkcję. Mnie nasuwają się odpowiedzi jednoznaczne, choć właśnie dość brutalne: Europa Środkowa jest dla nas ratunkiem i pełni funkcję obronną.

W stosunku do Wschodu jest naszym znakiem inności i niezależności. W stosunku do Zachodu sygnałem naszej łączności, a jednocześnie odrębności i niepodporządkowania.

Stąd - w moim rozumieniu - Europa Środkowa jest sztucznym tworem intelektualistów. Jest spekulacją. Jej istnienie w naszej świadomości wypływa ze strachu, ma charakter obronny. Nie jest ona bytem istniejącym w sposób naturalny, któremu jedynie nadaliśmy nazwę. Jest raczej samą nazwą, bez bytu.

W istocie, używając nazwy Europa Środkowa, bronimy się przed nazwaniem naszego krańca Europy - Wschodnią. Europa Wschodnia to Jałta i Poczdam. Zaczyna się na Łabie, kończy na Uralu, zaś jej stolica leży w Moskwie. Iluż ludzi na Zachodzie wie o Eastern Europe właśnie tyle: sowiecka dyktatura i ostre zimy, i sądzi, że naszym ulubionym pożywieniem jest cebula. My zatem - w obronie - wymyśliliśmy Europę

Środkową, z której terytorium wykluczamy na pewno Rosję i na pewno nie włączamy doń Francji. Tyle pewnego można powiedzieć o jej obszarze, bo tak naprawdę nikt chyba nie potrafi zakreślić granic tej mitycznej krainy. Należą do niej zapewne Polska, Czechosłowacja, Węgry. Czy Austria także? A Rumunia? Może też Ukraina? Litwa? Białoruś?... Narysowane, wyglądałyby te granice dość karkołomnie i wiele ziem zakreskowano by zapewne jedynie częściowo, ukośnie, jak na mapach historycznych zaznacza się Lenna.

Rozumowaniu powyższemu można postawić zarzut, że jest mało rzetelne, bo przecież pojęcie Europy Środkowej nie zostało stworzone teraz, ma ono swój historyczny rodowód i nie jest przecież wymysłem paru przerażonych inteligentów.

Zgadzam się. W tym momencie nie jest jednak dla mnie istotne kiedy i w jaki sposób pojęcie to powstało. Ważne jest, że my, t u i t e r a z , przyjmujemy je za swoje. Nie mając dlań większego uzasadnienia poza własnym strachem, posługujemy się mitem.

Europa Środkowa jest także postulatem. Postulatem i sposobem na rozmontowanie Imperium. Dość częste kontakty środowisk niezależnych i relatywnie duża aktywność społeczeństw w tych krajach powodują obecnie powstawanie jakby naturalnej osi współpracy: Budapeszt - Praga - Warszawa. Węgierskie oficyny podziemne drukują przekłady polskich książek, nieomal cały niezależny ruch wydawniczy w tym kraju czerpał inspiracje /także techniczne/ z polskich doświadczeń. Kontakty działaczy Karty 77 i środowisk korowskich datują się od połowy lat siedemdziesiątych. Wspomnieć można o wspólnym apelu w trzydziestą rocznicę Rewolucji Węgierskiej, podpisanym głównie przez Czechów, Polaków i Węgrów. Zaczyna zanikać nasza ksenofobia. W tak zwanym przeciętnym Polaku występujący publicznie /to ważna uwaga - inaczej odnosimy się na przykład do konkurenta w kolejce po coś, celnika, kierowcy autobusu itp./ przedstawiciel sąsiedniego kraju, odruchowo nieomal budzi sympatię /o ile oczywiście nie jest partyjnym bossem lub szefem policji/. Wstarczy przypomnieć reakcje publiczności zgromadzonej podczas papieskich Mszy św. lub innych dużych uroczystości religijnych, na wzmianki o księżach lub biskupach z Litwy lub Czechosłowacji. Występujący podczas festiwalu piosenki religijnej "Sacrosong" węgierski ksiądz zbierał oklaski tyleż za swoje piosenki, co za swoją narodowość. Akcja w obronie Petra Pospichala potrafiła obudzić w Polakach tyleż energii, co akcje w obronie naszych więźniów.

Oto mamy przykłady, można by je mnożyć, jak manifestuje się odczuwanie wspólnoty losu. To prawda. Tylko że jednocześnie występujemy w obronie Ryskulbekowa, skazanego w Alma Acie. Czyżby aż tam miała sięgnąć Europa Środkowa? Trzeba ponadto pamiętać, że te manifestacje wspólnoty dotyczą jedynie pewnych specjalnych, odświętnych warunków i niektórych tylko środowisk. W zwykłych, codziennych warunkach mogą nawet przekształcać się w agresję, w pewnych zaś środowiskach powiedzenie o kimś "Ukraińiec" albo "Pepik" długo jeszcze będzie użyteczną obelgą.

Niewątpliwie, biorąc rzecz ogólnie, nastawienie Polaków do narodów sąsiednich jest obecnie lepsze niż kiedyś /dowodem chociażby słynne *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*/, lepsze częściowo dlatego, że czujemy się współuczniwnymi, jednak budowanie na tym niepewnym gruncie konstrukcji politycznych nie jest chyba czynnością rozsądną. Tak się tymczasem dzieje.

Europa Środkowa, ta wyśniona, traktowana jest jako pole doświad-

czalne dla pomysłów politycznych, lub może lepiej powiedzieć: fantazji politycznych. Odgrzewane są historyczne koncepcje federacyjne, bądź unijne, jak na przykład historia rozmów Beneša z Sikorskim i niedoszłej unii obu narodów. Realistyczne propozycje nawiązywania normalnych stosunków gospodarczych w naszym regionie krzyżują się z księżycowymi pomysłami współpracy politycznej w dziele "rozmontowania systemu". Te ostatnie nazywam "księżycowymi", gdyż nawet skłonne z nami rozmawiać emigracyjne lub niezależne krajowe środowiska "współlokatorów" Europy Środkowej są w poglądach na taką współpracę zróżnicowane, zaś ewentualne wstrząsy dziejowe, które mogłyby przynieść nam sposobność wypróbowania jej w praktyce są nazbyt odległe i niekonkretne, a w każdym wypadku mogą zmieść z powierzchni politycznej środowiska, które zawarły ewentualny "układ o przyjaźni i współpracy". Nie znaczy to oczywiście, że nie należy nic robić w celu wzajemnego poznania się i zbliżenia. Przeciwnie. Jakkolwiek odległy byłoby termin odzyskania przez nasze narody pełnej niepodległości, byłoby nierozsądne odkładanie czegokolwiek na potem. Pojęcie Europy Środkowej może okazać się użyteczne dla rzeczników współpracy między krajami zniewolonymi. Należałoby tylko, w praktyce politycznej, nadać mu więcej treści różnej od treści uczuciowych. Na razie zaś lepiej pamiętać o nierzeczywistości tego pojęcia. Fikcji i mitów można bowiem używać, lecz nie poddawać im się.

Aleksander Romert

DONIESIENIA

LIST Z PRAGI

Z początku miał to być wywiad z pierwszym naszym prackim przyjacielem. Wywiad ze zwykłym Czechem o zwykłym czeskim życiu. Wągleby prozaiczne sprawy, że tego lata /1987/ nie mogliśmy się spotkać. Zdecydowaliśmy się zatem na opublikowanie tłumaczenia jego listu, w którym odpowiadaliśmy na szereg naszych pytań przygotowanych z myślą o wywiadzie. (cont.)

W tym roku nie udało mi się zebrać dość pieniędzy, by wykupić miejsce na jakimś campingu w Polsce. Jak wiesz, przyjazd do twojego kraju bez wysokich opłat turystycznych za miejsca w wyznaczonych hotelach bądź campingach jest możliwy tylko dla osób zaproszonych przez najbliższych krewnych. Nie będę mógł więc na razie odpowiedzieć na twoje pytania w bezpośredniej rozmowie. Być może w jakimś stopniu uda mi się zastąpić to przy pomocy tego listu.

Zaczną od siebie. Mam 32 lata. Studiowałem historię sztuki oraz romanistykę. Ponieważ nigdy nie należałem do żadnej organizacji politycznej, nie udało mi się znaleźć pracy w żadnej instytucji, gdzie mógłbym wykorzystać swoje przygotowanie fachowe. Moja sytuacja nie jest typowa. Na obu kierunkach byłem jedynym studentem, który nie chciał wstąpić do tutejszej odmiany ZMS-u. Namawiano mnie kilkakrotnie /widać przewodniczący miał kłopoty nie mogąc się wykazać stuprocentową skutecznością pracy propagandowej/, ale za każdym razem odpowiadałem, że założenia organizacji mi nie odpowiadają i w końcu dali mi spokój. Nie odczułem specjalnych represji ani szykan ze strony władz uczelni, jedynie opinia oraz dalsza niechęć do wiązania się z organizacjami komunistycznymi eliminują mnie z list kandydatów na interesujące i dobrze płatne stanowiska. Tak naprawdę w całym toku studiów najbardziej bolesna była konieczność realizowania całego programu, w tym naukowego ateizmu /przedmiot obowiązkowy na wszystkich uczelniach/, historii partii, zagadnień kolonializmu itp. Ale cóż, zdając egzamin wstępny wiedziałem, co mnie czeka i był to świadomy wybór.

Obecnie pracuję jako dozorca nocny w zajezdni autobusowej. Zarabiam równowartość 12 tys. zł /po przeliczeniu siły nabywczej naszych pieniędzy/. Jest to, rzecz jasna, bardzo mało, ale mogę spokojnie poświęcić się lekturze, a poza tym załatwia mi to przejściowo problem

z mieszkaniem. W dzień mogę zawsze przespać się u kolegów bądź rodziców mojej narzeczonej, którzy mają normalną pracę. Udzielam też prywatnych lekcji francuskiego i hiszpańskiego, dzięki czemu osiągam poziom zarobków zbliżony do płacy niewykwalifikowanego robotnika /w sumie około 25 tys. zł/. Po studiach wzięłam kwestionariusze osobowe z pracowni konserwacji zabytków, ale ich nie wypełniłam. Były tam rubryki, w które miałem wpisać do jakich organizacji politycznych należałem ja, mój ojciec, moja matka, moje rodzeństwo przed 1939 r., w latach 1939-1945, 1945-1948, 1948-1968 i po 1968 r. W wypadku zmian należało podać przyczyny. Nie miałem żadnych szans, tym bardziej, że moi rodzice też nigdy nie należeli do partii i są praktykującymi katolikami. Później próbowałem szczęścia w urzędzie zatrudnienia. Były nawet oferty typu: "Poszukujemy pracownika władającego co najmniej dwoma językami obcymi", ale tak jak w przypadku większości ofert, zatrudniający krył się za tajemniczym tytułem Urząd Centralny i nie chciałem podejmować ryzyka rozmowy z milicją, wywiadem czy jakąś inną instytucją, która nie chce się przedstawiać. W sumie z pracy jestem zadowolony, bo daje mi odrobinę niezależności. Mam tam swoją bibliotekę i nie muszę siedzieć na karku rodziców w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu. Na własne mieszkanie nie mam co liczyć, gdyż okres oczekiwania w Pradze wynosi 20 lat. Koledzy ze studiów wyładowali znacznie lepiej, ale mam choć tę satysfakcję, że mogę mówić to, co myślę i chodzić do kościoła bez obawy, że spotka mnie albo moich bliskich za to jakieś nieszczęście.

Na tym właśnie polega paradoks naszej sytuacji, że rezygnując z kariery zawodowej i finansowej, zyskuje się pewien zakres swobody. Nikt nigdy nie zabraniał mi uczestnictwa w mszy, ani nie zakazywał szczerzego wyrażania własnych poglądów. Jest to natomiast nie do pomysłienia dla urzędnika państwowego, wykładowcy, nauczyciela czy kogośkolwiek, zatrudnionego w charakterze pracownika umysłowego.

Nasze społeczeństwo uległo daleko idącej atomizacji. W pracy jak ognia unika się rozmów na tematy polityczne, ludzie muszą darzyć kogoś naprawdę wielkim zaufaniem, żeby pozwolić sobie na jakąś dozę otwartości. Całe życie przesuwa się w sferę rodzinną, ewentualnie poszerzoną o paru odwiecznych, zawsze tych samych przyjaciół. Gdybym miał szukać słów najlepiej oddających nastrój ducha społecznego, to sądzę, że najlepiej pasowałyby - strach i apatia. Wiem, że jest to ocena niezwykle ostra, ale myślę, iż odpowiedzi na inne twoje pytania w pewnym stopniu ją uzasadnią.

W dziedzinie kultury panuje kompletny marazm. Kino przestawiło się na pokraczny styl dzisiejszego socrealizmu. Opowiada najchętniej o aktywnych działaczach partyjnych i dzielnych dyrektorach, którzy z pasją i zrozumieniem eliminują korupcję oraz braki ze swych zakładów produkcyjnych. Nawet te nieliczne wyjątki filmów artystycznych odbiegają poziomem od tego, do czego przyzwyczailiśmy się w poprzednich latach. Telewizja jest koszmarem. Nie oglądam jej, ale wiem, że rozrywka sprowadza się do turniejów zakładawych, występów zespołów ludowych w stylu waszej Cepelii oraz głupawych rewii kupowanych od NRD-owskich przyjaciół. Wszystko to przeplatane jest propagandą, w której na głównego bohatera stulecia lansowany jest nieszczęsny Remek - nasz pierwszy i na szczęście, póki co, jedyny kosmonauta.

Upadła też muzyka. Zespoły młodzieżowe grające nieco ambitniejszą muzykę do własnych, "bezdolnych" bądź wręcz "wrogich" tekstów są natchniami rozwiązywane. O jazzie nie warto nawet pisać, gdyż wiem,

że sprawa rozwiązania sekcji jazzowej i uwięzienia jej kierownictwa była w Polsce szeroko komentowana. Nawet artyści estradowi obniżyli loty, co spowodowało między innymi duże zainteresowanie muzyką polską. Młodzież na pniu wykupuje płyty waszych zespołów heavy-metalowych i rockowych z Ośrodka Kultury Polskiej, bowiem niczego podobnego nie znajdzie na własnym rynku.

Z powodu ograniczenia kontaktów zagranicznych i niezbyt dobrego obrazu Czechosłowacji za granicą nie mamy właściwie okazji posłuchać w naszych salach koncertowych nowych i zróżnicowanych interpretacji muzyki poważnej. Sytuację ratuje spora ilość licencji płytowych, ale to nie to samo.

O teatrze trudno mi cokolwiek powiedzieć, bo od paru lat nie byłem na żadnej sztuce. Zraziłem się do programów. Być może teraz jest nieco lepiej.

Taki stan ofert kulturalnych oczywiście także nie sprzyja tworzeniu się szerszych środowisk połączonych wspólnymi zainteresowaniami, pasjami czy upodobaniami. Zyskują na wartości dobra materialne. Być może coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że najlepiej jest zbudować sobie jak najwygodniejszy byt indywidualny i przeciekać te czarne lata. Ci, których na to stać, budują sobie domki letniskowe poza miastem i starają się spędzać tam wszystkie wolne od pracy chwile. W ten sposób rodzina oraz krąg najbliższych jej przyjaciół otacza się kokonem odgradzającym ją od niezbyt barwnej rzeczywistości.

Kto może sobie na coś takiego pozwolić? Sporo osób. Zasięg korupcji jest już dziś duży i wciąga się poszerza. W Czechosłowacji mówi się, że krajem rządzą barmani piwiarni oraz sprzedawcy sklepów mięsnych. Wiadomo, co można zrobić z piwem. Spożycie tego napoju jest u nas znacznie większe niż w Polsce, a więc dolanie nawet niewielkiej ilości wody do każdej beczki przynieść może bardzo duże dochody. Sklepowe natomiast uważają za obowiązek każdego klienta dopłacanie do ceny mięsa, jeśli chce on dostać lepszy gatunek bądź rzadszy wyrób wędliniarski. Dziś wielkim nietaktem jest upomnienie się o resztę w sklepach mięsnych. Niektórzy wręcz specjalnie, mając drobne, dają grubsze banknoty, żeby sprzedawczyni mogła sobie zaokrąglić cenę i nie pognewała się na zbyt skrupulatnego klienta.

Ten rodzaj drobnej, ale głęboko sięgającej korupcji mógł się rozwinąć "dzięki" brakom w zaopatrzeniu. W Pradze nie ma problemów z mięsem, ale lepsze gatunki pojawiają się rzadko i dostępne są niemal wyłącznie dla tych, którzy godzą się przyjąć opisane przeze mnie warunki gry. Gorzej jest na prowincji. Coraz częściej nękana jest ona nieregularnymi dostawami, brakami nawet najbardziej podstawowych towarów.

Pytasz mnie o warunki życia religijnego w naszym kraju. Nie jestem w stanie napisać niczego konkretnego o "*Kościół katakumb*". Jak wspominałem, sam, dzięki rezygnacji z kariery oficjalnej i wysokich /raczej średnich/ zarobków, mogę sobie pozwolić na otwarte uczestniczenie w nabożeństwach. O tym, że ktoś był potajemnie wyświęconym księdzem dowiaduję się co pewien czas, kiedy zostaje uwięziony i oskarżony o nielegalne propagowanie antypaństwowych idei. Zjawisko to ma szerszy zasięg na Słowacji i trzeba by zapytać kogoś z tamtej części Czechosłowacji.

Trudno mi również ocenić, jaki procent społeczeństwa poczuwa się do związków z Kościołem. Wśród moich znajomych niewierzący są w zde-

cydowanej mniejszości. Z innymi na ten temat nie da się szczerze rozmawiać, jest to zresztą jeden z tych problemów, które uważane są za tak osobiste i drażliwe, że nie należy ich poruszać. Z tego, co widzę, większość młodych ludzi, którzy dziś skłonni są przyznać się do wiary, doszła do niej w ostatnich latach. Ja sam, mimo iż pochodzę z rodziny katolickiej, przez długi okres byłem bliski ateizmowi, a w każdym razie nie czułem łączności z żadną religią. Powrót do katolicyzmu odbywał się u mnie powoli, miał różne stadia i związany był z szukaniem stałych wartości, sensu organizującego życie i świat. Sądzę, że mój przypadek nie jest w tym względzie bardzo wyjątkowy.

Nie przeceniałbym wszakże obecności setek tysięcy osób na rocznicowej uroczystości w Velehradzie. Duża część uczestników tego święta religijnego pojechała tam, ponieważ od początku zanosiło się, że coś się w Velehradzie będzie działo, coś, co koniecznie trzeba zobaczyć. Być może część ciekawskich niespodziewanie dla nich samych znalazła przeżycia duchowe, ale skłonny byłbym wątpić.

Z tego, co dotąd napisałem, wynika chyba wyraźnie niechęć społeczeństwa do panującego systemu i aktualnych władz. Nie oznacza to jednakże, że szerzą się działania opozycyjne lub choćby kontestacyjne. Różnica między Polską a Czechosłowacją jest w tym względzie ogromna. Wydarzenia w waszym kraju śledzę na bieżąco z Radia Wolna Europa, które nie jest u nas zagąszczone /w odróżnieniu od audycji czeskojęzycznych/. Stosunkowo umiarkowana linia Karty 77 często krytykowana jest za zbytki radykalizm i prowokowanie represji ze strony władz. Naszej policji udało się zastraszyć i spacyfikować prawie całe społeczeństwo. Na otrząśnięcie się z tego paraliżu trzeba będzie jeszcze sporo poczekać.

Układ twoich pytań sprawia, że list zacząłem od siebie i na sobie zakończyć. Interesują cię dwa warianty moich planów na przyszłość. Jeśli się sytuacja tak ułożyła, że Czechosłowacja stałaby się normalnym krajem - chciałbym znaleźć pracę, w której mógłbym zajmować się tym, co mnie naprawdę interesuje, to znaczy sztuką sakralną, jej zmianami wynikającymi z ewolucji myśli religijnej; chciałbym po kilku latach pracy /nawet bardzo intensywnej, w której mógłbym wykorzystać znajomość kilku języków/ móc kupić bądź wynająć mieszkanie i założyć normalną rodzinę. W sytuacji obecnej, a nie myślę, by szybko uległa ona wyraźnej zmianie - zdecydowałem się na emigrację przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie jest to dobre wyjście, ale jego alternatywą jest vegetacja poza społeczeństwem i groźba wpadania w dziwność, jeśli nie wręcz schizofrenię. Nie uważam, żeby taki krok musiał być odczytywany jako tchórzostwo - emigracja jest bardzo trudnym wyzwaniem, zwłaszcza, że nie jestem już osiemnastoletnim chłopcem, który z łatwością zaadoptuje się w każdym środowisku.

Wiem, że cały mój list odczytany będzie jako pełen goryczy i poczucia zawodu. Pisałeś, że chciałbyś, by nasza rozmowa trafiła do czytelników jednego z polskich pism podziemnych. Tym bardziej czułem się zobowiązany do szczerości, mimo że lektura tych słów zapewne nie będzie miła, ani pokrzepiająca.

Mam nadzieję, że w przyszłym roku uda mi się wyrwać do twojego kraju /szanse wyjazdu na Zachód są minimalne/, będziemy wtedy mogli długo i szczegółowo wyjaśnić sobie wszystko to, czego nie udało mi się w tym liście opisać. Pozdrawiam ciebie i przyjaciół.

Vaclav

NIKOŁAJ CHRAMOW

GRUPA "ZAUFANIE" WE LWOWIE:
PIERWSZE KROKI

Przedruk za niezależnym miesięcznikiem "Dzień po dniu", Moskwa, wrzesień 1987 rok. Materiał otrzymaliśmy dzięki uprzejmości przyjaciół z Ukrainian Peace Committee.

Ten wrzesień zaznaczył się ważnym wydarzeniem: pojawiła się w ZSSR jeszcze jedna grupa "Zaufanie" - na Zachodniej Ukrainie, we Lwowie. Składa się głównie z młodzieży: studentów, hippisów, młodych robotników, uczniów, nieprofesjonalnych malarzy i muzyków. Lwowska grupa "Zaufanie" liczy obecnie kilkadziesiąt osób. Do jej organizatorów można zaliczyć trzydziestoletniego robotnika Olega Olisiewicza /jest on jednym z autorów manifestu *Ideologia radzieckich hippisów*/, dwudziestopięcioletniego muzyka Dimitrija Tiszczenko /jego muzyka wykonywana w stylu folk-rocka, stanowi wyraz ukraińskich tradycji narodowych, dyskryminowanych przez oficjalną sowiecką kulturę/, Olega Sała, Innę Nikitiną, Ludmiłę Szmutter, Nikołaja Margorina, Jewgienija Wdowina, Rusłana Pupynina i innych.

Lwowska grupa "Zaufanie" po raz pierwszy dała o sobie znać 20 września. W tym dniu, kiedy władze sowieckie obchodzą oficjalnie "dzień miasta Lwowa", uczestnicy grupy "Zaufanie" zaplanowali przeprowadzenie akcji ulicznej - marszu na rzecz pokoju i demokracji. Jak poinformował Oleg Olisiewicz ze Lwowa początkowo ponad 200 osób wyraziło chęć wzięcia udziału w tej demonstracji, ale już 19 września, w przeddzień planowanego marszu w domach u wszystkich zgłoszonych uczestników pokojowej demonstracji pojawili się funkcjonariusze milicji i zażądali od nich, aby "nie brali udziału w żadnych demonstracjach i siedzieli w domu", grożąc w przeciwnym razie poważnymi kłopotami w pracy, na uczelni lub w szkole. Mimo to marsz na rzecz pokoju i demokracji odbył się. Oto kronika wydarzeń 20 września, sporządzona przez działaczy lwowskiej grupy "Zaufanie":

Zbiórka uczestników demonstracji wyznaczona była obok kawiarni na ul. Ormiańskiej 19 o godz. 12.00. Zawiadomionych było około 200 osób, jednak wielu z nich zatrzymali funkcjonariusze milicji i aktywiści komsomolskich grup operacyjnych, kiedy zbliżali się do miejsca zbiórki.

13.00. Około 30 osób, którym udało się przedrzeć przez milicyjną blokadę ruszyło w kierunku prospektu Lenina, gdzie zostały rozwinięte i podniesione następujące transparenty: znak pacyfistyczny i napis "Pokój i wolność"; kontur kuli ziemskiej z napisem "ZSSR-USA: rozbrojenie nuklearne", "Głasność", "ZSSR: wprowadzić Pierestrojkę w życie".

Na ulicach świąteczny wystrój, prospekt Lenina zamknięty dla ruchu kołowego w związku z "Dniem Miasta". Pochód przy dźwię-

- kach gitary przechodzi prospektem skandując "wolność" i "Głasnost".
- 13.30. Wiec antywojenny na ulicy Galickiej. Pierwsze ostrzeżenie udzielone organizatorowi demonstracji Olisiewiczowi przez miejscowe władze.
- 14.00. Południe rusza w kierunku Rynku, gdzie jeszcze raz się zatrzymuje.
- 14.30. Ulicami Gorkiego i 17 września demonstranci wracają na prospekt Lenina.
- 15.00. Prospekt Lenina, prospekt Szewczenki.
- 15.30. Po drodze do klasztoru Bernardynów na ulicy Watutina przy klubie szachowym wychodzi naprzeciw demonstrantom komsomolska grupa operacyjna, która towarzyszy im dalej. Demonstranci zajmują trawnik klasztoru Bernardynów. Jeden z członków grupy operacyjnej próbuje wyrwać Olisiewiczowi transparent z napisem "Głasnost".
- 16.00. Na ulicy Ormiańskiej drogę zastępuje grupa oficerów milicji z podpułkownikiem i mężczyzną w cywilu na czele /żadna z oficjalnych osób nie zgodziła się wymienić swojego nazwiska/. Podpułkownik żąda zwinięcia transparentów i rozejścia się, grozi kierującemu manifestacją Olisiewiczowi umieszczeniem w szpitalu psychiatrycznym. Narasta oburzenie zgromadzonego tłumu, padają okrzyki w obronie demonstrantów. Podchodzi oficer milicji i nakazuje przepuścić pochód. Mężczyzna w cywilu rzuca: "Dobra, dobra, pochódzicie do maja...". Do 17.00 trwa "siedzaca" manifestacja przed budynkiem Rady Miejskiej.

W tym dniu po zakończeniu marszu jego uczestnicy bez przeszkód przeszli się do domów, ale już następnego dnia, 21 września, zaczęły się wobec nich represje. Bogdan Rudyj i Andriej Taranienko zostali relegowani z zawodowego technikum rolniczego nr 12 "za udział w antyrządowej demonstracji". Zastępca dyrektora technikum, Chramow powiedział im: "Pokój nie potrzebujecie waszej obrony".

24 września, jak poinformował Olisiewicz, jeszcze jeden uczestnik demonstracji - dziesiętnastoletni student Lwowskiej Politechniki Rusłan Pupynin został wezwany do Rejonowego Wydziału Spraw Wewnętrznych dla rejonu Żalniczny. Podczas przesłuchania został pobity przez śledczego Fiedika w obecności naczelnika RNSW. Funkcjonariusze ci oświadczyli Pupyninowi, że spełniają zalecenie komitetu obwodowego partii, aby "przeprowadzić rozmowę" i dodali: "Głasnost to jest w Moskwie, a tutaj my wam pokażemy".

Funkcjonariusze milicji przychodzili do domów wielu uczestników demonstracji, grożąc zwolnieniem z pracy i wyrzuceniem ze szkół czy uczelni. Takie groźby stosowano wobec Natalii Nikitiny, Jewgienija Wdowina, Dimitrija Tiszczenko, Olega Sało i innych.

Samemu Olisiewiczowi, który brał udział również w demonstracji w Rydze 23 sierpnia, w rocznicę paktu Ribbentrop-Mołotow, władze grożą umieszczeniem w szpitalu psychiatrycznym.

Członkowie lwowskiej grupy "Zaufanie" wystosowali list do sekretarza generalnego KC KPZS Gorbaczowa z prośbą o interwencję przeciw bezprawnym działaniom miejscowych władz.

Po demonstracji 20 września we Lwowie gwałtownie zaktywizował się ruch młodzieżowy. Pojawiło się wiele nieoficjalnych klubów dysku-

syjnych, gdzie rozważa się kwestie historyczne, polityczne, religijne i narodowe. Wielu ludzi dotąd biernych, aktywnie włączyło się w niezależną działalność społeczną. Lwowscy działacze "Zaufania", prócz innych działań, dążą obecnie do utworzenia w mieście ukraińskiego centrum kulturalnego, gdzie odbywałyby się seminaria poświęcone kulturze ukraińskiej itp. Takie centrum już istnieje w Kijowie. Ponadto zamierzają oni stworzyć system samopomocy prawnej w celu obrony młodzieży przed samowolą władz, jak również walczą o pełną niezależność miejskiego rock-klubu od komitetu miejskiego komsomołu, który narzuca muzykom swoje reguły.

Lwowscy działacze pokojowi dążą do nawiązania stałych kontaktów z podobnie myślącymi w innych krajach, szczególnie w sąsiedniej Polsce, gdzie istnieje potężny ruch pacyfistyczny "Wolność i Pokój".

Nikołaj Chramow

DOKUMENTY

JURIJ BADZIO

WOŁANIE O POMOC /LIST OTWARTY/

Jurij Badzio - historyk ukraiński, związany z ukraińskim odrodzeniem narodowym lat sześćdziesiątych. Autor opracowania "Prawo do życia", o uciśku narodowościowym Ukraińców w ZSSR. Dwie wersje tej pracy zostały skonfiskowane, zaś trzecia ukazała się w 1979 roku w innym języku, na co autor został skazany na 5 lat łagru i 7 lat zsyłki. Jego całkowicie niewiarygodne perypetie rzucają interesujące światło na stosowanie gorbaczewskich reform w resortach spraw wewnętrznych. /red./

Do Was, którym los człowieka nie jest obojętny.

Nie miałem zamiaru wykorzystywać przyjazdu do matki, na Ukrainę, do jakichkolwiek publicznych wystąpień. Moje poglądy filozoficzne, polityczne i moje usposobienie dalekie są od ekstremizmu i skrajnych reakcji. Znam tę smutną prawdę i wciąż przekonuję się na nowo, że świat współczesny - mówiąc generalnie - jest ślepy i głuchy na nasz ukraiński los. Jednak nadużycia, których się obecnie dopuszczono wobec mnie, są - moim zdaniem - zarówno z punktu widzenia moralnego, politycznego, jak i prawnego, tak wielkie, że jestem zmuszony podać je do publicznej wiadomości.

Otrzymałem zezwolenie na miesięczny wyjazd z zesłania w celu odwiedzenia 82-letniej matki mieszkającej we wsi Kopyniowce. Nie widziałam mnie ona od ponad ośmiu lat. Na zleceniu wyjazdu podano tylko Kijów, choć zaznaczono, że celem podróży jest "odwiedzenie chorej matki". Na moje nalegania, by wpisać formalne zlecenie wyjazdu do punktu końcowego, czyli wsi Kopyniowce - inspektor milicji wyjaśniła, że w Kijowie wiedzą o wszystkim i wydadzą mi tam dodatkowy dokument. Gdy przyjechałem do Kijowa, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSSR wyraziło zgodę na wyjazd do mamy jedynie na siedem dni, lecz następnego dnia, powołując się na rozporządzenie z Moskwy, unieważniło i to zezwolenie. Milicja w Chandydze twierdzi bowiem, jakoby ja sam wybrał Kijów i zrezygnował z wyjazdu do mamy. Jest to oczywista nieprawda, czego dowodem są moje podania na piśmie do naczelnika milicji w Chandydze,

zzprośba o pozwolenie wyjazdu do matki, do wsi Kopyniowce, oraz do ministra spraw wewnętrznych ZSSR o pozwolenie wyjazdu do mamy przez Kijów. Świadczą o tym również informacje zawarte w moich listach do bliższych i znajomych, a także całe moje zachowanie w Kijowie. Sytuacja była prosta i jasna, prawnie i moralnie jednoznaczna, nie stwarzająca żadnych przeszkód. Chodziło bowiem nie tylko o mnie, ale przede wszystkim o mamę: o kobietę, starą osobę, o matkę, która najprawdopodobniej miała ostatnią szansę zobaczenia syna i pożegnania się z nim na zawsze.

Po przylocie do Kijowa od pierwszego dnia domagałem się pozwolenia na wyjazd do mamy. Zwracałem się z tą prośbą do MSW USSR, a prócz tego do przedstawicieli najwyższej władzy kraju: dwukrotnie z podaniem i telegramem, do Ministra Spraw Wewnętrznych, Własowa, z telegramami do sekretarza generalnego KC KPZS M. Gorbaczowa, z telegramem i podaniem do prokuratora generalnego ZSSR A. Rekunkowa. Telefónowałem do Biura Przyjęć KC KPZS, rozmawiano z mną ostro i ordynarnie. Bracia i siostry zebrani przy matce, również zwracali się do władz, w tym do przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwa /KGB/ Czebrikowa, z prośbą o niezatrzymywanie mnie w Kijowie.

Nikt nie udzielił odpowiedzi. Sytuacja, i tak trudna z punktu widzenia moralnego, staje się tragiczna: mama, która czekała na mnie w napięciu i niepokoju, dostała 10 sierpnia wylewu krwi do mózgu, połączonego z lewostronnym paraliżem. Od trzech tygodni jest przykuta do łóżka, niekiedy traci świadomość i mowę, a w chwilach przytomności pyta, kiedy przyjadę. Przez ponad 20 dni władze kraju w osobach wszystkich najwyższych jej przedstawicieli, nie chcą usłyszeć mojego wołania o pomoc, nie reagują na przedśmiertny płacz matki i w ten sposób stają się sprawcami fizycznych i moralnych tortur, bezpośredniego zagrożenia życia. Wszyscy czujemy się zmaltretowani - ja, moja żona, dzieci.

Przeszedłem długą drogę w gęstych oparach oficjalnego kłamstwa, demagogii, ucisku i przemocy. Ale rozegrany teraz z moim udziałem szatański spektakl jest nawet dla mnie zaskakujący i zdumiewający, zwłaszcza w obliczu dzisiejszych szumnych deklaracji władzy o rewolucyjnej przebudowie i demokratyzacji społeczeństwa sowieckiego. Postępowanie ludzi, z winy których powstała i nadal trwa ta okropna, represyjna sytuacja, odczuwam jako cyniczną drwinę z najprostszycy ogólnoludzkich norm humanizmu i moralności.

Trudno mi wyobrazić sobie w imię czego, w jakim celu władza zdecydowała się na tak wyrafinowane postępowanie: systematyczne, powszechne, dobrze znane niepokornym więźniom politycznym "profilaktyczne" znęcanie się. Lecz przecież znęcają się nie tylko na mnie, a przede wszystkim na mamę! Czy to ma być zemsta za mój stosunek do inicjatywy władz w sprawie więźniów politycznych w styczniu - lutym bieżącego roku, do ich krępackich usiłowań rozwiązania problemu przez pominięcie go milczeniem. Sytuacja jest tym bardziej jednoznaczna, że trafia w sedno sprawy, w meritum polityki, dotyczy bowiem bezpośrednio samej istoty reformatorskich deklaracji kierownictwa państwowego.

Oczywiście nie mamy tu do czynienia z taką urzędniczą samowolą jakiegoś Iwanowa Iwanowicza. Dziś nie mam już wątpliwości, że wszystko było zaplanowane z góry, że podstawę wydarzeń stanowił mechanizm ogólnopolityczny. Niewątpliwie jest jednak i to, że żadne racje państwowe, mskiej czy bardziej ogólne, nie mogą usprawiedliwić sprawców represji: ich postępowanie było barbarzyńskie, ich antyhumanizm i amoralność

równają się świętokradztwu i grabieży.

Uważam, że postępowanie władzy dobitnie świadczy o jej ideowo-moralnym obliczu, o prawdziwych zamiarach inicjatorów przebudowy, o możliwościach i perspektywach "rewolucji" z góry.

Tak demonstrowane lekceważenie prawa i moralności, zwłaszcza w warunkach szeroko deklarowanej polityki reform, możliwe jest tylko wtedy, gdy nie działa opinia publiczna lub w wypadku, gdy władze wiedzą, że nie będzie należnego odzewu opinii światowej.

Co do tego władze nie miały wątpliwości. I niestety, znów się nie pomyliły. A my, Ukraińcy raz jeszcze przekonaliśmy się, że politycy i polityczna opinia Zachodu, zwłaszcza środki masowego przekazu, uważają nas jedynie za materiał propagandowy do własnego użytku, "zapominając", że jesteśmy narodem, odrębnym i samoistnym podmiotem historii, mamy własne interesy i usprawiedliwione potrzeby. Ukraina sześćdziesiątych - osiemdziesiątych lat XX wieku zaprezentowała się w sposób należyty i godny, doznała chyba największych represji i poniosła największe straty w ludziach. Reakcja świata na naszą sytuację była i pozostaje oburzająco obojętna i wyrachowana. Narodowo-polityczny /mocarstwowy/ i etniczny egoizm w stosunku do nas panuje nawet tam, gdzie, jak mogłoby się wydawać, dla aktywnej solidarności wystarczy zwyczajne ludzkie współczucie. Lekceważenie problemu ukraińskiego i ukrajinofobia nie mogą nie mieć negatywnych następstw historycznych, również w sferze prywatnych stosunków międzyludzkich. O tym trzeba mówić jasno i wyraźnie. Obecnie ograniczyć się tylko do jednej sprawy, jednego twierdzenia: trwałe i mocne uzdrowienie życia międzynarodowego na zasadach stabilnego i pokojowego współistnienia i współpracy nie jest możliwe bez dogłębnej, prawdziwie rewolucyjnej demokratyzacji ZSSR, a demokratyzacja ZSSR jest z kolei niemożliwa bez demokratyzacji dla Ukrainy, bez demokratycznego rozwiązania problemu ukraińskiego, czyli w praktyce, bez zdobycia przez nasz ukraiński wolności narodowej, realnego i pełnego prawa decydowania o swojej egzystencji.

Wasył Stus opowiadał kiedyś o żebraku, który prosił o jałmużnę słowami: "*Dajcie! Dajcie! Dajcie!*" /więc o jałmużnę tylko umownie/. Chcę wystąpić w roli takiego żebraka i będę kontynuował walkę o swoje zwolnienie.

Ukraina jest członkiem ONZ, jednym z założycieli tej międzynarodowej organizacji. Realne narodowo-polityczne i kulturalne położenie USSR jako formalnie odrębnej jednostki państwowej ZSSR - to przedmiot mojej pracy *Prawo do życia*, za którą pozbawiono mnie wolności. Nakładam na Pana, Panie Sekretarz Generalny ONZ, moralny obowiązek wzięcia mnie pod opiekę - zarówno osobiście, jak i poprzez UNESCO oraz Komisję ONZ do Spraw Praw Człowieka.

Wiem, że po moim uwięzieniu niektórzy członkowie Kongresu USA występowali w mojej obronie. Wyrażam im za to szczerze podziękowanie i proszę Kongres USA, by miał w polu swojego politycznego widzenia mój obywatelski los. Notabene - w te sierpniowe dni, gdy bezskutecznie stukałem do wszystkich drzwi najwyższych władz z wołaniem o pomoc, w tym również do Przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSSR, jej członkowie przyjmowali delegację senatorów USA. Zwracam się więc w szczególności do Pana Przewodniczącego tej delegacji.

U podstaw społeczno-politycznej ideologii mojego traktatu *Prawo do życia* leży koncepcja demokratycznego socjalizmu. Zwracam się do kierownictwa Socinternu, by wystąpiło o moje uwolnienie.

Idealy demokracji, wolności i współpracy są treścią wszystkich moich wystąpień. Naturalnym obowiązkiem uczestników Wiedeńskiej Naraady do Spraw Umów Helsińskich jest nie pomijanie faktu okrutnego rozprawienia się ze mną. W szczególności apeluję do delegatów USA, Kanady, Anglii, Francji oraz RFN w nadziei, że przedstawiciele tych krajów nie popadli w euforię, wywołaną liberalizacją polityki sowieckiej i zachowali trzeźwość w ocenie rzeczywistości.

Brak znanion przestępstwa w moich tekstach i działaniach jest oczywisty, nawet zgodnie z logiką praw sowieckich. Proszę międzynarodowe organizacje prawników, by domagały się od sowieckiego kierownictwa obiektywnego rozpatrzenia mojej sprawy przy udziale zagranicznych ekspertów.

Prawdziwą przyczyną pozbawienia mnie wolności są moje wystąpienia w obronke legalnych praw i interesów mojego narodu. Zwracam się do adwokatów Leonarda Peltiera z prośbą, by stali się moimi obrońcami wobec państwowych organów władzy Związku Sowieckiego, który aktywnie czuwa nad losem L. Peltiera. Zwiadamiam panów, Panowie Adwokaci, oraz L. Peltiera, że 10 grudnia 1984 roku jako więzień polityczny zwracałem się z okazji Międzynarodowego Dnia Praw Człowieka do kierownictwa sowieckiego z odpowiednim podaniem-deklaracją, w której miesciła się również prośba do rządu USA, by zwrócił uwagę na los L. Peltiera i zapewnił obiektywne i sprawiedliwe rozpatrzenie jego sprawy. Za tę deklarację zostałem skazany na dwanaście dni karceru, a warunki przebywania w nim były równoznaczne z codziennym katowaniem.

Pisarz - to symbol moralnej samoświadomości ludzkości. Wyobrażając sobie konkretnego adresata, kieruję swoje podanie również do Pana, panie Gabrieli Garcia Marquez. Przyczyną tego jest być może Pańskie spotkanie z M. Gorbaczowem.

Moja matka jest człowiekiem głęboko religijnym, o wysokich i czystych uczuciach chrześcijańskich. W drugiej połowie sierpnia, kiedy to sowiecki Komitet Obrony Pokoju przyjmował w Kijowie Matkę Teresę, zنعanie się władz nad moją chorą, 82-letnią matką osiągnęło apogeum. Zwracam się do Ciebie, Matko Tereso, do Twojego serca, które boleśnie reaguje na brak miłości i dobroci na świecie. Przed Tobą dokonuję surowego, moralnego potępienia ludzi, którzy nie znaleźli w sobie ani krztyny miłosierdzia dla mojej starej, na wpół sparaliżowanej matki. Twoja reakcja, Matko Tereso, na ich okrucieństwo przyczyni się do zmniejszenia zła w ludzkim życiu.

Korzystam z okazji, by podziękować wszystkim ludziom dobrej woli za granicą, którzy stawali i staną w obronie radzieckich więźniów sumienia, w tym i w mojej obronie.

Zwracam się z prośbą do Ukraińców za granicą, zarówno do organizacji, jak i osób prywatnych o dołożenie starań, by mój apel, jak również inne świadectwa mojego losu, doszły do wymienionych tu adresatów.

31 sierpnia 1987 rok, Kijów

Jurij Badzio

KRONIKA

JESIEŃ - ZIMA 1986

Bardzo przepraszamy Czytelników za duże spóźnienie wiadomości zawartych w Kronice. Wywołane jest to względami technicznymi, które powodują opóźnienia w druku pisma, co - z natury rzeczy - Kronika odczuwa najbardziej. Nie zamierzamy jednak likwidować tego działu, który nigdy nie miał być działem aktualności, a raczej zawsze miał służyć całościowemu spojrzeniu na minione wydarzenia w krajach Obozu. W miarę naszych możliwości postaramy się jednak, aby w przyszłości spóźnienie to nie było aż tak duże.

Redakcja

Afganistan

27 grudnia 1986 r. minęło 7 lat od chwili sowieckiej inwazji. Siły okupacyjne liczą nadal ponad 100 tysięcy ludzi. Liczebność oddziałów partyzanckich szacuje się na 200 tysięcy. Straty ludnościowe /zabici, zmuszeni do emigracji/ są trudne do określenia. W roku 1985 zginęło 37 tysięcy cywilów, w roku 1986 - 12 tysięcy.

Wojska sowieckie prowadzą stałe akcje zmierzające do wyludnienia terenów przygranicznych. We wrześniu władze w Kabulu zapowiedziały przesiedlenie z tych terenów 300 tysięcy ludzi.

23 października w Pakistanie wylądował afgański MIG 21, którego pilot poprosił o azyl.

6 listopada w siedzibie ONZ w Nowym Jorku stowarzyszenie dziennikarzy akredytowanych przy ONZ urządziło konferencję prasową dla przedstawicieli Mudżahedinów. Przedstawiciel reżimu kabuskiego Mohammad Zarif, protestował w tej sprawie u sekretarza generalnego, grożąc w razie dopuszczenia do konferencji użyciem przemocy. Istotnie: trzech mudżahedini tuż przed przybyciem na konferencję zostali zaatakowani przez "dyplomatów" afgańskich, których obezwładniła dopiero straż ONZ.

20 listopada podano oficjalnie o rezygnacji Babraka Karmala ze wszystkich funkcji rządowych i partyjnych. W dwa dni później, w śródmieściu Kabulu wybuchła bomba w pobliżu budynku, w którym odbywała się konferencja prasowa Nadżibullacha. Przypuszcza się, że zrobili to zwolennicy Karmala.

1 stycznia Nadżibullah ogłosił jednostronne zawieszenie broni zaczynające się od 15 stycznia. Zaproponował też opozycji udział w wyborach, dyskusję nad konstytucją i utworzenie rządu koalicyjnego. Mużahedini odrzucili zarówno rozejm, jak i propozycję rozmów z Kabulem, deklarując chęć podjęcia rozmów z Moskwą.

Amnesty International opublikowała raport w sprawie traktowania więźniów w Afganistanie. Potwierdzono w nim regularne stosowanie tortur.

Od początku września oblężony jest przez powstańców średniowieczny zamek Gerwasagai, punkt zapewniający kontrolę nad szlakiem zaopatrzeniowym z Pakistanu. Sowieci próbowali zaopatrzyć garnizon z powietrza, jednak po zestrzeleniu śmigłowca transportowego, zaniechali tego. 23 października odrzutowce sowieckie zrzuciły na pozycje mużahedinów pojemniki z ciemnoniebieskim gazem wywołującym dezorientację, mdłości i wymioty. Nie było śmiertelnych zatruc. W nalotach na pobliskie wioski użyto napalmu. Jeden samolot strącono.

28 września, w czasie rozmów prowadzonych przez Nadżibullacha z sowieckim wicepremierem Murachowskim, w samochodzie zaparkowanym na terenie należącym do ambasady sowieckiej w Kabulu, wybuchła bomba. Nie jest jasne, czy zamach był dziełem mużahedinów, czy też był wynikiem różnic poglądów w łonie afgańskiej partii.

16 października w rejonie Gazni, powstańcy urządzili zasadzkę na sowiecki konwój. Zniszczono 2 czołgi, 2 inne pojazdy i 2 śmigłowce.

W pierwszej połowie października wojska sowieckie i reżimowe przeprowadziły w rejonie Szakadar i Estalew 9-dniową ofensywę połączoną z pacyfikacją. Niszczono pozycje powstańców, wsie, zasiewy i inwentarz żywy.

W połowie października mużahedini zabili w hotelu w Heracie 30 oficerów sowieckich. W tym samym czasie zaatakowali sowieckie koszary, niszcząc skład amunicji i wyrzutnie rakiet.

Na początku listopada miała miejsce kolejna sowiecka ofensywa mająca na celu likwidację pozycji partyzantów w okolicach Kandaharu i odblokowanie szosy Herat - Kandahar. Ofensywa odniosła połowiczny sukces: po raz pierwszy od 4 lat sowieci odzyskali kontrolę nad szosą. Sytuacja w Kandaharze pozostała bez zmian: partyzanci nie zajmują miasta, ale w każdej chwili mogą doń wkroczyć.

29 listopada partyzanci dokonali ataku raketowego na Kabul. Około 20 rakiet spadło na dzielnicę Darulaman. W tym samym dniu przebywał w Kabulu specjalny wysłannik ONZ, Diego Cordobez.

W połowie grudnia sowieci rozpoczęli drugą w tym roku ofensywę na Herat. Wzięło w niej udział około 1000 pojazdów bojowych. Okupantom nie udało się wyprzeć partyzantów z sieci tunelów i schronów w mieście i 5 stycznia sowieci odstąpili od oblężenia.

Silny oddział wojsk reżimowych, liczący około 500 pojazdów, zaatakował w połowie grudnia bazę mużahedinów Tora Bora na południe od Dżalalabadu. Zabito 150 żołnierzy Nadżibullacha, uszkodzono lub zniszczono 150 wozów bojowych.

W czasie wycofywania do ZSSR 6 pułków, przedstawionego przez propagandę jako "*gest dobrej woli*", wojska sowieckie pacyfikowały tereny, przez które przechodziły, paląc wieś po wsi, niszcząc uprawy i wyrzynając bydło.

Telewizja afgańska pokazała zdjęcia 500 mudżahedinów, którzy - według komentarza - złożyli broń w Szakadar koło Kabulu. W rzeczywistości odbyło się to tak, iż wszyscy mężczyźni ze wsi zostali spędzeni na plac, upozowani i zmuszeni do "poddania się" w obecności reporterów TV. Innym razem mężczyznom z jednego z kabujskich hoteli wydano broń i kazano im ją "złożyć". Rolę tę musieli oni powtórzyć w kilku miejscach.

Chiny

Chiny modernizują armię. Zmniejszono jej liczebność z 5 do 4 mln., zwolniono na emeryturę 47 tys. oficerów, którzy wstąpili do służby w czasach partyzantki Mao, przed 1948 rokiem. W nowoutwartych akademiach wojskowych kształci się 10 tys. elewów. Wprowadzany jest komputerowy system łączności. W USA zakupiono wyposażenie radarowe i komputerowe dla 50 myśliwców za 550 mln dolarów.

W końcu listopada w Pekinie odbyły się międzynarodowe targi broni. Dotychczas sam fakt eksportowania przez Chiny broni objęty był tajemnicą. Eksport ten przynosi roczne zyski rządu kilku mld dolarów. Chiny eksportują głównie wozy bojowe, myśliwce, broń małokalibrową i artylerię. Ostatnio oferują także rakiery międzykontynentalne. Jedną z najważniejszych zalet tej broni jest jej niska cena.

Oficjalny dziennik *Kuang Mینگ* opublikował komentarz stwierdzający, że Chiny powinny być państwem nowoczesnym i demokratycznym, nie zaś komunistycznym. Komunizm bowiem odstrasza ludzi zdolnych, mogących się przyczynić do rozwoju państwa.

5 grudnia studenci Wyższej Szkoły Nauki i Techniki w Hanoi zorganizowali wiec, na którym domagali się reform demokratycznych. 9 grudnia miał miejsce marsz protestacyjny do siedziby lokalnych władz. Demonstracje studenckie objęły w krótkim czasie 11 dużych miast. W niektórych miastach przyłączyli się do nich robotnicy. Policja na ogół nie interweniowała. 1 stycznia w czasie wielkiej demonstracji w Pekinie aresztowano 24 osoby. 28 grudnia władze powołały komisję do zbadania postulatów studentów. Domagają się oni: zwiększenia demokracji, wolności prasy, prawnego uznania protestów i gwarancji bezpieczeństwa dla demonstrujących. Później dodano żądanie uwolnienia aresztowanych za udział w protestach i ogłoszenia żądań w prasie. Studenci twierdzą, że ich demonstracje są wyrazem poparcia dla Teng Siao Pinga w jego dążeniu do demokratyzacji.

Czechosłowacja

24 lipca SB przeprowadziła rewizję w domu Michała Mrtwego w Ołomuńcu. Zabrano: powielacz, przybory do powielania, papier i druki o treści religijnej i związanej z Kartą 77. Mrtwy został aresztowany i przewieziony do więzienia w Ołomuńcu. Ma on 22 lata, pracuje jako elektromechanik, cierpi na nieuleczalną chorobę i jest aktywnym katolikiem.

Inny katolik, 53-letni Edward Bunka, został skazany na 7 miesięcy aresztu w zawieszaniu na 1.5 roku za przepisywanie tekstów Augustina Navratila. W czasie rewizji zabrano mu literaturę religijną i przybory do powielania.

Sąd nakazał zwolnienie trzech członków Sekcji Jazzowej Stowarzyszenia Muzyków i ponowne rozpatrzenie sprawy pozostałych 4 osób. Zwolnieni pozostaną jednak w areszcie, gdyż prokurator odwołał się do sądu wyższej instancji. W końcu grudnia zwolniono dwie osoby ze względu na stan zdrowia.

Kiedy skazani członkowie Sekcji odwołali się do Sądu Konstytucyjnego okazało się, iż ten utworzony w 1968 roku trybunał nie odbył jeszcze żadnego posiedzenia i nie ma ani jednego członka.

5 stycznia upływała 10 rocznica powstania Karty 77. Jej sygnariusze wystosowali tego dnia apel do społeczeństwa i władz o przywrócenie w kraju tradycji demokratycznych. W 1977 roku Kartę podpisało 241 osób. Po 10 latach liczba sygnatariuszy wynosi ponad 1300 osób. Podpisy wycofało tylko 10 osób.

Etiopia

Minister spraw zagranicznych Etiopii, płk Wolde, zrezygnował ze stanowiska i zdecydował się na emigrację motywując to tym, iż *"polityka zagraniczna rządu Etiopii niezgodna jest z interesem państwowym"*. Wolde od września przebywa w USA, dokąd udał się na rozpoczęcie sesji zgromadzenia ogólnego ONZ.

Jugosławia

W trzecim kwartale 1986 r. w Kosowie zanotowano 34 przypadki napałów Albańczyków na Serbów. Dwukrotnie odbyły się demonstracje protestujące przeciwko gwałtom. Od roku 1981 wyjechało z Kosowa 20 tys. Serbów /na 220 tys./. Serbowie domagają się prawnych gwarancji utrzymania ich władzy nad okręgiem, który zamieszkuje 1.200 tys. Albańczyków.

Co trzydziesty jugosłowiański noworodek nie dożywa pierwszych urodzin. Co roku umiera około 11 tys. dzieci. Jest to ponury rekord europejski. Przyczyną są infekcje oraz zbyt mała ilość miejsc w szpitalach. Obliczona na 3,5 tys. rocznie największa klinika w Belgradzie przyjmuje ich 10 tys. Młode matki leżą po dwie na jednym łożku, co zwiększa ryzyko infekcji. Jugosławia przeznaczą na opiekę zdrowotną 3.6 proc. dochodu narodowego. Według norm Światowej Organizacji Zdrowia odsetek ten powinien wynosić w każdym państwie do roku 1990 - 10 proc.

Kambodża

Władze Tajlandii postanowiły przenieść kambodżańskich uchodźców do pasa przygranicznego. Zlikwidowany będzie wielki obóz Kao i Dang, mieszczący 26 tys. ludzi. Zostanie tam jedynie szpital Czerwonego Krzyża. Uchodźcy będą pozostawać w budowanych właśnie obozach w strefie przygranicznej, czekając na decyzję ambasad krajów zachodnich rozpatrujących podania o emigrację.

Kuba

W lipcu zlikwidowano kolumny ogłoszeniowe we wszystkich dziennikach argumentując /szusnie skądinąd/, że ogłoszenia prowadzą do upowszechnienia idei kapitalistycznych.

1/3 kubańskich sił zbrojnych przebywa poza krajem. Kuba jest jednym z najbardziej zmilitaryzowanych krajów świata. Posiada 25 żołnierzy na 1000 mieszkańców. /USA - 9/1000/.

26 grudnia ogłoszono podwójną podwyżkę cen biletów autobusowych i prądu. Castro zapowiedział ponadto zniesienie bezpłatnych posiłków w stołówkach robotniczych, ograniczenie konsumpcji mięsa i mleka i ograniczenie programów telewizyjnych. Ponadto zawody sportowe będą się mogły odbywać wyłącznie za dnia, aby nie marnować prądu na oświetlanie stadionów. Skoro Kubańscy zaczynają oszczędzać na sporcie, to znaczy, że chyba jest źle... Istotnie - dochody z eksportu wyniosły w 1986 r. 600 mln dolarów. Rok wcześniej - 1.200 mln dolarów.

Mozambik

Mozambik krajem dynamicznie zwiijającym się: w latach 1981-1985 zbiory orzeszków cashew spadły z 90 do 5 tys. ton; a produkcja cukru ze 117 do 23 tys. ton. Dochód narodowy w latach 1982-1985 spadł o 33 proc. Według oficjalnego raportu rządowego w okresie od listopada 1986 do października 1987 zabraknie 328 tys. ton kukurydzy, 56 tys. ton pszenicy i 28 tys. ton ryżu. Żywność jest reglamentowana. Miesięczny przydział na mieszkańca miasta wynosi: 2.5 kg ryżu, 2 kg mąki kukurydzianej, 1 kg cukru, 1 l oleju, kawałek mydła. Kilogram ryby na wolnym rynku kosztuje 1500 meticali. Średnia pensja - 10 tys. meticali. W ramach nowej polityki ekonomicznej w Maputo otwarto sklep dewizowy, gdzie można nabyć m.in. konserwy, nabiał i odzież. "Równiejsi" mogą tam kupować za meticale. Według oficjalnego kursu 1 dolar = 38 meticali, według czarnorynkowego - 1500.

Nikaragua

W ciągu ośmiu miesięcy roku 1986 sandiniści 50 razy gościli w krajach komunistycznych Europy i Azji, lub gościli u siebie przedstawicieli tych państw. Statystyka ta nie obejmuje ciągłych kontaktów z Kubą. W czołówce znajdują się natomiast kraje: NRD - 13 wizyt, ZSSR - 10 wizyt, CSRS - 5 wizyt, Chiny - 4 i Bułgaria - 3. W raporcie ONZ stwierdzono, że w latach 1979-1984 pomoc finansowa państw komunistycznych dla Nikaragui osiągnęła 780 mln dolarów. W roku 1985 - już 260 mln dolarów. Wielki Brat ma jednak węży w kieszeni - dał tylko 17.2 mln dolarów. Najwięcej dali Mali Aktywni Bracia - Kuba dostarczyła 96 mln dolarów.

Rząd USA podjął decyzję szkolenia partyzantów nikaraguańskich na swoim terytorium. Przebywa tam już ponad 70 ludzi, głównie oficerów.

Wojska sandinowskie na początku grudnia wtargnęły pod pretekstem manewrów do Hondurasu, gdzie stacjonują partyzanci nikaraguańscy. Mimo ataków armii honduraskiej, wspomaganej przez amerykańskie śmigłowce, nie wycofali się z terytorium tego kraju. Propaganda oczywiście zaprzecza, jakoby byli tam kiedykolwiek.

NRD

W listopadzie miało miejsce co najmniej 14 uciezek do RFN. Nie rejestrujemy wszystkich, podajemy tylko przykłady tragiczne, bądź szczególnie pomysłowe. W końcu listopada na szczycie muru berlińskiego zabito strażnikami z broni automatycznej młodego człowieka, który spadł i został odniesiony po nakryciu płachtą. 5 stycznia w okolicy miasta Wiederhausen strażnik graniczny rozbroił swego towarzysza, wykradł klucze od bramy granicznej i zbiegł. Uciekinier jest 23-letnim murarzem i do służby granicznej został wcielony 8 miesięcy wcześniej.

Na początku stycznia kanclerz RFN Kohl stwierdził w oficjalnym przemówieniu, że w NRD przetrzymywanych jest w więzieniach około 2 tysiące więźniów politycznych, których nazwał "rodakami". Władze NRD ostro zaprzeczyły, twierdząc, że nie są to więźniowie polityczni i nie są to rodacy Kohla.

Rumunia

W czasie listopadowego referendum na temat redukcji armii prawo do głosowania miało 17 mln Rumunów /na 22 mln mieszkańców/. Stało się tak dzięki obniżeniu granicy wieku głosujących do 14 lat. Przeciwno zmniejszeniu armii głosowało dokładnie 228 osób.

Rumuński minister obrony odwiedził Waszyngton. Jest to wydarzenie bez precedensu w historii krajów komunistycznych, podobnie jak wizyta okrętów VI Floty w Konstancy. USA są trzecim partnerem handlowym Rumunii.

Dziennikarze zachodni usiłujący poznać przyczyny braków w zaopatrzeniu w podstawowe produkty żywnościowe i paliwo dowiedzieli się, w odpowiednich resortach, że żadnych braków nie ma, zaś wszystko - łącznie z eksportem żywności - idzie zgodnie z planami. W Cluj /stolica Siedmiogrodu/ miesięczna racja mięsa wynosi 0.5 kg na osobę. W sklepach dewizowych można dostać oczywiście wszystko, kłopot tylko w tym, że posiadanie dewiz jest zabronione...

Węgry

Laszlo Rusai, jeden z węgierskich sygnatariuszy "Apelu" wydane-go z okazji 30 rocznicy powstania na Węgrzech, został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Już w poprzednim roku Rusai /ur. 1955 r./ spędził 39 dni w areszcie, gdzie został dwukrotnie pobity. Odniesione obrażenia spowodowały depresję psychiczną, w wyniku czego musiał się poddać kuracji neurologicznej. Po kuracji powrócił do zdrowia, jednakże policja była innego zdania - jego wystąpienie z okazji rocznicy Powstania /podpis pod apelem, mowa wygłoszona na spotkaniu zorganizowanym przez opozycję, wystawienie w oknie plakatu "Wolność dla Węgrów"/ zostały uznane za objaw, że cierpi na nawrót choroby. Interesujący jest fakt, że w chwili przewożenia uwięzionego opozycjonisty do psychuszki, policja przeprowadziła w jego domu rewizję. Czyżby przechowywał przedmioty zagrażające zdrowiu psychicznemu?

ZSSR

W ciągu ostatnich 10 lat /wg ocen amerykańskich/ ZSSR wydał na badania nad obroną strategiczną ok. 150 mld dol. Przewidywane wydatki na 1987 rok na ten cel wynoszą 3,7 mld dol. Prace nad bronią laserową kosztują ok. 1 mld dol. rocznie i bierze w nich udział ok. 10 tys. naukowców i inżynierów.

Medług ocen amerykańskich ZSSR jest 5-7 lat opóźniony w stosunku do Zachodu, jeżeli chodzi o rozwój techniki. Wykorzystuje więc w przemyśle zbrojeniowym technologię zachodnią zdobywaną legalnie lub nielegalnie. Kosztuje to ponad 1 mld dol. rocznie, czyli znacznie mniej, niż odpowiednie badania naukowe. Nowości zdobywają nie tylko szpiedrzy. Urządzenia sterowane komputerowo służące do produkcji samochodów mogą być użyte do produkcji czołgów. Sprzęt pozwalający na dokładne badanie serca i do wykrywania trzęsień ziemi jest przez Sowieców stosowany do wykrywania łodzi podwodnych. Dzięki restrykcjom Międzynarodowego Komitetu Koordynacyjnego d.s. Przepływu Nowoczesnych Zdobywczy Techniki /COCOM/, w skład którego wchodzi przedstawiciele 14 państw zachodnich, w 1985 r. powstrzymano transfer zdobywczy techniki, które przyniosłyby ZSSR oszczędności rzędu 4-12 mld dol. Państwa zachodnie zaoszczędziły w ten sposób ok. 1 mld dol., ponieważ nie muszą opracowywać nowych systemów obrony przed własną techniką.

Od 1921 roku istnieje traktat uprawniający ZSSR do wysyłania swych wojsk do Iranu w sytuacji stwarzającej zagrożenie dla Związku Sowieckiego. Stalin skorzystał z tego traktatu w sierpniu 1941 r., po czym wojska sowieckie wycofały się dopiero po II wojnie światowej pod silną presją Zachodu. Traktat obowiązuje nadal.

W skład lotnictwa indyjskiego wejść ma myśliwiec MIG 29, który został już wypróbowany w Związku Sowieckim, ale nie otrzymało go jeszcze żadne inne państwo.

Podczas odnawiania ambasady szwedzkiej w Moskwie znaleziono ukryte mikrofony. Musiały się tam znajdować od momentu oddania budynku do użytku w 1972 roku i nie mogły być zainstalowane bez wiedzy władz sowieckich. Szwedzi wystosowali ostry protest w tej sprawie.

Ambasada sowiecka w Waszyngtonie umieszczona jest na wzgórzu Alto, drugim co do wysokości punkcie miasta. Góruje nad Białym Domem, Pentagonem i siedzibą CIA. W ambasadzie są zamontowane prawdopodobnie kierunkowe urządzenia podsłuchowe wycelowane w budynki różnych władz amerykańskich. Współczesny sprzęt umożliwia podsłuchiwanie, z dużej odległości, rozmów prowadzonych wewnątrz tych budynków. Na parapetach Białego Domu zainstalowano urządzenia zagłuszające. Inne budynki nie mają takich urządzeń. Wzgórze Alto znajduje się także na linii przesyłania informacji do anteny talerzowej ustawionej w najwyższym punkcie Waszyngtonu. Ambasada amerykańska w Moskwie jest umieszczona nad rzeką, w jednym z najniższych punktów miasta i jest otoczona wysokimi budynkami. Odkryto w niej dotychczas ok. 100 różnych urządzeń do przechwytywania informacji. W czasie odlewania elementów konstrukcji stalowej umieszczono w nich urządzenia podsłuchowe, a cały stalowy szkielet budynku stanowi ogromną antenę. Budynki obu ambasad są nowe. Decyzję o ich budowie podjęto podczas kadencji Nixona. Budowę rozpoczęto w 1978 roku.

Ambasada sowiecka w Paryżu zatrudnia 286 obywateli sowieckich. Ambasada francuska w Moskwie - 116 Francuzów. Żeby uzyskać zezwolenie

na stworzenie w Leningradzie konsulatu z siedmioma Francuzami skazanymi na bezczynność Francja musiała się zgodzić na powstanie w Marsylii konsulatu sowieckiego, w którym pracuje 20 ciągle zajętych Sowietów. Obsługą placówek zachodnich w ZSSR zajmuje się UPPK /komórka KGB/. We Francji przebywa w sumie /poza pracownikami ambasady i konsulatu/ ok. 700 obywateli sowieckich. Są to przedstawiciele "Aeroflotu", członkowie dyrekcji mieszanych, francusko-sowieckich spółek handlowych i urzędnicy delegatury dla obustronnej wymiany handlowej. Wszyscy mają paszporty dyplomatyczne. W ciągu ostatnich 10 lat ilość tych "dyplomatów" podwoiła się.

10 listopada wywiad amerykański doniósł o odkryciu w Baranowiczach nowego, dużego kompleksu radarowego. Urządzenia te bardzo przypominają stację radarową w Krasnojarsku, której istnienie stanowi naruszenie układu ABM /o ograniczeniu obrony antybalistycznej/. Stacja w Baranowiczach duplikuje dwie inne instalacje: w Skundzie na Litwie i w Mukaczowie w pobliżu granicy z CSRS. Instalacje te wykryto w sierpniu przy pomocy satelitów zwiadowczych. Wszystko to dowodzi, że Związek Sowiecki buduje nowy "trójwarstwowy" system radarowy, kontrolujący obszar na zachód od granic ZSSR. Według specjalistów amerykańskich radar w Skundzie i Mukaczowie są zbyt potężne, by miały służyć jedynie do wczesnego ostrzegania. Odkrycie trzeciej stacji radarowej w Baranowiczach oznacza, że Związek Sowiecki buduje ogólnokrajowy system obrony przeciwrakietowej.

Jakość towarów produkowanych przez ZSSR jest jedną z najniższych na świecie. W 1985 r. zanotowano na przykład ponad 400 przypadków eksplozji telewizorów kolorowych. Gorbaczow ogłosił rok 1987 rokiem jakości towarów rynkowych.

Władze ZSSR, które od dawna nawiązują do zwiększenia obrotów handlowych między krajami RWPG, same starają się zwiększyć wymianę między Związkiem Sowieckim a Zachodem. Eksport do krajów zachodnich stanowi 35 proc. całego eksportu sowieckiego /pierwsze miejsce w RWPG/, a import z Zachodu - 32 proc. całego importu /trzecie miejsce w RWPG/. Ceny, które Sowieci płacą za towary importowane z krajów Europy wschodniej wzrosły w ostatnich latach aż o 17 proc. W tym samym okresie ceny towarów eksportowanych przez ZSSR do tych krajów wzrosły o 33 proc.

W drugim tygodniu grudnia wznowiła działalność mieszana irańsko-sowiecka komisja do spraw współpracy handlowej. Obrady przerwano sześć lat temu /1980 r./, kiedy władze Iranu oskarżyły Irańską Partię Komunistyczną o udział w spisku kierowanym przez Moskwę, zmierzającym do zamachu na Chomeiniego.

Związek Sowiecki opublikował po raz pierwszy od 5 lat dane dotyczące produkcji żywności. Z danych tych wynika, że na początku lat osiemdziesiątych nastąpił szereg klęsk nieurodzaju. Produkcja zboża w latach 1981-1985 wynosiła średnio niewiele ponad 180 mln ton rocznie, czyli 25 proc. poniżej planów. Najniższe zbiory zanotowano w 1981 r. /158.200 tys. ton/.

Na 27 Zjeździe PKZS Gorbaczow obiecał, że rolnicy otrzymają działki, które będą mogli uprawiać na własną rękę. Nic więcej w tej sprawie nie zrobiono. Pojawiło się natomiast zarządzenie dotyczące nielegalnych dochodów. Miało być wymierzone przeciwko kradzieżom mienia państwowego, ale jest wykorzystane przez policję przeciwko rolnikom sprzedającym nadwyżki z działek.

Rada Najwyższa ZSSR zatwierdziła w listopadzie ustawę zezwalającą na działalność małych przedsiębiorstw spółdzielczych i rodzinnych, oraz legalizującą niektóre formy wolnego rynku w dziedzinie usług. Ustawa obejmuje naprawę obuwia, prowadzenie taksówek i zakrojone na niewielką skalę usługi w zakresie budownictwa i rolnictwa. Zezwala pracownikom państwowym na pracę w czasie wolnym, a także na pracę studentów, gospodyń domowych, emerytów i inwalidów. Zabrania się natomiast zatrudniania kogokolwiek. Wspólnie pracować mogą jedynie członkowie rodziny mieszkający pod jednym dachem.

W roku 1985 niedobór energii w ZSSR wyniósł około 25 proc. zapotrzebowania. W roku bieżącym na skutek czarnobylskiej katastrofy i letniej suszy deficyt osiągnie około 6 mln kilowatów. Zimą w Moskie i innych miastach ulice były nie oświetlone. Przyćmiono już iluminowane napisy propagandowe. Fabryki będą pracować na zmodyfikowane zmiany, a wiele z nich - tylko w dni świąteczne. Z powodu awarii w Czarnobylu odczono uruchomienie trzech nowych elektrowni jądrowych /dwóch na Ukrainie, trzeciej w rejonie Moskwy/. 11 proc. produkcji prądu w ZSSR pochodzi z elektrowni jądrowych. W ZSSR działa około 2000 zagłuszarek lokalnych zużywających około 20 kW na godzinę /każda/ i 100 do 250 zagłuszarek dalekiego zasięgu zużywających po ok. 400 kW/h. Wyłączając zagłuszarki można by zmniejszyć deficyt energetyczny o 12 do 25 proc. Utrzymywanie systemu zagłuszania, który jest obsługiwany przez 10 tys. techników i inżynierów, kosztuje rocznie od 0,5 do 1,5 mld dolarów.

We wrześniu podano, że bezpośrednie koszty katastrofy w Czarnobylu wyniosą ok. 3 mld dol. Z tego 590 mln dol. to koszty zniszczonych urządzeń elektrowni, a 885 mln to koszt nowych mieszkań dla wysiedlonych.

W czerwcu na terenie elektrowni w Czarnobylu doszło do strajku protestacyjnego. Grupę strajkujących Estończyków rozstrzelano. Rozstrzelani należeli do kilkusetosobowej grupy estońskich rezerwistów powołanych do służby czynnej i wysłanych do Czarnobyla do pomocy przy odkażaniu terenu. Strajk rozpoczął się, gdy rezerwistów poinformowano, że okres ich pobytu w Czarnobylu przedłużono z 2 do 6 miesięcy. Doszło wtedy do zamieszek. Nie wiadomo nic o ofiarach. Informację o strajku podały zachodnie środki prężkazu za estońskim dziennikiem *Komsomolec*. TASS zaprzeczył informacji o rozstrzelaniu kogokolwiek.

W żadnej z nierosyjskich republik nie zabrano się do walki z korpucją tak intensywnie, jak w muzułmańskich republikach azjatyckich. Połączone jest to z kampanią antyislamską. Na początku roku szef uzbeckiej organizacji partyjnej przyznał, że Uzbekowie zaczęli uważać posunięcia Moskwy za antynarodowe. Przemawiając w końcu grudnia w Taszkencie Gorbaczow domagał się zdecydowanej i bezkompromisowej walki z wszelkimi przejawami kultu religijnego. Zagroził ostrymi karami wobec tych przedstawicieli władz, którzy *"idą na usługi przestarzałych poglądów i osobiście uczestniczą w rytuałach religijnych"*.

Na konferencji prasowej w stowarzyszeniu dziennikarzy zagranicznych w Nowym Jorku przewodniczący Rady do spraw Wyznań ZSSR, Konstantin Charczew, oświadczył, iż wcześniejsze przewidywania, że społeczeństwo stanie się niewierzące okazały się nieprawdziwe i wobec tego władze sowieckie uznały, że muszą współpracować z przedstawicielami różnych wyznań, ponieważ 20 proc. ludności uważa się za osoby wierzące. Według Charczewa przedstawiciele różnych wyznań występują w radiu i telewizji, które przedstawiają ich jako osoby *"głęboko moralne"*,

otwiera się nowe kościoły i rozważana jest możliwość zezwolenia grupom wyznaniowym na posiadanie nieruchomości. Na potwierdzenie swych oświadczeń Charczew podał, iż ze 110 synagog w ZSSR tylko 2-3 nie mają rabina. Obecny na konferencji rabin Szmajer /emigrant z ZSSR/ stwierdził, że tylko w 4 lub 5 synagogach w wielkich miastach nabożeństwa odprowadzane są przez rabinów, a w pozostałych - z braku kapłanów - przez osoby świeckie.

Papież Jan Paweł II oświadczył, że nie uda się do ZSSR, jeśli władze sowieckie nie pozwolą mu na spotkanie z katolikami litewskimi. W roku 1984 papieżowi odmówiono zezwolenia na odbycie pielgrzymki na Litwę. Moskwa odmówiła również zgody na przybycie wysłannika Watykanu na uroczystości 600-lecia chrztu Litwy w przyszłym roku. Na Litwie żyje około 2,5 mln praktykujących katolików.

Pod koniec grudnia metropolita Filaret udzielił w Mińsku wywiadu dziennikarzowi włoskiemu. Według Filareta zaproszenie papieża do Związku Sowieckiego nie było jeszcze poruszane w żadnych rozmowach z rządem, a ponieważ papież jest głową państwa, zaproszenie go nie leży w kompetencjach Kościoła. Wizyta papieża jest problemem bardzo złożonym ze względu na specyficzne podejście Watykanu do Kościoła katolickiego na Ukrainie. Stosunki Kościoła prawosławnego z Rzymem były łatwiejsze i pożyteczniejsze w czasach Jana XXIII i Pawła VI. Na Janie Pawle II ciąży "polskość", oraz tradycyjnie nieprzychylnie nastawienie Polaków do Kościoła prawosławnego, a zwłaszcza nastawienie Krakowa. Encyklika *Dominiun et vivificantem* oraz instrukcje stolicy apostoelskiej w sprawie teologii wyzwolenia dowodzą, że Watykan w czasie pontyfikatu Jana Pawła II wypowiada się na rzecz ustroju kapitalistycznego, a Rosyjski Kościół Prawosławny "poprawnie współżyjąc z marksizmem nie kwestionuje jego osiągnięć ustrojowych". Kościół prawosławny sugerował, by modlitwy w Asyżu o pokój, były konkretniejsze i wymieniały najważniejsze problemy dręczące ludzkość. W rzeczywistości Rosyjski Kościół Prawosławny energicznie domagał się, by uczestnicy wspólnie wystąpili przeciwko stanowiisku Zachodu w sprawie rozbrojenia nuklearnego i konwencjonalnego.

Na początku grudnia wprowadzono nowe przepisy paszportowe, które przyspieszają procedurę załatwiania podań, a jeszcze bardziej ograniczają liczbę przypadków upoważniających do emigracji.

Podczas moskiewskiej konferencji prasowej jednego z amerykańskich senatorów mieszkanka Związku Sowieckiego Ludmiła Jewsukowa zwróciła się do niego z prośbą o pomoc w uzyskaniu zezwolenia na wyjazd na zachód dla siebie i rodziny. Jewsukowa stara się o pozwolenie od 9 lat. Jej brak odsiaduje po raz drugi trzyletnią karę więzienia za odmowę służby wojskowej, ojca zamknięto w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zmuszony jest do przyjmowania silnych środków odurzających.

19 grudnia sowiecki minister spraw zagranicznych oświadczył, że Andriej Sacharow będzie zwolniony z zesłania w Gorki. Sacharowa zawiadomił o zwolnieniu osobiście Gorbaczow /przez telefon/. Sacharow wewał go w czasie tej rozmowy do zwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Żonę Sacharowa - Elenę Bonner - użaskowiła Rada Najwyższa ZSSR. Sacharowowie powrócili do Moskwy 26 grudnia. Pierwszym oświadczeniem Sacharowa po powrocie był apel do przywódców ZSSR o zakończenie wojny w Afganistanie. Kontakty Sacharowów z zagranicznymi dziennikarzami nie są ograniczane. 30 grudnia Andriej Sacharow oświadczył, że chce odwiedzić USA i być może osiedlić się tam. Władze sowieckie twierdzą, że jest to niemożliwe, ponieważ Sacharow zna tajemnice państwowe. W tym samym wywiadzie Sacharow skrytykował posunięcia Gorba-

czowa polegające na połączeniu wszystkich spraw rozbrojenia w jeden pakiet uwarunkowany ograniczeniem badań nad SDI. W innym wywiadzie - 4 stycznia - Sacharow oświadczył, że zamierza wziąć udział w zaprojektowaniu całkowicie bezpiecznej elektrowni jądrowej. Sacharowa aresztowano w styczniu 1980 roku, po skrytykowaniu przez niego inwazji na Afganistan. Następnie zesłano go bez procesu do Gorki. Elena Bonner stanęła przed sądem w 1984 roku za działalność na rzecz praw człowieka. Skazano ją na 5 lat zsyłki.

27 grudnia przybyła do Londynu Irina Ratuszyńska, wraz z mężem - Igorem Gieraszczenką. Po zwolnieniu z więzienia 16 razy zwracała się do władz sowieckich o pozwolenie na wyjazd do Wielkiej Brytanii na leczenie. W czasie pobytu w więzieniu stworzyła około 250 wierszy. Ponieważ nie pozwalano jej korzystać z papieru, zapisywała je zapałką na kawałku mydła i po nauczeniu się ich na pamięć - zmywała, zanim dojrzeli je strażnicy. Po przybyciu do Londynu Ratuszyńska i jej mąż wysłali do Gorbaczowa list z wyrazami uznania w związku ze zwolnieniem Sacharowa. W liście piszą m.in.: *"Budzi otuchę fakt, że nareszcie Związek Sowiecki kierowany jest przez osobę rozumiejącą, że demokracja jest zasadniczą sprawą dla naszego kraju, zarówno ze względów moralnych, jak i gospodarczych"*.

10 listopada do ZSSR powróciło, po 10 latach pobytu w USA, ukraińskie małżeństwo - Dawid i Hajna Gontowie. W wywiadzie dla *Pracy* stwierdzili, że *"trwający 10 lat koszmar jest wreszcie za nimi"*. Trzy dni później Hajna Gonta oświadczyła, że chcą wrócić do Stanów Zjednoczonych.

28 grudnia około pięćdziesięciu emigrantów sowieckich powróciło na swoją prośbę z USA do ZSSR. Wiele osób z tej grupy to Żydzi, którzy emigrowali 6-8 lat temu. Twierdzą, że nie mogli przystosować się do warunków życia w Stanach Zjednoczonych. Siedem osób posiadało obywatelstwo amerykańskie. Niektórzy zostawili dzieci w USA. Inni wrócili do rodzin, którym nie udało się wyemigrować z ZSSR. W październiku i listopadzie powróciły do ZSSR dwie mniejsze grupy emigrantów. Łącznie 17 osób. Obecnie w placówkach sowieckich w USA leży około 1000 podań emigrantów o pozwolenie na powrót. Od października 1968 do października 1986 r. z ZSSR do USA wyemigrowały 266.494 osoby.

W połowie grudnia władze ZSSR odwołały ze stanowiska szefa partii Republiki Kazachskiej Din Muhameda Ahmedowicza Kunajewa. Był on jednym z ostatnich członków ekipy Breżniewa. W latach pięćdziesiątych, kiedy szefem kazachskiej partii był Breżniew, Kunajew był premierem republiki. Na szefa partii mianowano go w 1965 r. Na miejsce Kunajewa mianowano Rosjanina, Gennadija Kolbina, który dawniej wspólnie z SzeWARDnadze - obecnym ministrem spraw zagranicznych ZSSR - był członkiem władz Gruzji. Mianowanie Rosjanina na stanowisko szefa partii wywołało rozruchy w Ałma Acie. Według komunikatu agencji TASS 17 i 18 grudnia grupa studentów podżegana przez elementy nacjonalistyczne podpaliła sklep spożywczy i pewną ilość prywatnych samochodów, a także zniszczyła mieszkania w mieście. Uczestników demonstracji TASS nazywa chuliganami, pasożytami i elementami antyspołecznymi. W całym Kazachstanie, w fabrykach, szkołach i organizacjach partyjnych odbywały się wiece i zebrania potępiające zajścia w Ałma-Acie i popierające decyzje o usunięciu Kunajewa. 27 grudnia władze partyjne Kazachstanie powołały specjalną radę do rozwiązywania problemów społecznych. Rada ma się zajmować alkoholizmem, przestępczością, łapownictwem i kumoterstwem. Pierwszy szerszy artykuł o wydarzeniach w Ałma-Acie zamieściła *Litewturmajaz Gazieta* 1 stycznia. Autor artykułu twierdzi, że demonstranci

uzbrojeni w kije i metalowe prenty napadali ludzi i niszczyli budynki publiczne i oskarża organizatorów demonstracji o "prowokacyjną próbę podzielenia ludzi i narodów". *"Na drodze perswazji, oszustwa i pogroźek udało się komuś wprowadzić niedoświadczoną i politycznie niewyrobioną młodzież na ulice i place miasta. Pojawili się nacjonalistyczne hasła i do tłumu przyłączyli się chuligani, pijacy i inne elementy antyspoleczne."* Cały artykuł utrzymany jest dokładnie w tym tonie i - niestety - są to jedyne doniesienia na temat wypadków w Kazachstanie, jakie przeniknęły poza ZSSR. Według danych z 1979 r. ludność Kazachstanu liczy 16 mln. Z tego 41 proc. stanowią Rosjanie, 36 proc. Kazachowie i 6 proc. Ukraińcy.

Na czerwcowym zjeździe Związku Literatów w Moskwie przedstawiciele mniejszości narodowych zgłaszali ostre zastrzeżenia do polityki rusyfikacji nazywając Rosjan wielkomocarstwowymi szowinistami. W republikach nadbałtyckich mówienie w miejscach publicznych miejscowym językiem /a nie po rosyjsku/ uważane jest przez władze za przejaw wrogości nacjonalizmu. Na Białorusi, której opór wobec rusyfikacji był zawsze słaby, miejscowe dzienniki oskarżają ministerstwo oświaty o utrudnianie nauki języka ojczystego w szkołach.

Pięcioro dzieci zmarło, a sześćdziesięcioro przewieziono do szpitala, kiedy pracownik przedszkola przyfabrycznego w Charkowie wsypał przez pomyłkę do zupy azotan sodu zamiast soli. W fabryce przechowywano tego typu substancje razem z żywnością. W wyniku tej sprawy przeprowadzono inspekcję w charkowskich przedszkolach i pięć z nich zamknięto z powodu naruszenia przepisów bezpieczeństwa.

W maju 1985 r. wprowadzono w ZSSR ustawę antyalkoholową /tzw. "suchy zakon"/, która spowodowała spadek produkcji alkoholu o 35 proc. a dochodów państwa o około /w przeliczeniu/ 12 mld dol. Średnie roczne spożycie alkoholu przez statystycznego mieszkańca ZSSR spadło o 2,5 litra i wynosi obecnie około 14,8 l. Na polecenie specjalnej komisji partyjnej ocenizowano wówczas około 200 filmów, usuwając z nich sceny picia alkoholu. 60 filmów, które - zdaniem komisji - przedstawiały pijaństwo w pozytywnym świetle, wycofano z obiegu. Ocenizowano także sztuki teatralne, opery i dzieła literackie. Oszczędzono jednak niektóre klasyczne utwory /np. *Bracia Karamazow*/). Członkowie Politbiura uroczyście ślubowali wyrzeczenie się alkoholu. W niektórych rejonach władze miejskie i lokalne wprowadziły prohibicję lub racjonowanie wódki. W Moskwie zamknięto część sklepów z alkoholem, po butelkę wódki trzeba było stać w kolejce około 3 godzin. W republice Komi przed sklepami, w których alkoholu nie sprzedaje się już od dawna, codziennie ustawiają się kolejki "na wszelki wypadek". Jesienią Komitet Wykonawczy Moskiewskiej Rady Miejskiej uchwalił wydłużenie czasu sprzedaży alkoholu. Moskiewska Rada Miejska odmówiła odpowiedzi na wszelkie pytania w tej sprawie i zażądała, by zachodni dziennikarze złożyli je na piśmie.

Władze sowieckie zapowiedziały kampanię przeciwko narkomanii. Zdaniem władz rozpoznano 46 tys. przypadków narkomanii. Większość narkomanów ma poniżej 30 lat.

2 czerwca 1986 r. w Rotterdamie zarekwirowano na sowieckim frachtowcu 200 kg heroiny pochodzącej z Afganistanu, a załadowanej w Rydze. Nie znamy przeznaczenia tego ładunku, ale zapewne nie jest to pierwszy taki wypadek. W 1962 r. Chruszczow rozpoczął kampanię mającą na celu demoralizowanie narkotykami amerykańskimi młodzieży i armii, zmniejszenie wpływu religii, obniżenie poziomu oświaty oraz zniszczenie protestanckiej etyki pracy. Istnienie tej operacji potwierdzili

dwaj zbiegowie z bloku wschodniego: gen. Szejna z CSRS i pułkownik bułgarskiego wywiadu - Swierdłow. Swierdłow ujawnił, że na tajnym spotkaniu szefów wywiadu Układu Warszawskiego w 1967 r. Breżniew zlecił Bułgarii zadanie przemykania heroiny na Zachód. Zapewnieniem dopływu kokainy i marihuany do USA miała się zająć Kuba.

8 listopada w wieku 96 lat zmarł Władimir Mołotow, minister spraw zagranicznych Stalina, autor paktu z Ribbentropem o czwartym rozbiórce Polski.

28 grudnia zmarł w Paryżu Andriej Tarkowski, wybitny sowiecki reżyser filmowy. Pierwszy film - dyplomowy - nakręcił w 1963 r. Do 1984 r. zrealizował w ZSSR tylko sześć filmów. Każdy z nich był przedmiotem ostrej krytyki sowieckich recenzentów. W 1984 r. Tarkowski nakręcił we Włoszech film *Nostalgia*, po czym pozostał na Zachodzie twierdząc, że władze sowieckie ograniczają jego możliwości twórcze. Miał kłopoty z cenzurą. Tarkowskiego pochowano w Paryżu. Sowiecki zarząd cenzury filmów przysłał na pogrzeb ogromny wieniec, a agencja TASS uczciła jego śmierć nekrologiem.

INDEKS

A.

Abraham József 117
 Aleksander II 75
 Alijew G. 35
 Amalrik Andriej 6
 Anders Władysław 106
 Andropow Jurij 70,76-80
 Angyal István 116
 Arbatow Georgi 28
 Ariosto L. 6
 Arystoteles 15
 Awerbach L. 90

B.

Babalu Constantin 121-122
 Badzio Jurij 143,146
 Bakunin Nikołaj 10
 Bali Sándor 118
 Bartošek Karel 109,111
 Begun Josif 24
 Beneš Edward 135
 Beria Ławrentij 71,72,106
 Besançon Alain 4-22
 Blair Eric zob. George Orwell
 Bogdanow R. 25,27,28
 Bonner Elena 34,40,41,156,157
 Borbely Őrs 117
 Breźniew Leonid
 29,42,51,53,70,73-80,157,159
 Bronkley D. 24
 Bukowski Władimir 4-14
 Bułganin Nikołaj 73
 Bunka Edward 149
 Busłacki Fiodor 18
 Byron George 71

C.

Caposu Cornelio 130
 Cardine Nicolae 130
 Castro Fidel 151
 Ceausescu Nicolae 121-132
 de Camara R.C. 58
 Chagall Marc 36
 Charczew Constantin 155

Chomeini 154
 Chruszczow Nikita 12,17-20,42,48
 53,70,72-75,79,80,158
 Chruszczow Nina 73,
 Churchill Winston 20
 Cordobez Diego 148
 Crick 57,58
 Cselik Ferenc 118
 Csukas Endre 118
 Csurka Ivan 15
 Curkova I. 70
 de Custine 18
 Czebrnikow 144
 Czernienko Konstantin 77-79
 Czernyszewski Nikołaj 10,14

D.

Decter M. 20
 Defoe Daniel 55
 Deng Xiaoping 47,149
 Dickens Charles 55,56
 Dnieprowski Iwan 96,97
 Dobrę Constantin 121,123-127
 Dobrynin Anatolij 20
 Dostojewski Fiodor 8,10
 Dubček Aleksander 35,75
 Dzierżyński Feliks 80-82
 Džilas Milovan 4,13

F.

Fadiejew Aleksander 90
 Falin 20
 Fichte Johann Georg 10
 Fiedik 141
 Fielding Henry 55
 Filaret, metropolita 146
 Filip Sprawiedliwy 11
 Flaubert Gustave 55
 Forman Milos 34
 Funderburk 130

G.

Galicz Aleksander 33,34
 Gandhi Indira 76
 Gandhi Mahatma 60
 de Gaulle Charles 20,75
 Gawrilenko D. 89-91,85
 Gép Győző 116
 Geylin P. 29
 Georghiu Stephan 127
 Gierasimow Gennadij 23
 Gieraszczenko Igor 157
 Gina 121
 Gleigewicht A. 100
 Goma Paul 129
 Gomulka Władysław 17,44
 Gonta Dawid 157
 Gonta Hajna 157
 Gorbaczow Michaił 11,18-26
 34-38,40-45,49-53,103,141,
 144,146,154-156,157
 Gorki Maksym 90,97
 Gottwald Klement 109-110,112
 Grigorjanc Sergiej 34
 Gromyko Anatolij 78
 Grossman Wasilij 34

H.

Haberland Koroly 118
 Heller Michaił 42-51
 Herburdt-Johanes Aika 95,98
 Hercen Aleksander 9,18
 Hitler Adolf 60,107
 Hnátek Miroslav 111
 Hrabal Bohumil 99

I.

Iljiczew 91
 Iljin 75
 Iżowajskaja-Alberti Irina 42-49

J.

Jakowlew A. 20
 Jan XXIII 156
 Jan Paweł II 156
 Jaruzelski Wojciech 100
 Jasiński Mirosław 98-102,104
 Jelcyń Borys 35,36,51-53
 Jesienin Siergiej 128
 Jewsukowa Ludmiva 156
 Jeżow 72
 Johansen M. 95
 Jurca, inż. 121,127

K.

Kadar Janos 119,129
 Kafka Franz 89
 Kamieniew Lew 34
 Kampelman Max 4
 Kandinsky Wasilij 36
 Kapica Piotr 38
 Kaplan Karel 110
 Kapłan Fanny 81
 Karmal Babrak 28,147
 Kaunitz István 117
 Kennan George 19
 Kirkpatrick Jane 4
 Kirow Siergiej 35
 Klima Ivan 101
 Kluczewski W. 46
 Knight R. 27
 Kohl Helmut 152
 Kolbin G. 157
 Kołakowski Leszek 4
 Konfucjusz 9
 Kosygin Aleksiej 75
 Krasso Gyorgy 117,119
 Krinsky G. 27
 Kriukow F. 91
 Krupska Nadieżda 81,82
 Kulisz Mykoła 97
 Kunajew D.M.A. 157
 Kundera Milan 101

L.

Lakatos Imre 117
 Lenin Włodzimierz Iljicz 5,14,18,20
 35,43-45,70,72,79-82
 Lewis A. 29
 Leys Simone 54
 Litwinow Maksym 72
 Lloyd George David 59
 Ludwig E. 20

Ł.

Łarionow 36

M.

Majstrenko Iwan 98
 Malenkow Georgij 106
 Malewicz Kazimierz 36
 Mały V. 102
 Mao Tse Tung 11-13,47,149
 Marczenko Anatolij 41

- Marczuk 41
 Marder M. 29
 Margorin Nokożaj 140
 Markow Georgij 94
 Marks Karol 47
 Markvat 114
 Marquez Gabriel Garcia 146
 Merei Ferenc 117
 Marszak Samoił 91
 Michalet Jules 18
 Mićunković V. 12
 Miedwiediew Roj 91
 Mikeš 114,115
 Mołotow Właczyszaw 141,159
 Mrtvy Michał 149
 Murachowski 148
- N.
- Nadżibullah 147-148
 Nagorsky Andrew 27,30
 Nagy Imre 12,118
 Napoleon I 11
 Navratil Augustin 149
 Nechě 113
 Negruc Klement 121
 Nemeček 115
 Niczajew S. 10
 Niekricz Aleksander 42
 Nikitina Inna 140-141
 Nixon Richard 153
 Nowikow-Friboj 95
- O.
- Olin N. 69
 Olsiewicz Oleg 140-141
 Orłow Jurij 18,48
 Orwell George 13,46,54-58,60,61
 Ötvös Alajos 117
- P.
- Paceba Ion 122
 Pasternak Borys 34
 Paweł VI 156
 Pécs Géza 117
 Peltier Leonard 146
 Pierow-Wodkin 36
 Platon 15
 Plechanow Georgij 14
 Podhoretz Norman 60
 Pol Pot 8,13
 Pospichal Petr 101
 Pozner Władimir 24
 Prus Edward 104
- Puiu Ion 130
 Pupynin Ruszan 140-141
 Puszkin Aleksander 8,71,72,92
- R.
- Rajk Laszlo 17,118
 Rajman 113
 Rákosi Matyas 12
 Raskolnikow F. 33
 Rather D. 25
 Ratuszyńska Irina 157
 Reagan Ronald 16,21,24,25,28,29
 Rekunow A. 144
 Remek, kosmonauta 137
 Ribbentrop Joachim 141,159
 Rogers W. 25
 Rostov Eugene 4
 Rudyj Bogdan 141
 Rusai László 152
 Rust Mathias 51
- S.
- Sacharow Andriej 21,24,34,35,40,41,
 75,156,157
 Sažo Oleg 140-142
 Sałtykow-Szczedrin 10-14
 Schelling F.W.J. 10
 Serafimowicz 95
 Siergiejew Censki 95
 Sierow Iwan 107
 Sikorski Władysław 135
 Silone Ignazio 6
 Sinlowski Andriej 73
 Smagin 114
 Small Ch. 58-60
 Sokołow 51
 Sołodnikow 91-92
 Sołżenicyn Aleksander 4,5,9,18,34,75
 Sowa Ivan 115
 Stalin Josif Wissarionowicz 5,8,12,13,
 18,20,21,33,35,38,42,45,51,52,70-74,
 79-82,90,106,111,153,159
 Stendhal 55
 Stus Wasyl 145
 Susłow M. 76
 Suwarin Borys 5
 Swierdłow, pżk 159
 Swift Jonathan 55
 Szatunowski I. 92
 Szczarański Anatolij 48
 Szejna, gen. 159
 Szenes László 117
 Szewardnadze 157
 Szigethy Attila 118

Szilágyi Erzsébet 117
Szirmai Ottó 117
Szmajer, rabin 156
Szmuczer Ludmiła 140
Szołochow Michaił 89-98
Szołochow /rodzina/ 91,94
Škudek 115
Škvorecký Jozef 83,101

T.

Taranienko Andriej 141
Tarkowski Andriej 159
Telesin J. 69
Teresa, Matka 146
Ternowski J. 95
Thackeray William M. 55
Thatcher Margaret 76
Thorez Maurice 54
Tichonow 78
Tiktin S.A. 69
Timofiejew Lew 34
Tiszczenko Dimitrij 140-141
Tito Josip Broz 17
Tiutiukin 46
Tołstoj Aleksy 95
Tołstoj Lew 8,92
Trocki Lew 13,35,44,70,79
Trofimienko G. 27

U.

Urban George 4-22
Ustinow Dimitrij 79

V.

Verdet Ilje 121-122,126

W.

Walker M. 24
Wałęsa Lech 104
Wdowin Jewgienij 140-141
Webbowie B. i S. 20
Wells Herbert George 20
Wierny Józef 104
Wiszniewskaja Galina 4
Własow Andriej 144
Wolde, płk 150

Z.

Zador Istvan 118
Zajcew 91
Zapotocký Antonin 112
Zarif Mohammed 147
Zasławskaja Tatiana 43
Zelnick B. 25
Zinowlew Aleksander 5,8
Zinowlew Grigorij 34
Zoszczenko Michaił 92

Ż.

Żarkow T. 94
Żdanow Andriej 45

Dotychczas ukazały się następujące pozycje przygotowane przez redakcję *OBOZU*:

- Trzecia rewolucja. Piotrogród - Kronsztad 1921. Wyd. *KRAG*, 1981.
- Axel Bust-Bartels, Powstanie berlińskie 17 czerwca 1953 roku. Wyd. *KRAG*, 1981.
- Zsolt Csalog, Lajos M., lat 44. Wyd. *CDN*, 1985.
- Wojna w Afganistanie. Wyd. *CDN*, 1986.
- Abraham Szifrin, Przesłuchanie. Obozy pracy w ZSRR. Wyd. *Biblioteka Obserwatora Wojennego*, Kraków 1986.
- Arkadij N. Szewczenko, Zerwanie z Moskwą. Wyd. *CDN*, 1986.
- Michał Heller, Aleksander Niekricz, Utopia u władzy. Historia ZSSR od roku 1917 do naszych czasów. T. I - 1917-1938, t. II - 1939-1953, t. III - 1953-1980. Wyd. *CDN*, 1986.
- Ruch pokojowy w państwach komunistycznych. Wyd. *WSKOS*, seria *ZEN*, 1987.
- Kadaryzm bez maski. Wybór niezależnej publicystyki węgierskiej. Wyd. *CDN*, 1987.
- Róża Czerwińska, W szczęściu byłiby to ludzie dobrzy..., Wyd. *PROM*, 1987; wyd. *PROFIL*, 1987.
- Siegfried Kogelfrantz, Jak podzielono Europę. Wyd. *PROFIL*, 1988.

cena 1000